

PODOBNO MORZE STRZEŻE SWYCH TAJEMNIC...

LATARNICY

PRZEŁOŻYŁA AGATA OSTROWSKA

EMMA STONEX



EMMA STONEX

LATARNICY

Przełożyła Agata Ostrowska



Spis treści

OD AUTORKI

I

1

2

3

II

4

5

6

7

8

9

10

III

11

12

13

IV

14

15

16

17

18

19

20

V

21

22

23

VI

24

25

26

27

28

29

VII

30

31

32

VIII

33

34

35

IX

36

37

38

X

39

40

41

42

43

44

45

46

47

XI

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

XII

60

PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału: The Lamplighters

Redakcja: Maja Lipowska
Ilustracja na okładce: © Max Ellis
Projekt okładki: Katie Tooke, Picador Art Department
Adaptacja okładki: Magda Kuc
Korekta: Beata Wójcik, Maja Lipowska
Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © 2021 Emma Stonex Ltd
Copyright © for the Polish translation by Agata Ostrowska, 2021
Copyright © for the Polish edition by Echa, imprint literacki Wydawnictwa
Czarna Owca, Warszawa 2021

Wszelkie prawa dozwolone. Niniejszy plik nie jest objęty ochroną prawa autorskiego i nie jest zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). A nawet jeśli są jakieś znaki wodne to co? Hmmmm. Kogo to obchodzi...

Uzyskany dostęp upoważnia do jakiegokolwiek użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody autora jest całkowicie dozwolone :-))

Wydanie I

ISBN: 9788381436359

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Dla IFTS i KMS

OD AUTORKI

W grudniu 1900 roku z odciętej od świata skalistej wyspy Eilean Mòr w archipelagu Hebrydów Zewnętrznych zniknęło trzech latarników: Thomas Marshall, James Ducat i Donald MacArthur. *Latarnicy* to powieść zainspirowana tym wydarzeniem, napisana z szacunkiem dla pamięci jego uczestników, ale ponieważ jest fikcją, nie oddaje biografii ani charakterystyki bohaterów.

Staliśmy tak bez słów, bez ruchu
I każdy z przerażeniem w duchu
Patrzył na drzwi, wciąż jeszcze zamknięte,
Za którymi czyhały ciemności przekłete
Wilfrid Wilson Gibson, *Flannan Isle*

Już od tak dawna jestem dwojgiem różnych ludzi.
Tony Parker, *Lighthouse*

I

1972

1

ZMIANA

Jory odsuwa zasłony. Dzień jest jasny, choć szary, radio gra piosenkę, którą mgliście kojarzy. Słucha serwisu informacyjnego, wiadomości o dziewczynce zaginionej z przystanku autobusowego gdzieś na północy, popija mocną herbatę z kubka. Biedna matka na pewno odchodzi od zmysłów. Krótkie włosy, krótka spódniczka, wielkie oczy – tak wyobraża sobie drżącą z zimna dziewczynkę i pusty przystanek autobusowy, na którym ktoś powinien był stać, oczyma duszy widzi, jak macha albo tonie, autobus zbliża się i jedzie dalej, niczego nieświadomy, a asfalt lśni czernią od deszczu.

Morze jest spokojne, niby szkliste, jak zawsze po okresie złej pogody. Jory otwiera okno – świeże powietrze zdaje się niemal ciałem stałym, można by je kroić, grzechocze między chatkami rybackimi niczym kostka lodu w szklance z drinkiem. Nie ma to jak zapach morza, nic nie może się z nim równać: solankowy, czysty jak trzymany w lodówce ocet. Dzisiaj nie wydaje żadnego dźwięku. Jory zna morza głośnie i ciche, rozkołysane i gładkie jak lustro, morza, na których łódka zdaje się ostatnim przebłyskiem ludzkości na fali tak wściekłej i zdeterminowanej, że zaczynasz wierzyć w rzeczy, w które nie wierzysz, na przykład że morze znajduje się w pół drogi między niebem a piekłem, czy jak zwał to, co leży wysoko nad nami, i to, co czai się w głębinach. Pewien rybak powiedział mu kiedyś, że morze ma dwie twarze. Trzeba zaakceptować obie, stwierdził, dobrą i złą, i od żadnej nigdy się nie odwracać.

Dzisiaj, po długim czasie, morze jest po ich stronie. Dzisiaj to zrobią.

To on decyduje, czy łódź może wypłynąć. Nawet jeśli o dziewiątej rano jest sprzyjający wiatr, nie wiadomo, czy o dziesiątej się to nie zmieni, a warunki

w porcie są zawsze dziesięć razy lepsze niż przy latarni – jeśli przy brzegu fale mają, powiedzmy, półtora metra, to wokół niej osiągają piętnaście metrów.

Nowy chłopak ma koło dwudziestki, żółte włosy i nosi okulary z grubymi soczewkami. Za szklami jego oczy wydają się małe, nerwowe; przywodzi Jory'emu na myśl stworzonko żyjące w klatce wysypanej trocinami. Stoi na pirsie w sztruksowych dzwonach, wystrzępione końce nogawek pociemniały od wody morskiej. Wczesnym rankiem na nabrzeżu jest cicho i prawie pusto, ktoś wyprowadza psa, mleczarz wypakowuje butelki ze skrzynki. Lodowate zawieszenie między Gwiazdką a Nowym Rokiem.

Jory razem z ekipą ładuje dobra przywiezione przez chłopaka – czerwone kartony z Tridentu zawierające zapasy na dwa miesiące: ubrania i jedzenie, świeże mięso, owoce, prawdziwe mleko (nie w proszku), gazetę, puszkę herbaty, tytoń Golden Virginia – i porządnie przywiązują je do pokładu łodzi, zabezpieczając plandeką. Latarnicy się ucieszą; od czterech tygodni żyli konserwami i artykułami z wydania „Maila” z dnia ostatniej dostawy zapasów.

Na płyciźnie woda czka wodorostami, siorbie i chlupocze wokół łodzi. Chłopak wdrapuje się na pokład, ma mokre tenisówki, jak ślepiec kurczowo łapie się burt. Pod pachą trzyma przewiązaną sznurkiem paczkę z rzeczami osobistymi – książki, magnetofon, taśmy, czymkolwiek będzie zabijał czas na miejscu. Najprawdopodobniej student: ostatnimi czasy do Tridentu zgłasza się sporo studentów. Pewnie jakiś muzyk, kompozytor, tekściarz, wygląda na takiego. Będzie tkwił w latarni, myśląc sobie: tak trzeba żyć. Potrzebują jakiegoś zajęcia, zwłaszcza na wieżach – nie można przez cały czas biegać w górę i w dół po schodach. Dawno temu Jory poznał latarnika, który budował statki w butelce; zręczny rzemieślnik pracował nad nimi przez cały pobyt na wyspie, a pod koniec mógł się pochwalić pięknymi okazami. Potem jednak zainstalowali im telewizję i facet to rzucił – dosłownie wywalił cały warsztat przez okno do morza i od tamtej pory w każdej wolnej chwili gapił się w ekran.

– Długo pan tu pracuje? – pyta nowy.

Jory odpowiada, że owszem, zaczął, kiedy jego jeszcze nie było na świecie.

– Już prawie nie wierzyłem, że nam się uda – ciągnie chłopak. – Czekałem od wtorku. Znaleźli mi kwaterę w wiosce, całkiem przyjemną, ale nie aż tak, żebym chciał zostać tam na dłużej. Codziennie wyglądałem przez okno i zastanawiałem się, kiedy wreszcie wypłyniemy. Cholerny sztorm. Szczerze mówiąc, nie mogę sobie wyobrazić, jak tam będzie, kiedy znowu popsuje się pogoda. Podobno człowiek nie wie, co to prawdziwy sztorm, dopóki nie przeżyje go na morzu, nie poczuje, jakby latarnia miała się pod nim lada chwila zawalić i runąć do wody.

Nowi zawsze dużo gadają. To z nerwów, myśli Jory, młody boi się przeprawy, że wiatr może się zmienić i utrudnić przybicie do wyspy, że może nie dogada się z załogą latarni, zastanawia się, jaki będzie szef. To jeszcze nie jest latarnia tego chłopaka i prawdopodobnie nigdy nią nie będzie. Nadetatowcy przychodzą i odchodzą, raz latarnia lądowa, innym razem na skałach, rzucają nimi po całym kraju. Jory poznał ich już dziesiątki, palili się, żeby zacząć, zauroczeni romantyczną wizją, ale rzeczywistość ma w sobie niewiele romantyzmu. Trzech facetów w latarni otoczonej morzem. Nie ma w tym nic szczególnego: trzech mężczyzn i dużo wody. Trzeba szczególnego charakteru, żeby wytrzymać tak długie zamknięcie. Samotność. Izolacja. Monotonia. W promieniu wielu kilometrów nic tylko morze, morze, morze. Zero przyjaciół. Zero kobiet. Jedynie pozostała dwójka, dzień w dzień, bez drogi ucieczki – to może doprowadzić do obłędu.

Na zmiennika czeka się zwykle wiele dni, czasem nawet długie tygodnie. Kiedyś łódka z dostawą zaginęła i jeden z latarników tkwił tam przez cztery miesiące.

– Przyzwyczaisz się do pogody – mówi chłopakowi.

– Oby!

– Poza tym i tak masz lepiej niż ten pechowiec, który będzie wracał na ląd.

Załoga siedzi skupiona na rufie, pustym wzrokiem spoglądając na morze, paląc i rozmawiając niewyraźnie, wilgotne palce moczą im papierosy. Można by umieścić ich na obrazie, surowym pejzażu morskim, namalowanym niedbałymi pociągnięciami pędzla nakładającego grubą warstwę farby olejnej.

– Na co czekamy? – woła jeden z członków załogi. – W końcu fale się zmieniają, zanim zdążymy wypłynąć.

Jest też z nimi technik, musi naprawić radio. Zwykle w dzień zmiany skontaktowaliby się z latarnią już z pięć razy, ale sztorm uszkodził nadajnik.

Jory kończy przykrywać kartony, odpala silnik i wypływają, łódka podskakuje na falach niczym stateczek w wannie. Stado mew skrzeczy na oblepionym małżami głazie, niebieski trawler pyka leniwie, dopływając do lądu. W miarę jak oddalają się od linii brzegowej, woda ożywa, rozkołysane zielone fale pienią się i rozplývają. Jeszcze dalej kolory ciemnieją, morze przybiera barwę oliwkową, a niebo robi się złowieszczo ciemnoszare. Woda rozbija się na dziobie, grzywacze wzbierają i rozpraszają się. Jory żuje końcówkę skręcane go papierosa, który trochę mu się zgniół w kieszeni, ale nadal w miarę nadaje się do palenia, nie odrywa oczu od horyzontu, w ustach ma dym. Uszy bolą go z zimna. Wysoko w górze jakiś biały ptak zatacza okręgi na rozległym brunatnozielonym niebie.

Przez mgłę udaje mu się dojrzeć Maiden – samotną iglicę, dostojną, odległą. Stoi ponad dwadzieścia kilometrów od brzegu. Jory wie, że latarnicy wolą być dalej od lądu, żeby jego widok nie przypominał im o domu.

Chłopak siedzi tyłem do latarni – dziwny początek, myśli Jory, plecami do celu podróży. Skubie zadrapanie na kciuku. Ma miękkie rysy, wygląda, jakby było mu niedobrze, jest jeszcze niewtajemniczony. No ale każdy marynarz musi w końcu zacząć.

- Byłeś kiedyś na wieży, synku?
- Pracowałem na Trevoze, potem na St Catherine's.
- Ale na wieży nigdy?
- Nie, nigdy.
- Trzeba mieć mocny żołądek – mówi Jory. – I umieć się dogadywać z ludźmi, nieważne, jacy są.
- Z tym nie będę miał problemu.
- Na pewno. Główny latarnik to porządny gość, to bardzo ważne.
- A pozostali?
- Słyszałem, że trzeba uważać na nadetatowca. Ale to chyba twój rówieśnik, więc na pewno się dogadacie.
- A co z nim?

Jory uśmiecha się na widok wyrazu twarzy chłopaka.

– Nie rób takich min. W robocie zawsze krążą plotki, ale przecież nie wszystkie są prawdziwe.

Pod nimi morze kołysze się i burzy, czarne masy wody przewalają się, chlapią i chłoszczą. Bryza prześlizguje się po powierzchni wody, mącąc jej powierzchnię. Przy dziobie eksploduje chmura drobnych kropelek, fale robią się coraz cięższe i zagadkowo głębokie. Kiedy Jory był mały i pływali promem z Lymington do Yarmouth, zawsze wychylał się za barierki i podziwiał morze, jak zmienia się zupełnie mimochodem, praktycznie niezauważalnie, jak opada szelf i ład pozostaje już tylko wspomnieniem, a gdyby wypadł za burzę, do dna brakowałoby mu kilkudziesięciu metrów. Pływałyby z belonami i mustelami – dziwacznymi, rozdętymi, migoczącymi kształtami o miękkich, wszędobylskich mackach i oczach jak zmętniałe marmurki.

Latarnia się przybliżyła, kreska zmieniła się w słupek, słupek przypomina sterczący palec.

– Oto i ona. Maiden Rock.

Teraz widzą już ślady wody morskiej wokół podstawy wieży, piętno gwałtownych zjawisk atmosferycznych odcisnięte przez dziesięciolecia władania żywiołu. Choć przeżył to już wiele razy, zbliżanie się do Królowej Latarni Morskich wywołuje w Jorym charakterystyczną mieszankę emocji – czuje się zbesztany, nieistotny, może lekko wystraszony. Maiden, wysokie na pięćdziesiąt metrów dzieło wiktoriańskiej inżynierii, góruje bladym strzelistym pięknem nad linią horyzontu, niewzruszony bastion, strażniczka bezpieczeństwa marynarzy.

– Jedna z najstarszych – ciągnie Jory. – Rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty trzeci. Dwa razy się zawaliła, zanim w końcu zapłonął ogień. Mówi się, że przy paskudnej pogodzie, kiedy wiatr wciska się między skały, wydaje szczególny odgłos, jak zawodząca kobieta.

Z szarówki wypełzają detale budowli – okna latarni, betonowy pierścień odsadki i wąski pas metalowych szczebli, tak zwanych psich schodków, prowadzących pionowo w górę do wejścia.

– Zauważyli nas już?

– Na pewno.

Jednak wypowiadając te słowa, Jory szuka wzrokiem sylwetki, którą spodziewał się zobaczyć czekającą na nich u podnóża latarni – głównego latarnika w granatowym mundurze i białej czapce garnizonowej albo jego

pomocnika, machających zapraszająco. Z pewnością obserwowali wodę już od wschodu słońca.

Uważnie lustruje wzrokiem kocioł wokół podstawy latarni, rozważając najlepsze podejście do lądu – podpłynąć dziobem czy rufą, rzucić kotwicę czy zostawić luzem. Lodowata woda tryska spomiędzy labiryntu zatopionych skał; kiedy fala wzbiera, głązy znikają; kiedy opada, wynurzają się niczym czarne lśniąca trzonowce. Ze wszystkich wież najtrudniej podpłynąć do Bishop, Wolf i Maiden, a gdyby miał sam wybrać zwyciężczynię tego rankingu, postawiłby właśnie na Maiden. Według żeglarskich legend miano ją zbudować na szczękach skamieniałego potwora morskiego. Budowa pochłonęła życie wielu robotników, a na rafie zginął niejeden marynarz, który zoczył ze szlaku. Nie przepada za obcymi, nie jest gościnna.

Jory nadal nie widzi jednak żadnego z latarników. Nie dostaną chłopaka, jeśli ktoś z lądu nie będzie obsługiwał osprzętu do cumowania. Przy takiej sile pływu będzie nimi rzucało na zmianę trzy metry w górę i trzy metry w dół, lina może w każdej chwili pęknąć i jego człowiek skończy w zimnej kąpieli. Niebezpieczne rozrywki, ale tak to już jest z latarnianymi wieżami. Szczerom lądowym morze wydaje się czymś stałym, ale Jory wie, że to tylko złudzenie: morze jest kapryśne, nieprzewidywalne i może łatwo dorwać nieprzygotowaną ofiarę.

– Gdzie oni są?

Krzyk członka załogi ledwie przebija się przez huk wody.

Jory sygnalizuje, że popłyną naokoło. Chłopak zrobił się zielony. Technik też. Jory powinien ich pokrzepić, ale sam nie czuje się zbyt pewnie. Przez wszystkie te lata nigdy nie musiał płynąć na tyły Maiden.

Przytłacza ich skala latarni, strzelistej wieży z litego granitu. Jory wyciąga szyję, żeby dojrzeć drzwi wejściowe – dwadzieścia metrów nad ziemią, z solidnego spiżu i beczelnie zamknięte.

Załoga robi hałas – nawołują latarników i ostro dmuchają w gwizdki. Wysoko, jeszcze wyżej, wieża zwęża się ku niebu, a niebo z kolei zerka na ich malutką, bezładnie miotaną łódeczkę. I znowu ten ptak, ten, który za nimi leciał. Zatacza kręgi, wykrzykując wiadomość, której nie rozumieją. Chłopak przechyla się przez burtę i zwraca śniadanie.

Unoszą się, opadają. Czekają i czekają.

Jory wciąż patrzy na wieżę górującą nad swoim własnym cieniem i słyszy już tylko fale, huk i gulgot piany, chlupot i pluskanie wody na skałach, a w głowie ma jedynie tamtą zaginioną dziewczynkę, o której słyszał rano w radiu, i przystanek, pusty przystanek autobusowy, i bezlitosny siekący deszcz.

2

DZIWNE ZDARZENIE W LATARNI MORSKIEJ

„The Times”, niedziela, 31 grudnia 1972 roku

Do kierownictwa Trident House dotarła informacja o zniknięciu trzech zatrudnionych przez firmę latarników z latarni morskiej Maiden, około dwudziestu pięciu kilometrów na południowy zachód od Land's End. Zaginieni to główny latarnik Arthur Black, jego pomocnik William (Bill) Walker oraz nadetatowy latarnik Vincent Bourne. Odkrycia dokonała wczoraj załoga łodzi, która przywiozła zmiennika i miała zabrać pana Walkera na ląd.

Jak dotychczas nie pojawiły się żadne informacje wskazujące na potencjalne miejsce pobytu zaginionych osób, nie wydano też oficjalnego oświadczenia. Rozpoczęło się śledztwo.

3

DZIEWIĘĆ PIĘTER

Dobicie do brzegu zajmuje im wiele godzin. Kilkunastu mężczyzn wspina się po psich schodkach, na języku czują smak soli i strachu, uszy mają zamarznęte, dłonie skostniałe i zakrwawione.

Kiedy w końcu docierają do drzwi, te okazują się zamknięte od środka. Stalową płytę, odporną na roztrzaskujące się fale i huraganowe wiatry, trzeba teraz wyważyć siłą mięśni i łomów.

Potem jeden z członków załogi dostaje dreszczy, trzęsie się błądy jak śmierć, częściowo z wyczerpania, a częściowo z powodu robaka niepokoju, który zżerał go od środka, odkąd nikt nie wyszedł na spotkanie łodzi Jory'ego Martina, od kiedy Trident House kazał im tam płynąć.

Trzech wchodzi do wieży. Wewnątrz jest ciemno, unosi się stęchły zapaszek, typowy dla zamieszkanymi stacji morskich z zabitymi na głucho oknami. W magazynie nie ma wiele do oglądania: zwaliste kształty ukryte w półmroku, zwoje liny, koło ratunkowe, szalupa podwieszona do góry dnem. Nic nie zostało naruszone.

Sztormiaki latarników wiszą w cieniu jak ryby złapane na haczyk. Ich imiona zostają wykrzyczane przez okrągły otwór w suficie, posłane w górę spiralnymi schodami:

Arthur. Bill. Vincent. Vince, jesteś tu? Bill?

To dość upiorne, jak ich żywe głosy wybrzmiewają w ciszy, solidnej ciszy, nieprzyzwoicie głośne. Mężczyźni nie spodziewają się odpowiedzi. Ci z Tridentu twierdzili, że to akcja poszukiwawczo-ratunkowa, ale oni dobrze wiedzą, że szukają ciała. Nadzieja, że latarnicy po prostu uciekli, umarła w chwili, gdy drzwi okazały się zamknięte na klucz. Muszą gdzieś tu być, w środku.

Przywieźcie ich po cichu, mówili w Tridencie. Dyskretnie. Znajdźcie jakiegoś szypra, który umie trzymać język za zębami. Nie róbcie zamieszania, żadnych scen, nikt nie musi o tym wiedzieć. I sprawdźcie, czy latarnia dobrze działa, na litość boską, niech ktoś to sprawdzi.

Trzech mężczyzn wspina się jeden za drugim. Ściana na kolejnym poziomie jest obwieszona detonatorami i ładunkami do armatek mgielnych. Żadnych śladów walki. Każdy z mężczyzn myśli o domu, o żonie, o dzieciach, jeśli jakieś ma, o ciepłe kominka i dotyku dłoni na plecach: „Długi dzień, skarbie?”. Wieża to nie jest miejsce dla rodzin. Wieża zna tylko trzech latarników: trzech martwych latarników, których ciała są tu gdzieś ukryte. Gdzie znajdują zwłoki? W jakim będą stanie?

Docierają na trzecie piętro, do zbiorników z parafiną, potem na czwarte, gdzie trzyma się olej do palnika. Jeden z mężczyzn znowu woła, głównie po to, żeby przerwać złowróżbną ciszę. Nic nie świadczy o pośpiesznym opuszczeniu latarni, nie ma śladów ucieczki, nic, co wskazywałoby, że latarnicy się gdzieś udali.

Ze składu oleju kierują się na klatkę schodową, żeliwną spiralę przyklejoną do ściany wewnętrznej, prowadzącą na samą górę, do laterny. Poręcz lśni. Latarnicy reprezentują specyficzny typ człowieka – mają obsesję na punkcie dokładnego sprzątnięcia, polerowania, pucowania, glansowania. Nie ma na świecie miejsca czystsze niż latarnia morska. Mężczyźni szukają na mosiężnej powierzchni odcisków palców, ale żadnych nie widać: z powodu tej właśnie pieczołowitości latarnicy nigdy nie dotykają poręczy. Choć gdyby któryś z nich się śpieszył, gdyby się potknął i złapał ją dla odzyskania równowagi, gdyby się zapomniał z powodu jakichś strasznych wydarzeń... Ale wszystko wydaje się w zupełnym porządku.

Kroki mężczyzn dudnią niczym żałobny bęben, głęboko i nieubłaganie. Już zaczynają tęsknić za bezpiecznym pokładem łodzi i obietnicą stałego lądu.

Oto i kuchnia. Trzy i pół metra średnicy, na środku rura, w której poruszają się obciążniki sterujące przesłoną lampy. Na ścianie trzy szafki, a w nich elegancko poustawiane puszki z żywnością: pieczona fasolka, bób, ryż, zupy, kostki rosółowe, mielonka, peklowana wołowina, pikle. Na blacie stoi nieotwarty słoik frankfurterek upakowanych ciasno niczym tkanka w laboratoryjnej próbówce. Pod oknem jest zlew – czerwony kurek

od deszczówki, srebrny od czystej, świeżej wody – i miednica do zmywania naczyń zostawiona do wyschnięcia. W przestrzeni między ścianą wewnętrzną a murem, na półkach wykorzystywanych przez latarników w charakterze spiżarni, leży samotna pomarszczona cebula. Nad zlewozmywakiem wisi szafka z lustrzanymi drzwiczkami, bo to pomieszczenie pełni również funkcję łazienki – wewnątrz mężczyźni znajdują szczoteczki do zębów, grzebienie, jeden flakon old spice’a i jeden tabaca. Obok komoda ze sztućcami, talerzami i kubkami, wszystko porządnie poukładane, jak można się było spodziewać. Zegar wiszący na ścianie zatrzymał się na ósmej czterdzieści pięć.

– Co to...? – pyta mężczyzna z wąsami.

Stół przygotowany do posiłku, który nie został spożyty. Dwa nakrycia, nie trzy – przy każdym nóż, widelec i talerz czekający na jedzenie. Dwa puste kubki. Sól i pieprz. Tubka musztardy i umyta popielniczka. Błat z laminatu, w kształcie półksiężyca, okala ściśle rurę na środku; pod spodem ławka i dwa krzesła – z jednego wyłazi wypełnienie, drugie stoi krzywo, jakby ktoś wstał z niego w pośpiechu.

Drugi mężczyzna, ten z zaczeską, sprawdza piekarnik, czy coś się nie podgrzewa, ale kuchenka jest zimna i pusta. Przez okno słyszą westchnienia morza obmywającego skały w dole.

– Nie mam pojęcia – mówi, nie tyle odpowiadając na pytanie, ile przyznając się do ogólnej, przerażającej niewiedzy.

Mężczyźni zerkają na sufit.

W latarni morskiej nie ma się gdzie schować, w tym rzecz. W każdym pomieszczeniu, od dołu do góry, można zrobić dwa kroki do rury z ciężarkami i kolejne dwa do przeciwległej ściany.

Wchodzą wyżej, do sypialni. Trzy koje w kształcie banana, dopasowane do okrągłych ścian, wszystkie z rozsuniętymi zasłonkami. Łóżka są skrupulatnie posłane, prześcieradła mocno naciągnięte, poduszki i koce wielbłądziej barwy szorstkie w dotyku. Na górze znajdują się jeszcze dwa krótsze łóżka dla gości i drabinka, po której można się do nich dostać. Pod schodami wnęka na schowek, zasłonięta kotarą. Ten z zaczeską odsuwa ją, wstrzymując oddech, ale jego oczom ukazuje się tylko skórzana kurtka i dwie koszule na wieszakach.

Siódme piętro, trzydzieści metrów nad poziomem morza. W salonie stoi telewizor i trzy wysiedziane fotele z ramą z giętego drewna. Na podłodze

przy największym fotelu – domyślają się, że należącym do głównego latarnika – stoi filiżanka z resztką zimnej herbaty na dnie. Za rurą z obciążnikami biegnie inny przewód z dołu. Może główny latarnik mógłby teraz do nich zejść; siedzi w laternie, czyści lampę. Pozostali też tam są, na galerii. Sorry, nie słyszeli.

Tutaj zegar na ścianie pokazuje tę samą godzinę, zatrzymaną w czasie. Za kwadrans dziewiątą.

Do pomieszczenia obsługi prowadzą podwójne drzwi. Teoretycznie trupy mogłyby tam leżeć – przestrzeń między drzwiami powstrzymałaby smród rozkładu. Jednak, tak jak się już spodziewali, i tutaj nikogo nie ma. Zaczyna im się kończyć wieża. Została już tylko laterna. Przeszukali dziewięć pięter i wszystkie puste. Oto i ona, na samej górze, latarnia Maiden – potężna lampa gazowa obudowana soczewkami delikatnymi niczym ptasie skrzydła.

– Nic więcej nie ma. Zniknęli.

Na horyzoncie pojawiają się pierzaste chmury. Wiatr zmienia kierunek, tworzy na falach białe grzbiety. Jakby tych latarników w ogóle nigdy tam nie było. Albo to, albo wdrapali się na szczyt i po prostu odlecieli.

II

1992

4

ZAGADKA

„Independent”, poniedziałek, 4 maja 1992 roku

PISARZ CHCE ROZWIKŁAĆ TAJEMNICĘ MAIDEN ROCK

Autor powieści przygodowych Dan Sharp wyrusza na misję w poszukiwaniu prawdy kryjącej się za jedną z najbardziej zagadkowych historii naszych czasów. Sharp, który ma na koncie marynistyczne bestsellery, takie jak *Oko cyklonu*, *Cicha woda* i *Trafiony, zatopiony*, wychował się nad morzem i już od dawna fascynowało go to niewyjaśnione zniknięcie. Po raz pierwszy miałby podjąć się napisania książki niefabularnej. – Od dziecka ciekawiła mnie ta historia. Chciałbym rzucić nowe światło na sprawę Maiden Rock, porozmawiać z uczestnikami tamtych wydarzeń – mówi pisarz.

Dwadzieścia lat temu, zimą 1972 roku, trzech latarników zniknęło z wieży morskiej w Kornwalii, kilkadziesiąt kilometrów od Land's End. Zostały po nich intrygujące ślady: drzwi zamknięte na klucz od środka, dwa zegary zatrzymane na tej samej godzinie i stół nakryty do posiłku. W dzienniku pogodowym główny latarnik zanotował sztorm wokół wieży – jednak niebo, co trudne do wytłumaczenia, było bezchmurne.

Jakiż dziwny los spotkał tych nieszczęśników? Tego właśnie zamierza się dowiedzieć Sharp. – W tej historii jest wszystko, czego szuka powieściopisarz: dramatyzm, tajemnica, morskie niebezpieczeństwo. Tyle że to nie fikcja – dodaje. – Wierzę, że każdą zagadkę da się rozwiązać, to tylko kwestia szukania w odpowiednich

miejscach. Założę się, że gdzieś tam ktoś na pewno wie więcej, niż chce powiedzieć.

5

HELEN

No to zaczynamy, pomyślała, patrząc, jak mężczyzna kawalek dalej parkuje samochód, butelkowozielonego morrisa minora z rurą wydechową sterczącą z tyłu jak przekrzywiona fajka. Helen zastanawiała się, dlaczego on czymś takim jeździ. Musi być przecież bogaty, jeśli wierzyć informacjom o jego książkach: pierwsze miejsca na listach bestsellerów i tak dalej.

Od razu go zauważyła, chociaż przez telefon nie podał żadnego opisu. Może powinna była go o to poprosić, bo przecież trzeba uważać z wpuszczaniem obcych do domu. Ale to musiał być on. Miał na sobie granatową dwurzędową kurtkę marynarską, a na twarzy przyklejony na stałe wyraz skupienia i namysłu, jakby całymi dniami ślęczał nad naukowymi rękopisami, które nie chciały zdradzić mu swoich tajemnic. Był młodszy, niż się spodziewała, nie miał nawet czterdziestki.

– Odczep się – powiedziała Helen nieuważnie, czując muśnięcie psich wąsów na dłoni. – Potem cię wyprowadzę. – Pójdzie do lasu, przegoni ją przez mokrą, lepką ściółkę. Uspokoila ją ta wizja, myśl, że będzie coś „potem”.

Pisarz nosił parcianą torbę, Helen oczyma duszy widziała, że jest pełna paragonów i zapalniczek; wyobrażała sobie, że facet nigdy nie ścieli łóżka i pozwala kotom spać na kuchennym blacie. Na śniadanie zjadł pewnie płatki Weetabix, wysypane do miseczki z rozerwanego kartonu, ale skończyło mu się mleko, więc zalał je wodą z kranu. Zapalił papierosa, pograżając się w rozmyślaniach o Maiden Rock i notując pytania, które chciał jej zadać.

Po tylu latach nadal to robiła. Dokonywała oceny na oko, zanim miała okazję skorzystać z innych zmysłów, poddawała temu testowi każdą nowo

poznaną osobę. Czy ta osoba kogoś straciła tak jak ona? Czy rozumie, jak to jest? Czy stoi po tej samej stronie okna co ona, czy po przeciwnej, niewiarygodnie odległej? Uznała, że w jego przypadku nie ma to większego znaczenia – w końcu pisarz może sobie wyobrazić uczucie straty.

Ale czy na pewno? Helen była dość sceptyczna, czy rzeczywiście uda mu się wyobrazić sobie niewyobrażalne. Dla niej to uczucie było spadaniem. Nieważkością. Niedowierzaniem. Czekaniem, aż ktoś ją złapie, ale nikt nie łapał, ciągnęło się to przez wiele lat i spadała, i nie pojawiały się żadne rozwiązania, brakowało jasności i poczucia domknięcia, zakończenia jakiegoś etapu. W psychologii określa się to angielskim terminem *closure*, ostatnimi czasy bardzo modnym i nadużywanym przez wszystkich, którym posypał się związek albo stracili pracę, a ona zawsze wtedy myślała, że z takimi zdarzeniami stosunkowo łatwo sobie poradzić; nie spychały człowieka w przepaść bez dna. A tak właśnie było stracić kogoś, kto rozplynął się w powietrzu. Żadnego śladu, żadnej przyczyny, żadnej wskazówki. Jak mógłby to wszystko zrozumieć Dan Sharp interesujący się okrętami wojennymi, bronią i pijakami z doków?

Marzyła o tym, by nawiązać kontakt z innymi osobami takimi jak ona: rozpoznać ich i w zamian także zostać rozpoznaną. Potrafiłaby wyczytać stratę z ich twarzy, to nie takie oczywiste, jakąś gorycz czy rezygnację, te upiory, od których już tak długo starała się uwolnić. Powiedziałyby: „Rozumiesz, prawda? Ty rozumiesz”, nie wiadomo, co usłyszałyby w odpowiedzi, ale jeśli nie miałyby wynikać z tego nic dobrego, jakaś życzliwość i zrozumienie, to po co to wszystko?

Tymczasem upiory nadal czały się między ubraniami w szafie, dostawała dreszczy, kiedy ubierała się rano, albo widywała je przykucnięte w kątach, skubiące skórę z kciuków. Nie miała pewności, mówili terapeuci (dawno już u żadnego nie była), a pewność to choćby milimetr, o który można się zaczepić końcami paznokci.

No to idzie, otwiera już furtkę. Zamknął ją za sobą, nie bez trudności, bo zasuwka zardzewiała. Radio w kuchni grało *Scarborough Fair*; Helen czuła się nieco otumaniona melancholijną piosenką, wzmiankami o morskiej toni i batystowej koszuli, raczej gorzką niż słodką historią prawdziwej miłości. Od czasu do czasu pojawiały się jej w głowie dzikie myśli na temat Arthura i pozostałych, ale w zasadzie nauczyła się je okiełznywać. Jakież tajemnice

mogłaby zdradzić latarnia morska? Ich sekrety zostały pochowane pod wodą, tak jak jej.

Helen pamiętała męża we fragmentach, unosiły się na wietrze niczym liście wpadające do kuchni przez tylne wyjście. Czasem udawało jej się jedno takie wspomnienie złapać i porządnie mu się przyjrzeć, ale zwykle tylko patrzyła na te liście, unoszone przez wiatr wokół jej stóp, i zastanawiała się, jakim cudem znajdzie w sobie energię, żeby je pozamiatać.

Po stracie świat się wcale nie zmienił. Nadal powstawały piosenki. Czytano książki. Wojny toczyły się dalej. Pary kłóciły się nad wózkami przed Tesco, po czym wsiadały do samochodu, mocno trzaskając drzwiami. Życie się odradzało, wciąż od nowa, bez cienia współczucia. Czas płynął swoim zwykłym rytmem, przyływy i odpływy, początki i końce, rozsądne progresje, które wszystko stabilizowały, ani myśląc o gwizdaniu w lesie na obrzeżach miasteczka. Zaczęło się jako gwizd wydobywający się z suchych warg. Przez lata się wyostrzył, przerodził w pogodny, nieprzerwany dźwięk.

Rozległ się i teraz, wraz z dźwiękiem dzwonka. Helen wsadziła ręce do kieszeni kardiganu i zaczęła się bawić paproszkami. Lubiała to uczucie, kiedy wciskała utoczoną kulkę pod sam paznokieć – ból, ale niezupełnie bolesny.

6

HELEN

Proszę wchodzić. Proszę, zapraszam. Przepraszam za bałagan. Miło z pana strony, ale nie ma co zaprzeczać, naprawdę straszny tu nieporządek. Napije się pan herbaty, kawy? Herbaty, cudownie – z mlekiem i cukrem? No tak, w dzisiejszych czasach wszyscy taką piją. Moja babcia pijała czarną z plasterkiem cytryny, teraz rzadko ktoś taką lubi. Ciasta? Przykro mi, kupne.

Czyli jest pan pisarzem, tak? Fascynujące. Nigdy jeszcze żadnego nie spotkałam. Ludzie często mówią, że każdy mógłby napisać książkę. Sama też o tym myślałam, ale żadna ze mnie pisarka – potrafię wymyślić, co chciałabym napisać, ale trudno przekazać to innym. W tym chyba tkwi sedno. Po śmierci Arthura wszyscy mówili, że dobrze by mi zrobiło przelanie uczuć na papier, żeby wyrzucić je z głowy. Sam jest pan twórcą, więc pewnie wierzy pan, że tego rodzaju zajęcia wzbogacają człowieka, prawda? No ale w końcu nigdy niczego nie napisałam. Nie wiem, czy chciałabym, żeby obcy ludzie czytali cokolwiek, co mogłabym napisać.

Dwadzieścia lat! Mój Boże, trudno uwierzyć. Mogłabym zapytać, dlaczego zdecydował się pan na ten temat? Jeśli liczy pan na to, że mój mąż był jak ci macho z pańskich książek, a ja uraczę pana opowieścią o misjach, katastrofach morskich i tak dalej, to muszę pana rozczarować.

Owszem, to intrygująca sprawa, jeśli słuchać pogłosek. Ja jednak tkwiłam w samym jej środku, bardzo blisko jądra, więc nie postrzegam jej w ten sposób. Ależ nie, niech pan nie przeprasza, naprawdę. Nie mam nic przeciwko rozmawianiu o Arthurze, dzięki temu czuję, jakby ciągle przy mnie był. Gdybym próbowała udawać, że nic się nie wydarzyło, już wiele lat temu napytałabym sobie biedy. Nie można uciekać od tego, co nas w życiu spotyka.

Przez te lata nasłuchiłam się wszystkich możliwych teorii. Arthura porwali kosmici. Zamordowali go piraci. Szantażowali przemysłowców. Pozabijał pozostałych latarników albo oni zabili jego, potem siebie nawzajem, a na koniec popełnili samobójstwo – poszło o jakąś kobietę, o długiego albo o wyrzuconą na skałę skrzynię pełną skarbów. Nawiedzały ich duchy albo uprowadziły władze. Grozili im szpiegi albo pożarły ich węże morskie. Wpadli w obłąd, wszyscy albo przynajmniej jeden. Mieli drugie, sekretne życie, o którym nikt nie wiedział, majątek zakopany na plantacjach w Ameryce Południowej, oznaczony krzyżykiem na mapie. Popłynęli do Timbaktu i tak im się tam spodobało, że już nie wrócili... Kiedy dwa lata później zaginął ten cały lord Lucan, niektórzy mówili, że pojechał spotkać się z Arthurem i resztą na jakiejś bezludnej wyspie, przypuszczalnie razem z tymi wszystkimi biedakami, którzy zaplątali się w Trójkąt Bermudzki. No błagam! Pan na pewno wolałby historię tego typu, ale to przecież totalny absurd. Nie jesteśmy w pańskim świecie, tylko w moim, a to nie jest żaden thriller, tylko moje życie.

Pięć minut wystarczy? Chodzi mi o ciasto – gdyby było zegarem, to ukroiłabym panu kawałek wielkości pięciu minut. W takim razie proszę podać talerzyk. Proszę bardzo. Muszę przyznać, że nigdy nie miałam ręki do wypieków. Uważa się, że to zajęcie dla kobiet, chociaż sama nie wiem czemu. Arthur radził sobie lepiej niż ja. Wiedział pan, że uczyli ich pieczenia chleba? Kandydaci na latarników uczą się najróżniejszych przydatnych umiejętności.

Ze wszystkich wież latarnianych najbardziej podoba mi się nazwa Bishop. Brzmi jakoś tak godnie, majestatycznie. Z jednej strony myśli się o biskupie, z drugiej o figurze gońca w szachach. Arthur był świetnym szachistą, dlatego też nigdy z nim nie grałam, bo oboje lubiliśmy wygrywać, żadne z nas nie chciało się poddać drugiemu. Jako latarnik musiał lubić karty i inne gry towarzyskie, bo mają tam przecież strasznie dużo wolnego czasu. Poza tym taka partyjka w cribbage czy remika pomaga budować więzi. No i herbata! Jeśli taki latarnik na pewno się na czymś zna, to na picciu herbaty. Wypijali nawet po trzydzieści filiżanek dziennie. W wielu stacjach jedyną obowiązującą zasadą brzmiała: jeśli jesteś w kuchni, to robisz herbatę dla wszystkich.

Latarnicy i ich bliscy to najzwyczajniejsi ludzie. Przekona się pan o tym i mam nadzieję, że nie będzie pan rozczarowany. Ludzie z zewnątrz myślą, że to jakaś mistyczna służba, bo jesteśmy raczej zamknięci. Wyobrażają

sobie, że małżeństwo z latarnikiem to ekscytujące życie w aurze tajemnicy, ale to nieprawda. Gdybym miała to jakoś streścić, powiedziałabym, że trzeba się przygotować na długie okresy rozłąki i krótkie, bardzo intensywne okresy spędzania czasu razem. Te intensywne przypominają trochę spotkanie znajomych po latach, jest to ekscytujące, ale zarazem niełatwe. Robisz sobie wszystko po swojemu przez dwa miesiące, a tu nagle pojawia się mężczyzna i to on jest panem domu, a ty musisz grać drugie skrzypce. Potrafiło mnie to mocno wytrącić z równowagi. Nie tak wygląda tradycyjne małżeństwo. Naszego na pewno nie można było nazwać konwencjonalnym.

Czy tęsknię za morzem? Nie, ani trochę. Kiedy stało się, co się stało, chciałam jak najszybciej się wyprowadzić. Dlatego przeniosłam się tutaj, do miasta. Nigdy nie przepadałam za morzem. Domy latarników są otoczone wodą, z okien nie widać nic innego, gdziekolwiek się obrócisz, tam morze. Czasami człowiek miał wrażenie, że mieszka w akwarium. Kiedy przychodziła burza z piorunami, widoki były spektakularne, zachody słońca też całkiem ładne, ale na co dzień morze to szarówka, wielka szara połać, na której niewiele się dzieje. Chociaż w zasadzie jest bardziej zielone niż szare, powiedziałabym, że seledynowe albo *eau de Nil*. Wiedział pan, że nazwa tego koloru znaczy „woda Nilu”? Długo byłam przekonana, że tam jest *eau de nul*, „woda niczego”, a morze kojarzy mi się z nicością, więc nadal tak o tym myślę. Woda niczego.

Dzisiaj ta historia wcale nie ma dla mnie więcej sensu niż tamtego dnia, kiedy Arthur zniknął. Ale jest mi trochę łatwiej. Z czasem nabiera się dystansu, można spojrzeć na wydarzenia z przeszłości i nie czuć emocji, które im towarzyszyły. Emocje się uspokoiły i nie wysuwają się już na pierwszy plan, jak na początku. To ciekawe, bo czasami ta sprawa wcale nie wydaje mi się taka dziwna – cóż, przyszła wysoka fala i ich zmyło. Kiedy indziej znowu myślę sobie, że to historia nie z tego świata, aż zapiera mi dech w piersiach. Jest tyle szczegółów, o których nie mogę przestać myśleć, te zamknięte drzwi, zatrzymane zegary, nie dają mi spokoju, a kiedy takie myśli nachodzą mnie wieczorem, muszę wziąć się w garść i jak najszybciej się ich pozbyć. Inaczej nie zdołałabym zasnąć. Przypomina mi się widok morza z okien naszego domku, wydaje się takie wielkie, puste i obojętne, że muszę włączyć sobie radio dla towarzystwa.

Myślę, że wydarzyło się właśnie to, co powiedziałam: morze nagle wezbrało i wzięło ich z zaskoczenia. Jak to się nazywa? Brzytwa Ockhama.

To taka zasada, zgodnie z którą najprostsze rozwiązanie zwykle jest prawdziwe. Nie ma sensu niepotrzebnie komplikować spraw, całość nie zawsze musi być czymś więcej niż sumą części.

Utonięcie to jedyne realistyczne wytłumaczenie losu Arthura. Jeśli się pan z tym nie zgadza, to zapuszcza się pan w labirynt fantazji, las opowieści o duchach, teorii spiskowych i innych bzdur, w które ludzie wierzą, zresztą już o nich wspominałam. Ludzie uwierzą we wszystko, a jeśli mają wybór między kłamstwem a prawdą, wolą kłamstwo, bo zwykle jest bardziej interesujące. Jak już mówiłam, morze wcale nie jest interesujące, kiedy trzeba codziennie na nie patrzeć. Ale to ono ich zabrało. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

Musi pan zrozumieć jedną najważniejszą rzecz, jeśli chodzi o wieże latarniane... był pan kiedyś na takiej? Taka wieża wyrasta bezpośrednio z morza. Nie stoi na wyspie, gdzie ma się kawałek ziemi, na którym można czasem pospacerować, uprawiać ogródek warzywny, hodować owce czy co tam się chce. Diametralnie różni się też od latarni lądowych, gdzie mieszka się blisko rodziny, a kiedy ma się wolne, można się przejechać do miasteczka i żyć zupełnie zwyczajnie, byle wywiązywać się z obowiązków podczas swojej zmiany. Wieża tkwi po prostu na środku morza, więc latarnicy nie mają gdzie się podziać: albo są wewnątrz, albo ewentualnie na odsadzce. W ramach ćwiczeń można sobie pobiegać wokół wieży, ale bardzo szybko zakreśliłoby się w głowie.

Ach, racja, przepraszam: odsadzka to taka platforma pod drzwiami wejściowymi, otacza wieżę jak oponka. Leży jakieś dziesięć metrów nad wodą, wydaje się, że to duża odległość, ale jeśli akurat się tam stoi i przyjdzie wysoka fala, to zmywa człowieka i koniec. Słyszałam o latarnikach, którzy stamtąd łowili ryby, obserwowali ptaki albo czytali książki. Jestem pewna, że Arthur tak robił, bo był z niego prawdziwy mól książkowy. Zawsze powtarzał, że ten czas spędzony w latarni to dla niego czas na naukę, zabierał ze sobą najróżniejsze lektury, powieści, biografie, książki o przestrzeni kosmicznej. Zaczął się interesować geologią – wie pan, kamienie i skały. Zbierał je i katalogował. Mówił, że w ten sposób może się wiele nauczyć o różnych epokach.

Nieważne, co się robi na tej odsadzce, to jedyne miejsce zapewniające dostęp do świeżego powietrza. Nie można tak po prostu wystawić głowy przez okno, bo mury są strasznie grube, a poza tym mają podwójne okna,

zewewnętrzne i wewnętrzne, oddzielone od siebie o jakiś metr, więc trzeba by wcisnąć się w tę szczelinę, co raczej nie byłoby zbyt wygodne. Można wyjść na galerię, czyli ten balkon na górze, dookoła laterny, ale jest tam ciasno, a poza tym trzeba by mieć długą żyłkę, żeby łowić stamtąd ryby.

Któryś z nich – nie chciałabym zgadywać który, ale być może Arthur, bo on zawsze lubił spędzać czas z dala od innych, w samotności – mógł wyjść na odsadzkę i usiąść sobie z książką, wiatr był spokojny, jeden–dwa stopnie, a potem nagle, nie wiadomo skąd, wezbrała potężna fala i go zmyła. Morze bywa takie nieprzewidywalne. Sam pan zresztą wie. Arthura raz tak dorwało w Eddystone, kiedy zaczynał. Dopiero co awansował na stanowisko pomocnika – zastępcy głównego latarnika – i wyszedł na odsadzkę wysuszyć pranie, a tu znikąd pojawiła się gigantyczna fala i zwała go z nóg. Miał szczęście, że nie był sam i kolega zdążył go złapać, bo w innym razie straciłabym go wiele lat wcześniej. Trochę go to wytrąciło z równowagi, ale nic poważnego mu się nie stało. Co innego z praniem – obawiam się, że już nigdy go nie zobaczył. Musiał pożyczać ubrania, dopóki nie przyplęnęła łódka ze zmiennikiem.

Ale Arthur niewiele sobie robił z takich przygód. Latarnicy nie należą do przesadnie emocjonalnych osób – nie denerwują się łatwo ani nie roztrząsają każdej sprawy. W tej pracy najważniejsze jest zachowanie spokoju i zimnej krwi, żeby wziąć się do roboty i zająć się wszystkim, czym trzeba. Innych Trident by nie zatrudniał. Arthur nigdy nie bał się morza, nawet kiedy robiło się naprawdę groźnie. Opowiadał mi, że podczas sztormu fale pryskają nawet na kuchenne okna – a przypominam, że to jakieś dwadzieścia pięć metrów nad powierzchnią wody – a głązy toczą się po dnie i uderzają w fundamenty wieży, tak że cała konstrukcja się trzęsie. Ja na pewno bym się bała. Ale Arthur nie – czuł, że morze jest po jego stronie.

Czasem kiedy wracał na ląd, wydawał się jakiś nieswój. Zupełnie nie w swoim żywiole, jak ryba wyjęta z wody, jak to się mówi. Nie wiedział, jak żyć na lądzie, a na morzu nie miał tego problemu. I kiedy się żegnaliśmy, zawsze zauważałam, jak bardzo się cieszy, że wraca na wieżę, że znowu ją zobaczy.

Nie orientuję się, ile książek o oceanie już panu wydali, ale wymyślanie opowieści to zupełnie co innego niż opisywanie rzeczywistości. Morze w każdej chwili może się zwrócić przeciwko nam, wystarczy moment

nieuwagi; potrafi w mgnieniu oka zmienić nastrój i zupełnie go nie obchodzi, kim jesteście. Arthur potrafił to przewidywać, na przykład po wyglądzie chmur albo dźwięku wiatru gwiżdżącego za oknem; potrafił na słuch ocenić, czy wieje z siłą sześciu czy siedmiu stopni – tak że skoro ktoś taki jak on, najbardziej doświadczony człowiek, jakiego znałam, dał się zaskoczyć, to dowodzi, że warunki potrafią się zmienić naprawdę nagle i niespodziewanie. Może zdążył jeszcze krzyknąć i pozostali przybiegli mu na pomoc? Śliskie podłoże, atmosfera paniki – w takiej sytuacji niewiele trzeba, żeby całą trójkę zmyło do wody.

Przyznaję, te zamknięte drzwi to faktycznie osobliwość. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, to że te drzwi wejściowe do latarni są grubym kawałem metalu – muszą być solidne, żeby wytrzymać w tych warunkach – więc na pewno od razu same się zatrzasną. A że były dodatkowo zaryglowane od środka... Tak, to nie daje mi spokoju. Ale z drugiej strony tam są zamontowane takie ciężkie żelazne zasuwki, więc tak sobie myślę, że może jeśli drzwi zatrzasnęły się wystarczająco mocno, to te rygle mogły po prostu spaść...?

Sama nie wiem. Jeśli to brzmi głupio, to niech się pan zastanowi nad jakimś innym wytłumaczeniem, a potem sprawdzi, które bardziej panu pasuje, kiedy zacznie pan się nad tym zastanawiać w środku nocy. Zatrzymane zegary, zamknięte drzwi, zastawiony stół – to wszystko pobudza wyobraźnię, prawda? Ja jednak podchodzę do tego praktycznie. Nie jestem przesądna. Ten, który miał tego dnia dyżur w kuchni, widocznie był po prostu zorganizowany i wolał z wyprzedzeniem przygotować stół do kolejnego posiłku. W latarni morskiej jedzenie to bardzo ważny temat, harmonogram posiłków jest rzeczą świętą. A że były tylko dwa nakrycia? Może nie zdążył jeszcze położyć trzeciego, tyle.

A dwa zegary, które zatrzymały się w tym samym czasie? Dziwne, ale nie niemożliwe. To jak z plotką, która coraz bardziej się zniekształca z każdym powtórzeniem; jakiś bystrzak coś wymyśli, a z czasem zaczyna się to traktować jak fakt, choć to wcale nie fakt, tylko krzywdzące słowa z ust nieżyczliwej osoby.

Miałam nadzieję, że w Tridencie uznają to oficjalnie za utonięcie, żeby rodziny nie musiały żyć w takiej niepewności, ale tego nie zrobili. Z mojego punktu widzenia jednak utonęli. Prawdziwa ze mnie szczęściara,

że ustaliłam to sobie we własnej duszy i umyśle, bo potrzebuję takiej pewności, nawet jeśli oficjalnie nie potwierdzono tej wersji.

Jenny Walker, żona Billa, nie zgodziłaby się ze mną. Odpowiada jej, że nie ma żadnego rozwiązania. Gdyby się pojawiło, odebrałoby jej resztki nadziei, że Bill jeszcze kiedyś wróci. Ja wiem, że oni nigdy nie wrócą. Każdy jednak po swojemu radzi sobie z różnymi sprawami. Nie można komuś narzucić sposobu przeżywania żałoby, to bardzo indywidualna kwestia.

Ale szkoda. To, co nas spotkało, powinno było nas połączyć. Nas, kobiety. Nas, żony. Tymczasem stało się zupełnie odwrotnie. Nie widziałam Jenny od czasu dziesiątej rocznicy, a nawet wtedy nie rozmawiałyśmy. Trzymałyśmy się od siebie z dala. Przykro mi, że tak jest, ale takie życie. Nie poddałam się jednak i próbuję to zmienić. Uważam, że ludzie powinni wspólnie przeżywać takie rzeczy. Kiedy spotyka nas najgorsze, sami nie dajemy sobie rady.

Dlatego właśnie z panem rozmawiam. Bo twierdzi pan, że chce dotrzeć do prawdy, a ja mam chyba tak samo. Prawda jest taka, że kobiety są ważne dla siebie nawzajem. Ważniejsze niż mężczyźni, ale pan nie będzie chciał o tym słuchać, bo ta książka, jak wszystkie inne pańskie książki, jest o mężczyznach, prawda? Mężczyzn interesują inni mężczyźni.

Ale ja widzę to inaczej. Tamta trójka zostawiła nas trzy, a mnie interesuje to, co zostało. To, co jeszcze możemy zrobić, jeśli w ogóle cokolwiek.

Domyślam się, że jako powieściopisarz skupi się pan na tych różnych przesądach i zjawiskach nadprzyrodzonych. Ale proszę pamiętać, że ja nie wierzę w takie rzeczy.

Jak to „jakie rzeczy”? Zaraz, to pan jest pisarzem, niech pan sam do tego dojdzie. Przez tyle lat życia nauczyłam się, że ludzie dzielą się na dwie grupy. Tych, którzy gdy słyszą jakiś trzask w ciemnym pustym domu, zamykają okna, bo to na pewno wiatr. I tych, którzy gdy słyszą jakiś trzask w ciemnym pustym domu, zapalają świecę i idą sprawdzić, co to było.

7

16 Myrtle Rise
West Hill
Bath

Jennifer Walker
Kestle Cottage
Mortehaven
Cornwall

2 czerwca 1992 r.

Droga Jenny!

Minęło sporo czasu od mojego ostatniego listu. Choć nie oczekuję już od Ciebie odpowiedzi, mam nadzieję, że przeczytasz te słowa. Chcę interpretować Twoje milczenie jako znak pokoju między nami – a może nawet wybaczenia z Twojej strony?

Chciałam tylko dać Ci znać, że zgodziłam się porozmawiać z panem Sharpem. Nie była to pochojna, nieprzemyślana decyzja. Tak jak Ty nigdy wcześniej nie informowałam osób z zewnątrz o tym, co się stało. Postępowaliśmy zgodnie z wytycznymi od Trident House.

Mam jednak już dość tych wszystkich sekretów, Jenny. Dwadzieścia lat to kawał czasu. Starzeję się. Muszę pozbyć się tego ciężaru, przez lata dźwigałam to brzemie w milczeniu, z wielu powodów, i teraz wreszcie muszę się nim z kimś podzielić. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

Jak zawsze serdecznie pozdrawiam Ciebie i Twoich bliskich

Helen

JENNY

Po obiedzie zaczęło padać. Jenny nie znosiła deszczu. Nie cierpiała tego, jak robiło się brudno, kiedy dzieci wracały do domu przemoczone, zwłaszcza Hannah z podwójnym wózkiem, zwłaszcza tuż po tym, jak posprzątała. Tyle zachodu na marne.

No i gdzie on jest? Spóźnia się już pięć minut. Bezcelność, pomyślała, spóźnić się na spotkanie z kimś, kto nawet o to nie prosił. Zgodziła się tylko z powodu Helen, bo nie zamierzała pozwolić, żeby Helen Black opowiadała o niej kłamstwa – albo i prawdę – które potem zostaną wydrukowane i wszyscy będą mogli je sobie przeczytać. Podobno facet jest sławny. Nie robiło to na niej wrażenia. Jenny nie czytała książek. Wystarczała jej lektura dwutygodnika „Los i Przeznaczenie”.

Ten facet pewnie oczekuje czerwonego dywanu. Nieważne, że się spóźnia, bo przecież jest nadzianym snobem, więc może robić, co mu się żywnie podoba. Teraz zادةpcze jej wszystkie podłogi ubłoconymi buciorami. Jenny czuła się niezręcznie, prosząc gości o zdjęcie butów – powinni sami się domyślić.

Zafiksowała się na swojej niechęci do deszczu. Przez tyle lat martwiła się, że łódka ze zmiennikiem się opóźni i upłynie jeszcze więcej czasu, zanim znowu zobaczy Billa. W dniach poprzedzających jego powrót do domu obsesyjnie skupiała się na warunkach atmosferycznych, z obawy, że pogoda się zmieni i łódka nie będzie mogła po niego wypłynąć, a im bardziej ją śledziła, tym bardziej pogoda naprawdę zdawała się zmieniać, jakby chciała jej zrobić na złość. Planowali, że po przejściu Billa na emeryturę przeprowadzą się do Hiszpanii, za skromne oszczędności kupią domek na południu, z basenem, ceramicznymi donicami na patio i różowymi kwiatkami wokół drzwi, a dzieci będą przyjeżdżać do nich na

wakacje. Jenny zdecydowanie wolała słońce – deszcz psuł jej nastrój, a w Anglii padało całymi miesiącami, potwornie przygnębiające. Czułaby się znacznie lepiej, gdyby przenieśli się do tej Hiszpanii, wygrzewali kości i popijali brandy alexander aż do zachodu słońca. Teraz każdy deszcz przypominał jej, że nigdy tak nie będzie.

List od Helen poniewierał się w koszu na śmieci. Jenny powinna w ogóle nie otwierać tych kopert i od razu drzeć je na strzępy. Za każdym razem, kiedy kolejna wpadała przez szczelinę w drzwiach, mówiła sobie: spalę to, porwę na kawałki, utopię w zlewozmywaku.

Ale nigdy nie trzymała się tego postanowienia. Jej siostra twierdziła, że czytanie listów od Helen zbliża Jenny do Billa, bo stanowią swoiste ogniwo łączące ją z zaginionym mężem, nieważne, jak wielką odrazę budzi w niej ten fakt. Listy Helen stanowiły dowód, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Jenny była kiedyś jego żoną, kochali się. Kiedyś było dobrze. To nie sen.

Ekran stojącego w salonie telewizora nagle zrobił się czarny, w środku odcinka *Napisała: morderstwo*. Jenny podniosła się z kanapy i walnęła urządzenie. Obraz powrócił: bohaterka chowała się w garderobie przed uzbrojonym mężczyzną. Pomyślała, że sama też mogłaby tak zrobić. Mogłaby zamknąć się w szafie i udawać, że nie ma jej w domu. Ale lada chwila przyjdzie ten cały Dan Sharp. Jeśli z nim nie porozmawia, nie będzie mogła się dowiedzieć, jakie brednie wyssała z palca tamta krowa. Choć Jenny naczytała się przez lata najróżniejszych bzdur na temat Maiden Rock i nauczyła się już podchodzić do nich z bardzo dużym dystansem, nadal czuła się w obowiązku nimi przejmować. Zawsze gdy widziała jakiś artykuł na temat tej sprawy, dzwoniła do redakcji i domagała się rozmowy z osobą odpowiedzialną za publikację, żeby przedstawić swoją wersję i wyprostować fakty. Jakby stawała w obronie członka rodziny.

Niebo za oknem pociemniało. Daleko, za dachami domów widać było skrawek morza, którego Jenny trzymała się kurczowo niczym koła ratunkowego. Potrzebowała tego morza, pewności, że ono tam jest, najbliższe, co jej po nim zostało. W czasie brzydkiej pogody widok znikał, co wywoływało u niej panikę, wyobrażała sobie, że morza nie ma, że znalazła się daleko od niego, że w ogóle wyschło i teraz kości jej męża walają się nagie na piasku.

„Latarnik nigdy nie opuszcza stanowiska pracy”.

Nasłuchiwała się tego po zniknięciu Billa.

Skoro nie opuściłby latarni, to co w takim razie zrobił? Przez lata przyzwyczała się do tej niewiedzy, to był przyjemny, znajomy, wygodny stan, jak para znoszonych kapci z dziurami w podeszwach, które ciągle się nosi, mimo że nie spełniają już swojej roli.

Cóż, żona nigdy nie opuszcza męża. Jenny nigdy się stąd nie wyprowadzi. Przynajmniej dopóki nie pozna prawdy, a wtedy, może wreszcie wtedy będzie mogła spać.

Usłyszała przybycie gościa, szuranie na progu i kaszel palacza. Zaskoczyło ją pukanie do drzwi. Splotła drżące ręce. Racja, przypomniała sobie, dzwonek nie działa.

9

JENNY

Wolałabym spotkać się z panem gdzie indziej, ale złapałam gumę. Szwagier obiecał, że zmieni mi oponę, ale jeszcze nie przyjechał. Ja zupełnie nie znam się na samochodach. Bill się tym zajmował. Teraz go nie ma, więc cóż, mam szczęście, że Carol i Ron mieszkają tak blisko. Nie wiem, co ja bym bez nich zrobiła. Chyba nie dałabym rady.

Proszę wejść. Zapalę światło. Staram się za dużo nie świecić, bo to przecież kosztuje. Trident przyznał nam rentę, ale moja ledwie starcza mi na życie. Nie mogę pracować, więc nie mam jak sobie dorobić. Zresztą nigdy nie pracowałam. Kiedy Bill siedział na latarniach, ja wychowywałam dzieci, co innego miałabym robić? Nie wiedziałabym, od czego zacząć szukanie pracy. Nie wiem nawet, do czego bym się nadawała.

No dobrze, niech pan pyta, co chce pan wiedzieć? Nie mam dużo czasu, czekam na fachowca od telewizora. Co ja bym zrobiła bez telewizji! Leci przez cały dzień, dotrzymuje mi towarzystwa. Kiedy telewizor jest wyłączony, czuję się samotna. Najbardziej lubię teleturnieje, zwłaszcza te błyszczące. Lubię *Familiadę*, bo jest dużo kolorów i migających świateł. Zwykle nie wyłączam telewizora, kiedy idę spać, żeby grał od samego rana, żeby po przebudzeniu miała komu powiedzieć „dzień dobry”. Pomaga mi zająć czymś myśli. Dlatego noce są najgorsze.

Wybrał pan sobie bardzo ponury temat. Wystarczy, że ta tragedia w ogóle się wydarzyła, nie trzeba jeszcze o tym pisać książki. Nie rozumiem zresztą, po co ktoś chciałby czytać o tej ciemnej stronie życia. Dość już tego mamy na świecie. Nie mogłoby być więcej pogodnych historii? Niech pan przekaże to pytanie wydawcy.

Pewnie chciałby się pan czegoś napić, co? Mam kawę, ale herbata mi się skończyła. Przez ten zepsuty samochód nie miałam jak jechać na zakupy,

a nie lubię chodzić pieszo. Zresztą sama i tak nie piję. Nie? Nawet wody? Jak pan sobie chce.

To zdjęcie całej rodziny na przylądku Dungeness. Wnuk ma pięć lat, bliźniaczki mają dwa. Gromadka Hanny – nie chciała wcześniej zakładać rodziny, ale życie tak już się potoczyło. Hannah to moja pierworodna. Potem jest Julia, dwadzieścia dwa lata, i Mark – dwadzieścia. Dziewczynki dzieli spora różnica wieku, bo długo nie mogłam zajść w ciążę – Billa wiecznie nie było w domu. Skąd, wcale nie czuję się za młoda na babcię. Czuję się staro. Staro jak na moje lata. Robię dobrą minę do złej gry, bo dzieciaki nie chcą ciągle oglądać smutnej babci, ale wymaga to ode mnie wielkiego wysiłku. Na przykład w dniu urodzin Billa albo w naszą rocznicę najchętniej nie wychodziłabym z łóżka, nie chce mi się nawet wstać, żeby otworzyć drzwi. Nie obchodzi mnie, że ciągle w tym tkwię, że nie próbuję zostawić przeszłości za sobą. To nie miałyby sensu. Nigdy nie pogodzę się z tym, co zaszło.

Jest pan żonaty? Tak myślałam, że nie. Słyszałam, że pisarze tak mają. Interesujecie się tylko tym, co macie w głowie, a nie tym, co się dzieje dookoła.

Nigdy nie czytałam pana książek, więc nawet nie wiem, co pan tam sobie pisze. Z jednej zrobili serial, prawda? *Pokłon Neptuna*. To akurat oglądałam. Puszczała w BBC przed świętami. Całkiem w porządku. To pana było, prawda?

Nie rozumiem, czemu tak się pan interesuje naszymi sprawami. Nie ma pan bladego pojęcia o latarniach morskich, o ludziach, którzy w nich pracują, o niczym. Wiele osób emocjonuje się tamtymi wydarzeniami, ale nie muszą zaraz przerabiać tego na rozrywkę. Nie rozwiąże pan tej zagadki, choćby nie wiem, jak wysokie miał pan o sobie mniemanie.

Znaliśmy się z Billem od dziecka. Zeszliśmy się, kiedy mieliśmy po szesnaście lat. Ani przed nim, ani po nim nie byłam z żadnym innym mężczyzną. Z mojego punktu widzenia nadal jesteśmy małżeństwem. Do dziś, kiedy mam jakąś wątpliwość, na przykład ile opakowań paluszków rybnych kupić dla wnuków na podwieczorek, zastanawiam się, co Bill by mi poradził. To pomaga podjąć decyzję.

Nigdy nie rozumiałam innych kobiet, które kłóciły się z mężami. Przy każdej okazji się ich czepiały, gasiły ich przy ludziach. Na przykład że rzucają brudne ciuchy na podłogę albo nie myją porządnie naczyń. Ciągle

tylko narzekały i narzekały, nawet się nie zastanowiły, jak wielkie mają szczęście, że mogą spędzać z mężem każdy wieczór, że nie muszą za nim tęsknić. Przecież to wszystko nie ma żadnego znaczenia, te ciuchy, zmywanie i tak dalej. Nie to się w życiu liczy. Jeśli ktoś nie potrafi odpuścić takich drobnostek, to w ogóle nie nadaje się do małżeństwa.

Co mogę powiedzieć o Billu? Przede wszystkim nie przepadał za ludźmi, którzy pchają nos w nie swoje sprawy. No ale domyślam się, że to panu niewiele da.

Billowi od zawsze był przeznaczony los latarnika. Jego matka zmarła przy porodzie, niewesoła sprawa, więc wychowywał się tylko z ojcem i braćmi. Ojciec był latarnikiem, tak samo jak dziadek i pradziadek. Latarnikami zostali więc także wszyscy trzej bracia. Nie mieli innego wyjścia. Bill nie był z tego powodu szczęśliwy. Myślę, że w głębi duszy chciał innego życia, ale nie miał na to szans, bo nikt go o to nie zapytał. Nie miał w tej rodzinie nic do powiedzenia, zupełnie nic.

Wciąż próbował zadowalać innych. Mówił mi czasem: „Jen, chcę po prostu spokojnego życia”, a ja odpowiadałam, że po to właśnie jestem, żeby mu je zapewnić. Oboje mieliśmy trudne dzieciństwo i na początku właśnie to nas do siebie zbliżyło. Rozumiałam Billa, a on rozumiał mnie. Nie musieliśmy sobie nic tłumaczyć. Docenialiśmy codzienne radości, na które normalni ludzie nawet nie zwracają uwagi, takie jak przytulny dom i ciepły posiłek na stole. Zależało nam, żeby nasze dzieci miały lepiej. Nie chcieliśmy powtarzać błędów swoich rodziców.

Z początku mieliśmy szczęście, Billa wysyłano na stacje lądowe, gdzie mogliśmy mieszkać razem, albo na wyspy, gdzie zapewniano zakwaterowanie. Już przy pierwszym spotkaniu, bez owijania w bawełnę, powiedziałam Billowi, że źle się czuję sama, lubię zawsze mieć towarzystwo, więc jeśli chcesz się ze mną ożenić, to tylko na takich warunkach. Firma starała się do nas dostosować, brali pod uwagę nasze potrzeby, ale wiedziałam, że prędzej czy później trafi się wieża. Obawiałam się tej chwili. Musiałabym spędzać sama całe dni, niczym biedne samotne matki wychowywać dzieci. Na wieże zgłaszają się zwykle mężczyźni bez rodziny – jak Vince, ten nadetatowiec, on nie miał nikogo, więc było mu wszystko jedno, gdzie go wyślą. Nam nie było wszystko jedno. Jestem wściekła, bo przecież nigdy nie chcieliśmy tej głupiej wieży, a i tak go tam przydzielili – i widać, jak to się skończyło.

Maiden jest najgorsza, bo stoi tak daleko od lądu, wygląda groźnie i po prostu brzydka. Bill mówił, że w środku jest ciemno i duszno, że czuł się tam jakoś nieswojo. „To takie nieprzyjemne, ciężkie uczucie”, mówił. Teraz oczywiście ciągle o tym myślę. Żałuję, że nigdy nie dopytałam o szczegóły, ale zwykle po prostu zmieniałam temat, bo nie chciałam go denerwować. Zresztą nie lubiłam, kiedy podczas pobytu na łodzi zbyt dużo myślał o wieży. Ona miała go już wystarczająco dużo. Tak długo musieliśmy zawsze na niego czekać, że kiedy już tu był, chcieliśmy, żeby nie zaprzętało go nic innego.

Ostatnia noc przed powrotem Billa do latarni zawsze była najgorsza. Kiedy tylko stawiał stopę na lądzie, robiło mi się niedobrze na myśl, że będzie musiał tam wrócić – wielka strata, bo przez to nie cieszyłam się tak bardzo jego obecnością w domu. Za bardzo fiksowałam się na myśli, że znów wyjedzie. Ostatni wieczór zawsze spędzaliśmy tak samo. Siadaliśmy przytuleni na kanapie i oglądaliśmy *Call My Bluff* albo jakiś inny program niewymagający zbyt wiele myślenia. Bill mówił, że przed powrotem za każdym razem dopada go „kanał” – tak nazywał to uczucie, mieszankę nerwów i smutku, która mu wtedy towarzyszyła. Tłumaczył mi, że to samo czuli marynarze, kiedy wracali na statek po przepustce i dopiero po kilku dniach oswajali się z myślą, że są daleko od domu, a wcześniej musieli się przyzwyczaić, zwalczyć tęsknotę za prawdziwym życiem. Billowi zaczynało to doskwierać, nawet jeszcze zanim opuszczał dom. Sama wizja, że będzie musiał się z tym zmierzyć, była dla niego niemal równie okropna. Wyglądał przez okno, widział, że Maiden czeka na niego tam daleko, a kiedy zapadał mrok, zapalała się, jakby chciała powiedzieć: „Ha! Myślałeś, że już o tobie zapomniałam, co? Nic z tego”. Okropnie było ją widzieć z domu. Lepiej, gdybyśmy nie mieli takiego widoku.

Ciągle sprawdzaliśmy prognozy, na wypadek gdyby zmiana miała się opóźnić. Z jednej strony mieliśmy nadzieję, że tak będzie, z drugiej przeciwnie, bo to by tylko wydłużyło czekanie. Na kolację robiłam ulubione danie Billa, wołowinę zapiekaną w cieście i roladę lodową na deser, przynosiłam mu tacę, żeby mógł zjeść przed telewizorem, ale z powodu „kanału” nie miał apetytu.

W kalendarzu skreślałam dni do jego powrotu. Na szczęście przy dzieciach zawsze miałam co robić. Kiedy Hannah była malutka, mieszkaliśmy wszyscy razem w stacji lądowej, ale z jej rodzeństwem już tak nie było. Wysłali go na wieżę, kiedy Julia miała kilka miesięcy, więc

zostałam sama z pięciolatką i niemowlakiem cierpiącym na kolkę. Nie było łatwo. Za każdym razem, gdy mój wzrok padał na Maiden, przepelniał mnie gniew. Stała tam sobie, taka zadowolona z siebie. To nie fair, że ona go miała, a ja nie, przecież to ja go bardziej potrzebowałam.

Hannah cieszyła się, że ma tatę latarnika, bo pomagało jej się to wyróżnić z tłumu: ojcowie kolegów i koleżanek byli listonoszami albo sklepikarzami. Oczywiście żadna praca nie hańbi, ale takich zawodów jest na pęczki, wie pan? Hannah twierdzi, że go pamięta, ale wątpię. Wspomnienia są bardzo intensywne na samym początku i potem przez całe życie mocno się nas trzymają, ale nie zawsze można im ufać.

Kiedy Bill miał wrócić na przepustkę, kupowałam jego ulubione produkty spożywcze i robiłam specjalne czekoladki. Taki mój mały rytuał. Nie chciałam niczego zmieniać. Zależało mi na tym, żeby wiedział, czego się spodziewać po powrocie do domu, i żeby to już na niego czekało, gotowe. Tak jak ja byłam na niego gotowa. To takie drobiazgi podtrzymują małżeństwo: nie muszą wiele kosztować, ale mówią tej drugiej osobie, że ją kochamy i nie żądamy niczego w zamian.

Nie mam pojęcia, co się stało z moim mężem. Gdyby zostawili otwarte drzwi, gdyby zabrali łódkę, gdyby zniknęły kalosze i płaszcze przeciwdeszczowe, to może uwierzyłabym, że Bill zginął na morzu. Ale szalupa została na miejscu, zydwestki też, a drzwi były zamknięte na klucz od środka. Niech się pan zastanowi. Ciężka metalowa płyta nie może się sama zamknąć. Do tego dochodzą zegary i nakryty stół – nic tu się nie zgadza.

Dzień wcześniej, dwudziestego dziewiątego, Bill kontaktował się przez radiotelefon, że sztorm dobiega końca i że w sobotę będą gotowi na przyjęcie zmiennika.

W Trident House mają zapis tamtej rozmowy, nagranie w niezłej jakości, ale założę się, że nie pozwolą się panu do niego zbliżyć. Oni tam są skryci i nie lubią rozmawiać o tym, co się wydarzyło, bo stawia ich to przecież w bardzo kiepskim świetle. Tak czy inaczej, Bill mówił: zrobmy to jutro, wyślijcie rano łódkę Jory'ego. A oni na to: w porządku, Bill, tak właśnie zrobimy. I tak, wiem, co Helen sądzi na ten temat – że nagle przyszła jakaś wielka fala. Nie dziwi mnie, że tak myśli, bo nigdy nie grzeszyła wyobraźnią. Ale ja wiem, że to nieprawda.

Nigdy nie zapomnę głosu Billa przez radio. Pamiętam każde słowo, intonację, ton jego głosu. Brzmiał jak mój mąż, zupełnie normalnie. Tylko jedna rzecz mnie zdziwiła – na koniec rozmowy, zanim się rozłączył, nastąpiła dłuższa przerwa. Wie pan, jak kiedy ogląda się telewizję, sygnał na chwilę zanika i obraz przeskakuje do przodu? No to coś takiego.

Należę do osób, które zawsze pytają: a co jeśli? A co, jeśli tamtego dnia nie zdarzył się żaden dziwaczny kataklizm? Co, jeśli Billa porwano? Nie wiem, kto albo co miało go porwać. Jest tyle niewiadomych – co się stało, jak to było, kto tam był, czy zrobił to któryś z nich – że myślę o nich codziennie, ale zawsze wracam do tego samego. Wiem, że kiedy wypowie się to na głos, brzmi absurdalnie. Ale ja po prostu w to wierzę. Wieża z latarnią, samotna pośród morza, to jak owca oddzielona od stada. Łatwy cel.

Nie wygląda mi pan na kogoś, kto wierzy w takie rzeczy. Nie obchodzi mnie to. Powiem tyle, że może pan najwyżej spróbować stracić tę jedną osobę, która jest dla pana całym światem, i na własnej skórze przekonać się, czy łatwo będzie potem postawić grubą kreskę i stwierdzić: no trudno, stało się, koniec. Do dziś słyszę głos męża, wie pan? Nadal słyszę go tak, jakby to było wczoraj. Na przykład wiem pranie na dworze i słyszę, jak Bill woła mnie z domu, tak po prostu, jakby na przykład naprawiał łańcuch w rowerze i wszedł do domu spytać, czy nie chcę się napić kawy.

Wiem, że to niemożliwe. Nawet nie mieszkamy tam gdzie wtedy. Przeprowadziłam się, nie wiedziałby, gdzie mnie szukać. Nie mogliśmy zostać w tamtym domku, to zakwaterowanie dla rodzin latarników, a nie zaginionych latarników. Mimo to przy przeprowadzce czułam się tak, jakbym akceptowała to, że on już nigdy nie wróci. Smutno mi się robi, kiedy sobie wyobrażam, że staje na prog, a mnie tam nie ma. Ale przecież któryś z obecnych mieszkańców domków przy Maiden by mi powiedział. Takie fantazje potrafią namieszać w głowie.

Helen nie ma skłonności do fantazjowania. Jest zbyt zimna i rzeczowa. Dlatego założę się, że nie powie panu prawdy. Nie sądzę, żeby w ogóle znała znaczenie tego słowa. Przez cały ten czas, kiedy się znałyśmy, potrafiła tylko kłamać. Helen pisze do mnie listy i wysyła kartki z życzeniami na święta, ale mogłaby sobie to darować. I tak ich nie czytam. Najchętniej już nigdy nie miałabym z nią żadnego kontaktu.

Można by pomyśleć, że chciałyby mieć jakichś znajomych, biorąc pod uwagę, jak wcześniej wyglądało jej życie. Ale Helen nigdy o tym nie wspominała. Mieszkałyśmy drzwi w drzwi, mogłybyśmy być blisko – przecież to właśnie robiły żony głównych latarników w całym kraju, troszczyły się o rodziny i przejmowały stery, kiedy mężczyzn nie było. Jeśli my dogadywałyśmy się w domkach, oni dogadywali się na wieży. Taką zasadą kierujemy się w służbie latarnianej.

Ale nie Helen. Uważała się za wyjątkową. Zadzierała nosa z tymi swoimi drogimi apaszkami i elegancką biżuterią. Myślę, że nawet gdybym mogła wydać fortunę na to, jak wyglądam, nadal byłabym zupełnie zwyczajna, bo piękno tkwi w nas, prawda? A ja nigdy nie czułam się piękna.

W normalnym życiu nigdy byśmy się nie spotkały. Żałuję, że nasze ścieżki się przecięły.

Helen ma pecha, że w nic nie wierzy. Gdyby nie wiara, już dawno bym z tym wszystkim skończyła. Czasem nadal nachodzą mnie takie myśli, ale potem przypominam sobie o dzieciach i nie mogę. Gdybym miała pewność, że po drugiej stronie spotkam Billa, to kto wie, może. Może. Ale jeszcze nie. Muszę podtrzymywać nasze światło.

Ci z Trident House próbowali mi kiedyś wmówić, że Bill zrobił to umyślnie. Wskoczył na pokład jakiegoś statku z Francji i popłynął, żeby zacząć nowe życie. Nie należę do osób gwałtownych, ale ledwie się wtedy powstrzymałam przed urządzeniem dzikiej awantury. Bill nigdy by mi tego nie zrobił. Nie zostawiłby mnie samej.

Oho, ktoś puka do drzwi. Pewnie fachowiec od telewizora.

To wszystko? Jeśli nie, to będzie musiał pan przyjść kiedy indziej. Nie może pan zostać, bo się stresuję, kiedy mam się zajmować jednocześnie dwiema rzeczami, a muszę się skupić na naprawie telewizora. Mam nadzieję, że się uda, bo wieczorem nadają *Come Dancing*. Bardzo nie lubię, kiedy nie mogę sobie spokojnie oglądać ulubionych programów.

10

HELEN

Każdego lata odbywała pielgrzymkę, mniej więcej w jego urodziny. Zostawiała psa u koleżanki i jechała pociągiem na najbliższą stację, jakieś pół godziny od wybrzeża, a resztę drogi pokonywała taksówką. Niewiele się zmieniało, wszystko było tak samo. Choć na powierzchni życie toczyło się dalej, ziemia pod spodem poruszała się powoli. Fale przetaczały się do brzegu, cierpliwe i niezmiennie, od zawsze i na zawsze; liście buków powiewały niczym chińskie wachlarze.

Helen skręciła z głównej ulicy i ruszyła ścieżką. W powietrzu wisiały rozedrgane chmary meszek, a z gęstego żywopłotu unosiła się rozgrzana woń dojrzałej trybuli. Na drózkę padały ciepłe cienie – pomarańczowe światło rozdzielone przez ciemne pnie drzew. Minęła tablicę obwieszczającą, że oto wkracza na cmentarz w Mortehaven. Rozsypujące się nagrobki chyliły się w nierównych już rzędach, opadały w kierunku krawędzi cypla, za którą jak okiem sięgnąć rozciągało się olśniewająco błękitne morze.

Nie było grobu. Na cyplu stała ławka z inskrypcją:

ARTHUR BLACK, WILLIAM WALKER, VINCENT BOURNE
UKOCHANI MĘŻOWIE, OJCOWIE, BRACIA, SYNOWIE
„JAK LATARNIA MORSKA
ŚWIECI ŁASKA MISTRZA WIELE LAT”

Często słyszała, jak Arthur śpiewał tę szantę. Siedząc na brzegu wanny, gwizdał melodię w kłębach pary; nucił przy umywalce, mydląc twarz, albo w kuchni, kiedy smażył plastry bekonu i odrąbywał kromki chleba tak grubaśne, że mogłyby służyć za ogranicznik do drzwi. „Więc rzucajmy swe

promienie w ciemną noc wśród życia dróg”. Wracił do domu, pachnąc glonami, po czym siadał w swoim fotelu i jadł ociekające octem frytki z zatłuszczonego papieru, dłońmi wielkimi i spękany niczym donice z terakoty, z aureolami wokół paznokci. Arthur potrafił palcami łapać całe ryby – czy naprawdę? Miał w sobie coś magicznego: magię morza, był pół człowiekiem, pół istotą słonowodną. Nie od razu wiedziała, że za niego wyjdzie. Dopiero kiedy zabrał ją na przejażdżkę łódką, zobaczyła go na wodzie i już nie miała wątpliwości. Po prostu wiedziała. Woda zmieniała go nie do poznania. Trudno to wyjaśnić. Po prostu wszystko się harmonijnie zgrywało.

Tabliczka na słupku wskazywała drogę DO KOMPLEKSU LATARNI MORSKIEJ. Prowadząca w tamtym kierunku kręta ścieżka zwężała się, coraz mocniej porośnięta zielenią, krawędzie kipiały płataniną prymulek i pokrzyw. Kawalek dalej, po pokonaniu pewnego odcinka pod górę, po raz pierwszy pojawiała się Maiden Rock.

Wieża lśniła wśród kobaltowego morza, linia czysta i prosta niczym pociągnięcie piórem. Latem może się tu zjawiać garstka entuzjastów latarni morskich, pomyślała Helen; docierają do tego miejsca, nogi mają podrapane cierniami tarniny i ostrymi liśćmi fiołków, i podziwiają latarnię z oddali, srebrną smugę na srebrnej tafli – a potem zawracają, zmęczeni, spragnieni zimnych napojów, i już nigdy więcej nie muszą o niej myśleć.

Na ścieżce biegnącej przez nakrapianą kwiatami łąkę wyrastała nagle metalowa brama z napisem: LATARNIA MORSKA MAIDEN ROCK. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Teraz zamieniono domki na wakacyjne, wstęp mieli tylko letnicy. Dróżka była zbyt wąska i kręta dla śmieciarki; pod bramą stały stłoczone plastikowe kubły z namazanymi białą farbą numerami lokali.

To tutaj Helen co roku oczekiwała, że zobaczy, jak on do niej idzie. Może byłby z nim ktoś jeszcze, dwie sylwetki z dłońmi uniesionymi w geście powitania, a ona odpowiedziałaby tym samym. Musiała mieć nadzieję, że tak właśnie jest: że ludzie, którzy są sobie przeznaczeni, w końcu się odnajdują.

III

1972

ARTHUR Okręty i gwiazdy

Najwięcej o tobie myślę, kiedy wstaje słońce. W tych chwilach tuż przed wschodem, trwających minutę czy dwie, kiedy noc ziewa, zwiastując poranek, a niebo zaczyna się oddzielać od morza. Słońce powraca dzień po dniu. Nie wiem dlaczego. Mam tu swoje światło, strzegę go jak oka w głowie, świeci w ciemności i nie dopuszczę, by zgasło. Słońce nie musi się dzisiaj fatygować. Wciąż jednak przychodzi, a z nim myśli o tobie. Gdzie jesteś, co robisz. Chociaż nie należę do osób, które pogrążają się w takich myślach, to teraz, w tym szczególnym momencie, poddaję się im. Sam jak palec przez te samotne godziny prawie zaczynam wierzyć, że ponieważ słońce wciąż wschodzi, a ja tuż po świcie gaszę moje światło, bo nie jest już potrzebne, to możesz na mnie czekać, kiedy zejdem po schodach. Będziesz siedział przy stole z jednym z pozostałych, może nieco starszy, niż kiedy widziałem cię ostatnio, a może taki sam.

Osiemnasty dzień na wieży

Mijają godziny, noce przechodzą w świty, dni przechodzą w tygodnie, a bezkresne morze przetacza się falami, krople deszczu żądają skóry, słońce świeci do wieczora, od rana, rozmowy w półświatle, w niby-światle, rozmowy, które nigdy nie miały miejsca albo toczą się właśnie teraz.

– Znowu puszczali *Masterminda* – mówi Bill w kuchni, z petem w ustach, zgarbiony nad tymi swoimi muszlami. Kiedy zaczynał, powiedziałem mu, że każdy latarnik potrzebuje hobby, najlepiej takiego, które wymaga staranności, zajęcia, któremu można codziennie poświęcać czas, dążąc do perfekcji. Jeden główny latarnik, z którym kiedyś pracowałem, nauczył mnie, jak złożyć model szkunera i wsadzić go do butelki. Osobiście uważałem to za mocno upierdliwe, trzeba było strasznie

dokładnie sklejać żagle i tak dalej. Dopiero po długich tygodniach przygotowań mogłem wsunąć statek do butelki i postawić takielunek, a jeśli choć włoszek przykleiłem źle, to cała praca szła na marne. Samotność wymusza na człowieku coraz bardziej wyśrubowane standardy. Wiem, bo jestem na Maiden od dwudziestu paru lat, a Bill od dwóch.

- Jakie były tematy?
- Krucjaty – odpowiada. – *Thunderbirds*.
- Powinieneś kiedyś spróbować.
- W jakiej kategorii?
- No nie wiem, na czym tam się akurat znasz.

Bill zdmuchuje pył z rzeźbionej właśnie muszli, odkłada ją na bok, po czym odchyła się na oparcie, zakładając ręce za głowę. Mój zastępca wygląda pedantycznie i nieśmiało, włosy ma starannie przycięte wokół uszu, rysy twarzy drobne i precyzyjne – gdyby spotkać go na lądzie, można by go wziąć za księgowego. Dym wlatuje mu do nozdrzy i wylatuje bliźniaczymi strumieniami z kącików ust, zasilając widmową chmurę pozostałą po ostatniej osobie, która tu sobie kurzyła.

– Znam się na różnych rzeczach – odpowiada – ale na niczym wystarczająco dobrze.

– Dużo wiesz o morzu.

– No tak, ale to musi być konkretna dziedzina. Nie możesz powiedzieć prowadzącemu: niech mnie pan pyta o morze. Nie zgodziliby się, to zbyt szeroki temat.

– No dobra, to o latarniach.

– Nie rób sobie jaj, nie można wybrać dziedziny, która pokrywa się z wykonywanym zawodem. Imię i nazwisko: Bill Walker. Zawód: latarnik morski. Temat: latarnie morskie.

Gasi papierosa i zaraz zapala kolejnego. O tej porze roku jest tak zimno, że musimy szczelnie zamykać okna, a że to tutaj palimy, gotujemy i przypalamy jedzenie, robi się coraz gęstszy zaduch.

– Cieszysz się, że Vince wraca? – pytam.

Bill wypuszcza powietrze przez nos.

– Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

Biorę jego kubek i włączam czajnik. Rytm dni i nocy wyznaczają tu filizanki herbaty – zwłaszcza teraz, w grudniu, w samym środku zimy, kiedy słońce tak późno wschodzi i tak wcześnie robi się ciemno, a do tego można zdrętwieć z zimna. Budzę się o czwartej na poranną zmianę, po obiedzie wracam do łóżka, budzę się znowu, zasłony są zaciągnięte, popołudnie minęło. Jaki jest dzień? Czy to dziś, jutro, przyszły tydzień, jak długo spałem?

Kubek należy do Franka, czerwono-czarny z napisem „Brandenburger Tor”. Frank jest taki drobiazgowy, że na pewno weźmie go ze sobą, kiedy jutro wróci na brzeg, na wypadek gdyby ktoś chciał mu go świsnąć. Każdy z nas lubi inną herbatę, więc ten, który akurat ją parzy, musi pamiętać o gustach wszystkich. Chociaż Vince wraca po wielu tygodniach, dopilnujemy, żeby się nie pomylić. To pokazuje, że nie jest nam wszystko jedno. W domu Helen nigdy nie słodzi, ale nie narzekam, wolę się dostosować, zamiast wszczynać kłótnię. Tutaj zaraz zaczęlibyśmy sobie dogryzać. „Ty debil, masz pamięć bardziej dziurawą niż sieć na ryby”.

– A wiesz, że Frank najpierw wlewa mleko? – mówi Bill. – Torebka, mleko, potem woda.

– Pierdolisz. Przecież mleko idzie drugie.

– To samo mu powiedziałem.

– Herbata się nie zaparzy w zimnym mleku.

– Patrzcie go, „nie zaparzy”, mądrała pierdolony.

– Jak powiedziałby główny na Longships: uważaj na słowa, synu.

Ale z bluzgami jest jak z herbatą: rzucanie mięsem pomaga podtrzymać dialog. Przeklinając, pokazujesz rozmówcy, że jesteście przyjaciółmi i rozumiecie się wzajemnie. Nieważne, z kim akurat mam do czynienia ani że jestem tu przełożonym. Wpadamy w ten tryb od razu po przyjeździe, a po powrocie na ląd automatycznie się przestawiamy. Gdyby żony posłuchały nas choćby przez pięć minut, kompletnie by się załamały. W domu musimy gryźć się w język, żeby nie spytać, jak tam, kurwa, leci, zajebicie miło cię widzieć, kochanie, a tak przy okazji, to co dobrego wpięprzymy sobie na kolację?

– We wczorajszym odcinku jedna babeczka odpowiadała z Układu Słonecznego – podejmuje temat Bill.

– No widzisz, to jeszcze większe niż morze.

– Niby tak, ale od razu wiadomo, o co zapytają, o planety i te inne pierdoły. Czerwone karły, ciała niebieskie i czarne dziury. Karły, ciała i dziury, he, he.

– Ja pierdołę, Bill, wymyśliłbyś jakieś nowe żarty.

– Ale z morzem sprawa nie jest taka prosta. Z morzem nigdy nic nie wiadomo.

– Ja to właśnie w nim lubię.

– A ja nie. Nie lubię tego, czego nie znam.

Kiedy Bill pierwszy raz przyplłynął do Maiden, zastanawiałem się, jak to będzie. Niektórzy od razu się otwierają, inni nigdy. Bill był cichy, skryty. Przypominał mi goryla, którego widziałem raz w londyńskim zoo, w plastikowej gablocie przy wejściu dla zwiedzających. Od tamtej pory próbuję rozpracować, co dokładnie wyrażała mina zwierzęcia. Gniew i nudę, dawno wypalone. Rezygnację w stosunku do siebie. Litość pod moim adresem.

W latarni jest dużo czasu na rozmowy, zwłaszcza na środkowej zmianie, od północy do czwartej, kiedy konwersacja zaczyna błędzić różnymi ciemnymi zaułkami, o których za dnia nawet się nie wspominało. Ten, kto schodzi ze zmiany przed tobą, obudzi cię, zrobi herbatę, przygotowuje talerz z serem i herbatnikami i zanieś to wszystko do latarni, gdzie przez pierwszą godzinę będzie z tobą siedział, zanim sam pójdzie do łóżka. To wszystko po to, żeby pomóc ci się dobudzić, zapewnić mózgowi stymulację, żebyś zaraz nie usnął z powrotem. Kiedy siedzimy tam z Billem, mówi mi rzeczy, których zdradzenia żałuje w świetle dnia. Że powinien być innym człowiekiem, wieść inne życie, odmawiać w sytuacjach, kiedy mówił „tak”. Że Jenny pyta o jego muszelki, ale on nie chce jej ich dawać. Woli zachować je dla siebie, jak wiele innych rzeczy.

Na górę, do sypialni. Na początku musiałem się przyzwyczaić do bananowych łóżek. Ludzie z lądu strasznie się dziwią – „Myślałem, że jaja sobie robisz, naprawdę musicie spać na tych popierdolonych krzywych łózkach?” – ale przez te wszystkie lata kręgosłup chyba przystosował mi się do nietypowego kształtu, bo dawniej po dwóch miesiącach na wieży zaczynały mnie boleć plecy, a po powrocie na ląd łupało mnie w krzyżu jak staruszka. Teraz już właściwie nic nie czuję. Zwykłe łóżka wydają mi się jakieś sztywne i nieprzytulne. Zmuszam się, żeby zasypiać na wznak,

wyprostowany, ale budzę się zawsze z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej.

Powiniennem odpływać natychmiast, gdy moja głowa dotknie poduszki. Łapiemy każdą okazję, nieważne, czy trafia się w środku nocy albo nad ranem, czy uda się zanurzyć w sen na krótką chwilę, zanim środkowy zmiennik zapali światło – nie odpuścimy żadnej szansy na sen.

Przynajmniej dawniej tak miałem. Ostatnimi czasy sen mi ucieka, odbiega, stukając suchymi szponiastymi stopami. Umysł zalewają mi wizje morskich głębin i Helen, wizje wieży z perspektywy brzegu, ledwie widocznej z oddali, i powodujące zawrót głowy niewiarygodne wrażenie przebywania jednocześnie tutaj i tam, a może nigdzie. Obracam się plecami do zasłony oddzielającej moją pryczę od sypialni. W ciemności wbijam wzrok w ścianę, nasłuchuję odgłosów morza, powolnego bicia serca, a w głowie mi się kotłuje. Myślę i pamiętam.

Dziewiętnasty dzień

Świeci piękne słońce, co oznacza idealne warunki dla łódki ze zmiennikiem dla Franka, choć dociera spóźniona, tuż przed obiadem – okazuje się, że silnik nie chciał odpalić. Tak czy inaczej, Frank będzie miał dobre warunki w drodze powrotnej, a Vince'owi trafiła się przyjemna wysiadka – chociaż on nawet na wzburzonym morzu potrafi zgrabnie i bez żadnego problemu przeskoczyć z motorówki na odsadzkę. Vince jest młodym brunetem z wąsem à la Supertramp. Nie potrzebuje dużo czasu, żeby się zadomowić. Wszystko ma swoje miejsce, a my mamy wprawę w szybkim rozpakowywaniu, żeby jak najsprawniej podjąć obowiązki. Korespondencja przypląwa w zapieczętowanej torbie wodoodpornej. Jest jakieś oficjalne pismo zaadresowane do głównego latarnika, czyli do mnie.

– No to już po ptakach – mówi Vince. – Breźniew się nie załapie na Księżyc.

Czekamy na żarcie, a tymczasem Vince opowiada o nieudanym starcie radzieckiej rakiety, która w ubiegłym miesiącu eksplodowała w powietrzu. Dziwnie się słucho o zdarzeniach z tego drugiego, prawdziwego świata. Ten świat mógłby przestać istnieć, a my przez jakiś czas nie mielibyśmy o tym pojęcia. Nie jestem pewny, czy potrzebuję tego świata. Każde miasto czy miasteczko, a nawet pokój szerszy niż długość dwóch leżących mężczyzn

wydaje mi się niepoważnym kaprysem, niepotrzebnie skomplikowanym nadmiarem światła i hałasu.

– Cholerni komuniści – rzuca Bill. – Banda pieprzonych ponuraków, zawsze psują zabawę. Co jest gorsze: zagrożenie wojną czy gdyby już się po prostu do tego zabrali?

– No co ty, stary – oponuje Vince. – Ja tam jestem pacyfistą.

– Wcale mnie to, kurwa, nie dziwi.

– A co w tym złego?

– Pacyfizm to wymówka, żeby gówno zrobić. Jeśli nie liczyć zapuszczenia brody i przeruchania połowy Londynu.

Vince opiera się na krześle. Jest z nami zaledwie od dziewięciu miesięcy, ale wydaje się znajomy tak samo jak komoda w kuchni. Zetknąłem się już z dziesiątkami latarników, ale niektórych lubi się bardziej, a innych mniej. Nie jestem pewny, czy Bill polubił Vince'a.

– Zazdrościsz – mówi Vince.

– Spierdalaj.

– Jak dawno sam miałeś dwadzieścia dwa lata?

– Wcale nie tak dawno, jak ci się wydaje, chujku.

Taką mają dynamikę – Vince natrzęsa się z Billa, że jest zgredem, choć nie ma nawet czterdziestki, a Bill udaje, że się wkurza. To wszystko żarty, ale czuję, że Billowi naprawdę daje to w kość. Nigdy nie miał takiego życia. W wieku dwudziestu lat był już po ślubie, a Jenny planowała macierzyństwo. Latarnie go do siebie wzywały.

Vince przywiózł z lądu baleron, który teraz smaży się na patelni z jajkiem, pryskając, skwiercząc i nieziemsko pachnąc. Przez ostatnie dwa tygodnie jedliśmy z Billem wyłącznie konserwy, no i jasne, lepsze to niż nic, ale wiadomo, że nie umywają się do świeżego mięsa. Po jakimś czasie każda zawartość puszki zaczyna smakować tak samo, puszką, nieważne, czy to owoce w zalewie, czy kawał mielonki. Swoją drogą mielonka nie jest najgorsza, jeśli ją podgrzać, ale na zimno, rzucona prosto na talerz, jak jadają Vince i Frank, każdego zmieniałaby w wegetarianina.

Dzisiaj Bill ma dyżur w kuchni – gotuje najlepiej z nas wszystkich. Vince jest beznadziejny, a ja nawet daję radę, chociaż podchodzę do tego z mniejszym entuzjazmem, bo muszę sporo gotować na lądzie, a Bill wcale. Żona wszystko robi za niego. Bill twierdzi, że tak pewnie musi być

w więzieniu, wszystko za ciebie robią, „oprócz podcierania”, na co Vince odpowiada, że wcale nie, bo w więzieniu raczej nie byłoby pomarańczowej bezy, babeczek rumowych ani masażu stóp. Bill mu się na to odcina, że on pewnie coś o tym wie, typek spod ciemnej gwiazdy. A potem ja muszę wkroczyć i uspokoić sytuację, zanim wymknie się spod kontroli i przestanie być zabawnie.

– A kierownik co myśli? – zagaduje mnie Vince.

– O czym?

– Lepiej trzymać ich w szachu, czy pozwolić, żeby się powyrzynali?

Chciałbym powiedzieć, że cała ta zimna wojna, Nixon, ZSRR i katastrofy japońskich samolotów w Moskwie – to wszystko nie ma dla mnie sensu. Gdyby każdy miał swoją wieżę i parę osób, z którymi mógłby spędzać czas – po prostu być, bez żadnych oczekiwań ani wtrącania się – zapalać latarnię na noc i gasić ją o świcie, spać i czuwać, rozmawiać i milczeć, żyć i umrzeć, każde na swojej wyspie, to czy nie moglibyśmy uniknąć całej reszty?

Odpowiadam jednak inaczej:

– Lepiej utrzymać pokój, jeśli to tylko możliwe. – I mam nadzieję, że podczas tej zmiany mnie też się to uda.

Ale rozmowy o statkach kosmicznych przypominają mi dzień sprzed wielu lat. Na Beachy Head wstawał świt, siedziałem samotnie w laternie, już za chwilę miałem oddelegować obowiązki słońcu, gdy nagle zobaczyłem, że coś wpada do wody. Poranek był mglisty, miękki, dość wczesny, na niebie zamarudziły jeszcze ostatnie gwiazdy, było tak pięknie, że dawało do myślenia: może niebo już tutaj jest, wystarczy tylko się rozejrzeć, i wtedy nagle znikąd wystrzelił lśniący kawałek metalu, natychmiast połknięty przez wodę, tak że nie zostawił po sobie ani śladu. Nie potrafiłem określić wielkości tajemniczego obiektu ani dystansu od wieży, bo z góry morze wydaje się nieskończone.

Ale widziałem to i nie potrafiłem wyjaśnić. Jakaś część z samolotu, klapa czy spojler, wiem, że takie jest wytłumaczenie, wiem; ale było coś w tym ruchu, jakaś dynamika w upadku, pełna nieopisanego wdzięku i intencji. Nikomu o tym nie powiedziałem, ani pozostałym latarnikom, ani Helen. Ale pomyślałem wtedy, że to od ciebie.

To był piękny prezent, bardzo ci za niego dziękuję.

W sypialni zawsze jest ciemno, bo o każdej porze dnia i nocy ktoś tam śpi, a przynajmniej próbuje zasnąć. Zimą ciągła ciemność powoduje dezorientację czasową, przez samotne okienko zmierzch wygląda tak samo jak świt. Kiedy zamykam drzwi, moja dłoń spoczywa na nich przez chwilę, nieruchoma, o miękkich krawędziach, i wygląda, jakby należała nie do mnie, a do jakiegoś młodszego mężczyzny, który w innym świecie być może otwiera drzwi, a nie je zamyka.

Czytam teraz książkę *Obelisk i klepsydra*, rzecz o historii czasu. Znalazłem ją w sklepie z używanymi rzeczami na głównej ulicy w Mortehaven. Mam taką wizję, że w przyszłości osobiście zobaczę wszystkie te rzeczy, o których czytam: piramidy egipskie, świątynie Ameryki Południowej, wiszące ogrody w Babilonie. Kiedy miałbym to zrobić, jest kwestią drugorzędną; liczy się, że zawsze mam tę możliwość w myślach.

W podróż poślubną pojechaliśmy z Helen do Wenecji. Przez tydzień jedliśmy chleb z oliwą i plasterki szynki, różowe i cienkie jak bibułka. Włóczyliśmy się wilgotnymi uliczkami, przechodziliśmy pod mostami, pachniało jajkami i solą. Teraz wydaje mi się to nierealne: zatopiony świat z wody i cienia, dzwonów i złotych dachów.

Obelisk to wydanie kieszonkowe, w miękkiej oprawie z zegarem słonecznym na okładce. Na wieży mierzymy upływ czasu w dniach: na jakim etapie ośmioletniej zmiany jest każdy z nas. Helen mówi, że to jak więźniowie skreślający kredą na ścianie kolejne dni wyroku, i może coś w tym jest. W starożytnych Chinach czas odmierzano za pomocą świecy. Zaznaczano godziny kreskami, a potem sprawdzano, ile wosku się stopiło, i dzięki temu żadna godzina nie przepadała. Można było zebrać wosk, ulepić z niego nową świecę i zapalić. Jeśli tylko się chciało, cały ten czas był do odzyskania.

Helen nic nie wie, a ja nigdy bym jej o tobie nie powiedział. Nigdy nikomu bym o tobie nie wspomniał. Pewne rzeczy są prywatne i ty do nich należysz. Myślę jednak o tej świecy i o wypalonym czasie, o tym, czy godziny, które minęły, przepadają na zawsze, czy jest jakiś sposób, żeby je odzyskać. Co, jeśli mógłbym cię odzyskać?

Jestem tu już zbyt długo. Samotne noce i szpule ciemności, zwijające się i rozwijające w czarne morze, jeszcze czarniejsze niebo. Wyślij największego cynika na poranną zmianę, kiedy wschodzi słońce i krwiste

niebo wybucha pomarańczowym światłem, i niech mi powie, że nie ma nic więcej na tym świecie. Musi być coś więcej.

Na ekranie moich zamkniętych powiek miga pulsujące światło latarki na brzegu. Wzywa mnie z ciemności, świeci i świeci, nalega, żebym się odwrócił i spojrział.

12

BILL Przeprawa

Trzydziesty piąty dzień na wieży

Ile już razy zapalałem to światło? Osiem miesięcy w roku, każdego roku, plus minus jakieś zaległości, to daje dwieście czterdzieści dni; pomnożyć przez liczbę lat, które spędziłem w zawodzie, a będzie z piętnaście, czyli wychodzi trzy tysiące sześćset razy zapalania tego światła albo podobnego. Wolę nawet nie liczyć, ile godzin spędziłem przez ten czas w latarniach.

Przygotować denaturat, podgrzać parafinę, odkręcić kurek i przyłożyć zapałkę do oparów. Mógłbym to robić z zasłoniętymi oczami, chociaż Trident raczej by na to nie pozwolił. Płomienie tańczą w szklanej klatce. Na Maiden samo źródło światła się nie porusza, tylko otaczające je soczewki się obracają, wzmacniając snop światła, tak by sięgnął daleko na morze.

Jest ósma. Kończę zmianę o północy. Dzięki temu mogę spać w godzinach, które odpowiadają normalnej nocy na lądzie. Przez czas dzielący mnie od fajrantu będę pilnował, żeby palnik się nie zatkał i nie spadło ciśnienie; będę rejestrował pogodę, temperaturę, widoczność, ciśnienie atmosferyczne i siłę wiatru. Poza tym – a są to rzeczy, które już nie wymagają ode mnie uwagi – będę siedział i zastanawiał się, jak człowiek może zmienić coś w swoim życiu, jeśli nie przynosi mu ono szczęścia. Mam na to bardzo dużo czasu. Kiedy zapalam światła i je gaszę, polega na mnie cały świat. Świt i zmierzch należą wyłącznie do mnie, mogę robić z nimi, co mi się żywnie podoba. To daje poczucie mocy, sprawczości.

Vince przywiózł mi paczkę od Jenny. Jeśli od razu nie przeczytam listu, będzie to nade mną wisiało, dyszało mi w kark tak samo, jakby to ona tu była. Czasami tutaj na górze, ze światłem, można poczuć drugą osobę, jeśli

człowiek się postara. Czuje się, że tu z nami jest, czy nam się to podoba, czy nie. Mogłaby siedzieć tuż obok, zaczyna się to czuć we włoskach na rękach. Albo siedzi tuż za nami, patrzy na tył naszej głowy, myśli na nasz temat najróżniejsze rzeczy, których wcale byśmy nie chcieli. Obracamy się i nikogo nie ma, w laternie jest pusto, jesteśmy sami. Ale sprawdziliśmy.

Jak zwykle dołożyła paczkę domowych czekoladek. Widzę, jak łyżeczką nakłada kolejne porcje na papierki, w radiu lecą *The Archers*. Jenny Heaton. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, wychodziła ze szkoły, miała warkocze i spódnicę zasłaniającą kolana. Jenny nie lubi swoich kolan, twierdzi, że są ciastowate. Siostra powiedziała jej kiedyś, że wyglądają jak pierogi, i Jenny zapamiętała to sobie na zawsze. Tak jak ja nigdy nie zapomnę o tym, jak Susan Price, dziewczyna z sąsiedztwa, z którą się spotykałem, po kilku miesiącach zerwała ze mną, mówiąc: „Za niski jesteś, Bill, potrzebuję kogoś wyższego”.

Z początku nie było źle z Jenny. Leżeliśmy w łóżku u niej w domu, jej matka przysypiała pijana na kanapie w salonie, zimne palce Jenny splatały się z moimi. Czułem pod kołdrą jej kolana, mówiłem, że mi się podobają, wszystko z nimi w porządku, może mógłbym znowu ją pocałować? Niewiele rozmawialiśmy. Nie należałem do gadatliwych, a jej to nie przeszkadzało; lubiłem to w niej, różniła się pod tym względem od innych dziewczyn. Któregoś razu wyszeptała w ciemności: „Jesteś taki sam jak ja, Bill”, a ja leżałem potem do rana, nie mogąc przestać o tym myśleć. Chodziło mi tylko o to, żeby pójść z dziewczyną do łóżka i opowiedzieć potem o tym braciom. Teraz poczułem, jakby zaczynały oplatać mnie macki zaborczości. Jakby ktoś przekręcił klucz.

Jenny pisała do mnie na papeterii, którą zwinęła z wypasionego hotelu w Brighton, gdzie spędziliśmy miesiąc miodowy.

Bill, kochany, tęsknię za Tobą. To już ponad miesiąc. W domu jest tak pusto bez Ciebie. Chciałabym, żebyś już do nas wrócił. Dzieci codziennie pytają, kiedy wrócisz (to jeszcze bardziej pogarsza mój nastrój!). Bez przerwy płaczę. Malutki zresztą też, przez całą noc. Próbuję być dzielna, ale bardzo mi ciężko. Nie mogę się pogodzić z myślą, że tak długo nie będziemy się widzieć, a jesteśmy dopiero na półmetku rozłąki. Nie chcę nic robić, dopóki nie wrócisz. Nigdzie nie chodzę, z nikim się nie spotykam. Zresztą i tak tylko bym się popłakała, a tak wiele kosztuje mnie powstrzymywanie się od łez.

Czuję jej palce splecione z moimi, w tamtym łóżku.

Inni tego nie rozumieją, prawda, Bill? Nie rozumieją, jak bardzo za Tobą tęsknię, jak Cię potrzebuję. Samotność mnie boli, dosłownie, czuję fizyczny ból, klucie w sercu. Po Twoim ostatnim wyjeździe się pochorowałam. Hannah słyszała. Skłamałam, że zaszkoziły mi pulpety, ale to nieprawda. Kiedy Cię nie ma, muszę wszystkich oszukiwać. Nie jestem sobą, Bill. A Ty?

Schodzę do kuchni i robię grzanki z tego białego sztucznego chleba, który przywiózł Vince. „Mother’s Pride to rodzina chleba i chleb dla całej rodziny”. Z tych bochenków, które sami tu wypiekamy, nie da się zrobić tostów, przypominają albo racuchy, albo bułeczki. Grill przypala brzegi, ale ja tak lubię, kiedyś zresztą słyszałem, że w małych ilościach węgiel jest zdrowy. Smaruję kromkę marmite’em, więc i tak nie widać. Kiedy wgryzam się w grzankę, odgłos chrupania przypomina mi trzaskanie chrustu w ognisku.

Nie można bez końca szukać sobie wymówek. Jestem tchórzem. Nie ma innego wyjaśnienia. Kiedy miałem dziesięć lat, tata przyłapał mnie, jak czytałem w łóżku z latarką. Wytargał mnie za uszy i powiedział: „Oślepniesz, jak będziesz tak mrużył oczy. Okularnika nie wezmą na latarnię”. Wierzyłem mu, ufałem, że ma rację co do tych okularów, no i co do tego, że praca latarnika to jedyne, do czego się nadaję, więc lepiej, żebym się, kurde, ogarnął, bo inaczej co będę robił? Wiele lat później stary zachorował i leżał w łóżku, robił się coraz chudszy, aż w końcu któregoś dnia zupełnie znikł, jeśli nie liczyć ziejącego kwaśno otworu w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się jego usta, chrypiącego: „To była twoja wina”. I tak było. Wychodziłem stamtąd wykręcony na lewą stronę, jak kociak wrzucony w worku do wody.

Morze infekowało nas wszystkich. Nie mogliśmy się od niego uwolnić, nawet po śmierci. Kuzynka starego miała mieszkanie w Dorset z widokiem na West Bay. Na ścianach wisiały pejzaże morskie, starotestamentowe wizje mrocznego nieba i spienionych grzywaczy, statki miotane na wzburzonych wodach. Nie cierpiałem jej odwiedzać, te wściekłe wiry i sceny bitewne, wystrzały z armat, czerwone flagi na masztach szarpane gwałtownym wiatrem. Zawsze unosiła się tam woń wytrawnej sherry i kruchych maślanych ciasteczek, które sama piekła i trzymała

w plastikowych opakowaniach. Kiedy zmarła, wypożyczyliśmy łódkę w Lyme i rozsypaliśmy jej prochy na wodzie. Spora porcja poleciała mi prosto w twarz i pomyślałem sobie wtedy, że nigdy się nie uwolnię od tego cholernego morza.

Nieważne, że nie nauczyłem się pływać. Ojciec powtarzał, że nie trzeba umieć pływać, żeby siedzieć na latarni. Na lekcjach na basenie nauczyciel wrzucał do wody cegłę; ja z trudem utrzymywałem się na powierzchni, zaciskając powieki i trzymając się za nos, a w zatknięch uszach odbijały mi się echem drwiny innych dzieciaków.

Tutaj na górze godziny przemykają. Czas mija niezauważenie. Przepadają całe godziny, a chociaż płacą mi za to, żebym nie spał, i właściwie przecież nie śpię, to niewątpliwie zapadam w jakiś półsen, bo kiedy siedzę tak sam w laternie, do głowy przychodzą mi najdziwniejsze pomysły, które przecież muszą chyba być snami? Jenny na łodzi z płaczącym małym i kłócącymi się dziewczynkami; zabawki rozrzucone na dywanie, rozebrana lalka Sindy z głową odwróconą tył do przodu, tak żeby piersi były na plecach, bo Jenny nie chce im kupić chłopaka do kompletu, żeby nie zaczęły wyprawiać nie wiadomo czego. Wrzaski przy kolacji, kłótnie nad kotlecikami rybnymi. Jak by to było nigdy do tego nie wrócić?

Żona odlicza dni do zmiany, a kiedy przychodzi ten dzień, pogoda sprzyja, łódka wypływa, więc bardzo się cieszy i robi zakupy, te co zwykle, jedzenie i picie, które dawno temu lubiłem, ale teraz już za nim nie przepadam. Ale ja nie wracam. Nie wiem, dokąd się udam ani jak do tego dojdzie, ale ta niewiedza jest w tym najfajniejsza. Po prostu tak się dzieje.

Przed północą idę do sypialni po Vince'a. Budzę go kuksańcem i zwyczajowym powitaniem – „Hej, leserze, pora wstawać” – po czym schodzę do kuchni przygotować tacę. Vince'a muszę szturchnąć raz, potem drugi, jak już przygotuję picie, i dopiero wtedy w końcu zwleka dupę z łóżka.

W domu nigdy nie zawracałbym sobie głowy wykładaniem herbatników na spodki, Bóg jeden wie, dlaczego tutaj to robię. Do tego dwa solidne kawałki starego dobrego cheddara, który zaczyna się pokrywać białym woskowym nalotem na krawędziach, co oznacza, że powinniśmy szybko go zjeść.

Ku mojemu zaskoczeniu Vince już jest na górze; na piżamę zarzucił skórzaną kurtkę. On i Arthur są jak dwa przeciwległe bieguny, Arthur stroi się na każdą zmianę, jakby lada chwila miała wpaść inspekcja z Tridentu – ogolony, uczesany, buty wyglancowane – a tymczasem Vince snuje się w ciuchach do spania z sieciówki i włochatych kapciach, przypominających trochę psią sierść.

Kiedy pracuje się z kimś w latarni, człowiek szybko się przyzwyczaja do nawyków tego drugiego. Vince jest tu od niespełna roku, a że grafik ciągle się zmienia, to niewiele czasu spędziłem w jego towarzystwie. Jednak przez miesiąc na wieży można poznać drugą osobę lepiej niż przez dekadę na lądzie. Vince najpierw bez słowa wypije cały kubek herbaty, do dna, a kiedy w końcu się odezwie, to nie będzie rzucał uprzejmościami o pogodzie, stanie latarni czy jakichś bieżących drobiazgach. Podczas tej przejściowej godziny nie obowiązują żadne zasady, co wolno, a czego nie wolno. Co można powiedzieć, a czego nie wypada. To podczas jednej z tych godzin Vince powiedział mi, za co go zamknęli. Nie o tych dawnych, drobnych wykroczeniach. O tej poważnej odsiadce.

- Nie powiedziałeś mi w końcu, jaki masz problem – mówi.
- Z czym?
- Z tym. – Dłubie w zębach. – Z morzem.
- Po prostu go nie lubię i cześć.
- Dlaczego?
- A co to za różnica? Pilotowi przecież byś nie powiedział: skoro tak lubisz latać, to na pewno uwielbiasz powietrze, wyskakuj z kokpitu.
- Ale zawsze jest jakiś powód, no nie?
- Nie wiem.
- Ja tak mam z psami – mówi Vince. – W jednej zastępczej mieli takiego wściekłego sukinsyna, rottweilera. Kiedyś się na mnie rzucił, tak po prostu, nic nie zrobiłem. Capnął mnie za rękę i zaczął trząchać jak kawałem mięcha... no bo w sumie dla tego psa moja ręka była kawałem mięcha. Wiesz, jak się wabił? Płatek. Płatek, kurwa, takie bydlę. Od tamtej pory nie mogę się zbliżyć do psów. Jak tylko jakiegoś widzę, to myślę, że zaraz na mnie skoczy.
- Mam swoje problemy z morzem, a ono ma swoje problemy ze mną.
- Morze raczej nie ma żadnego zdania na nasz temat.

Ale o to właśnie chodzi. O obojętność. Stary zawsze się na mnie gapił, kiedy odwiedzaliśmy mieszkanie tej jego kuzynki w Dorset. Nigdy nie zmrużył oka. Kiedy wszyscy już spali, przychodził do mojego pokoju, zdejmował pasek i siedział w nogach łóżka, przeguby lśniły blado w świetle księżycy, i sam nie wiedział, co zrobić z tym paskiem ani ze mną. Morze gapiło się na mnie ze wszystkich ścian. Nie pomagało mi wtedy i teraz też mi nie pomoże.

– Brzydę się nim – mówię w końcu. – Aż mi się rzygać chce.

– W sensie masz chorobę morską?

– Nie.

Chociaż to też mi czasem dokucza. Nienawidzę płynąć tu z lądu, tej pierdolonej przeprawy. Nawet przy dobrych warunkach wcale mi to nie służy, nie cierpię się tak bujać jak wańka-wstańka. Bardzo bym się cieszył, gdybym już nigdy nie musiał tego robić. Gdy tylko wysiadam z łodzi, zaczynają dręczyć mnie myśli o drodze powrotnej, nieważne – do latarni czy na ląd. Teoretycznie więc najbardziej powinienem cieszyć się życiem w domu albo na wieży, ale tak nie jest. Życie nigdzie mnie nie cieszy. Chyba że jestem z nią.

– Czemu nie znajdziesz sobie innej roboty? – pyta Vince. Słyszę, jak przeżuwa pocący się ser. Siorbnięcie herbaty.

– Jezu, co to ma być, jesteś z gestapo?

– Nie rzucaj się tak. Zachowujesz się jak ten cholerny kundel.

– Daję nam dom. To nie najgorszy układ. Nie wiem, co innego miałbym robić.

– Możesz się przekwalifikować.

– Łatwo mówić – odpowiadam. – Ty nie masz dzieci i żony na utrzymaniu. Cały ten syf, w kółko i w kółko, dwadzieścia trzy funty na tydzień i co potem?

– Możesz zostać głównym.

– Nie jestem jak Arthur.

– Ale mógłbyś.

Herbatnik zmienia się w moich ustach w tekturę.

– Nie jestem taki jak on.

Często korci mnie, żeby to powiedzieć. Co zrobiłem Arthurowi. Co nadal mu robię. Tylko po to, żeby usłyszeć, jak to brzmi. Mógłbym powiedzieć Vince'owi. Ale chwila minęła.

– Stary, ale się cieszę, że wróciłem – mówi. – Te latarnie! Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego. Dlatego w tym siedzę. Chcę dostać ten awans. Niedługo będę zastępcą, tak jak ty, dostanę własny domek. Któregoś dnia zostanę głównym. Spędzę życie na latarniach.

– To niewiele ci trzeba.

– Moim zdaniem obsługa latarni to sztuka.

– Jaka sztuka? My tylko zapalamy światło, pilnujemy go, a potem gasimy. Jasne, jest jeszcze czyszczenie, ale można by tego nauczyć nawet średnio bystrą małpę. Meldować się przez radio. Czasem coś ugotować. Co to za sztuka?

– Ej, to przecież znacznie więcej – upiera się Vince. – Mówiłem ci już, że jestem przyzwyczajony do życia w klatce, a ludzie dzielą się na tych, którzy dają sobie z tym radę, i tych co nie. Ale jak ktoś nie ma problemu z życiem w klatce, to wszyscy myślą, że coś z nim nie tak. Jakby w życiu chodziło tylko o to, żeby być na zewnątrz. Ale jeśli komuś jest dobrze w zamknięciu, nieważne, w Wandsworth czy na latarni morskiej, gdzie niby nie ma krat, ale w każdym innym sensie jest się uwięzionym, to mu wystarcza. Widziałem w pierdlu chłopaków, którzy byli jak lwy w zoo. Awanturowali się, bili, rozwalali rzeczy albo się zabijali, tylko dlatego że chcieli być wolni. Coś ci powiem, Bill: ja przez cały czas czułem się tam wolny. Ani razu nie poczułem się inaczej. Bo chodzi o coś więcej, nie? Tylko tyle ci powiem. Jeśli nie podoba ci się na wieży, to nie dlatego, że z wieżą jest coś nie tak.

Pierwszy raz na Maiden był najgorszy. Nasłuchałem się różnych historii o tej latarni: że da mi niezłą szkołę, że trzeba się pilnować, bo skończy się jako pokarm dla ryb, i tak dalej. Tymczasowy, którego miałem zastąpić, powinien być zostać zmieniony już dwa tygodnie wcześniej, miał chorą żonę; w innej sytuacji nie wysłaliby zmiany w taką pogodę, kiedy fale szalały, a deszcz lał jak z cebra, ale Trident tak zdecydował, więc nie mieliśmy wyjścia.

Przez większość przeprawy wisiałem przegięty przez burzę, woń cygara szypra mieszała się ze słoną mgiełką i palącą żółcią. Myślałem o cegle na

dnie basenu i o tym, jak wierząc, ślepy i ogłuszony, rozpaczliwie próbując się nie utopić.

Morze było dzikie, podrywało nas w górę i ciskało w dół, chłostało i świstało, dziób łodzi ledwie przesuwiał się do przodu, tak silnie wiał przeciwny wiatr. Widok wieży na otwartym morzu budził we mnie jakąś makabryczną, żarliwą fascynację, jak inne potężne budowle stworzone przez człowieka – gigantyczne pylony, kominy chłodzące czy masywny stalowy kadłub kontenerowca stojącego na brzegu.

Nie trzeba było się szczególnie przygotowywać. Po przyplłynięciu załoga łodzi i ludzie na odsadźce wszystkim się zajmowali. Orientowałem się, jak to działa, powiedziano mi, że bym uważał się za taki sam towar jak kartony z zapasami, trzymał się liny i ufał, że zostanie przetransportowany. Trzeba ufać ludziom na obu końcach liny. Ale tego dnia problemem nie był ani czynnik ludzki, ani podciągarka, tylko morze, które nie mogło się zdecydować, co właściwie robi. Kiepsko zawiązałem uprząż, byle jaką pętlę, którą miałem pod pachami, a kawałek, którego się trzymałem, obcierał mi dłonie.

Podciągnęli mnie w górę, męczyły mnie potworne mdłości, kawałek po kawałku przesuwiałem się coraz wyżej, aż w końcu wieża się zbliżyła. Starłem się nie patrzeć zbyt długo na morze przewalające się w dole, nie zwracać uwagi na dystans, który nagle się wytworzył.

Wtem gwałtowny spadek, morze obniżyło się o jakieś dziesięć metrów, znosząc łódź zbyt daleko od wieży. Powietrze wypełniły wrzaski i wrażenie ślepej paniki. Mocno zacisnąłem powieki. W tej chwili już mnie nie obchodziło, co ze mną będzie. Przez jakiś czas dyndałem na uprzęży, skazany na łaskę żywiołów, fale omywały mi buty, po czym wracały na dół. Z łodzi rozległy się okrzyki:

– Wciągajcie go, wciągajcie!

A potem:

– Dawajcie go z powrotem, chcecie go zabić?

Deszcz chłostał mi twarz, wiatr grzmocił i szarpał ubraniem. Otworzyłem oczy i zobaczyłem mężczyznę nachylającego się z odsadźki, Arthura Blacka, mojego głównego latarnika, jego dłoń znajdowała się w moim zasięgu. Skoczyłem, ale morze mnie uprzedziło, miotnęło mną o beton z taką siłą, że przez dobre kilka minut nie mogłem porządnie oddychać.

– Dobra robota, chłopie – stwierdził główny. – Już dobrze.

Złapałem się za szczeble schodków, śliskie i lodowate, i zacząłem wspinać się ku ciemnej, gorącej paszczy wejścia.

Arthur zrobił mi herbatę i częstował papierosami, póki się nie zagrzałem.

Biedny Bill. Żałosny Bill. Widziałem te myśli w jego oczach. Bill, który nigdy nie dobiega do brzegu swobodnie, bez zarzyganej kurtki i przerażenia w duszy. Bill, którego dłoń nigdy nie wyciąga się do słabszego, a zawsze po pomoc dla siebie. Nigdy nie będzie skałą, z której wykuwa się głównych latarników. Topi się na powierzchni wody i nigdy nie dosięgnie cegły.

Czasem, kiedy skończę jedną z moich muszli, nawet jeśli jestem zadowolony z efektu, wyrzucam ją przez okno sypialni. Porywa ją wiatr i podoba mi się wizja, że ta muszla wróci do oceanu. Miliony lat podróży, tyle wysiłku, tarzania się w prehistorycznym piachu, żeby zostać wyrzuconą na jakiś daleki brzeg i skończyć w rękach mężczyzny takiego jak ja, który wydrapie w jej ciele jakieś swoje pomysły, zbruka jej kształt dla swojej własnej satysfakcji, a po wszystkim odłoży ją z powrotem tam, gdzie wszystko się zaczęło.

VINCE Samotnik

Drugi dzień na wieży

Wtorek rano. Trzy tygodnie do Gwiazdki. Latarnia nigdy nie świętuje ani nie pozwala sobie na urlop; potrzebuje nas przez cały czas. Tamci dwaj niedługo zaczną się zastanawiać, co porabiają ich bliscy, będą wściekli, że muszą tutaj tkwić, podczas gdy rodziny ubierają choinki i zajadają się kruchymi ciastkami z bakaliami. Tak mi się przynajmniej wydaje, ludzie podobno robią takie rzeczy. Ja chyba nigdy porządnie nie obchodziłem Gwiazdki. W pierdłu dostawaliśmy jakiś paskudny obiad i papierowe korony, ale nie wiem, o co chodzi z tą całą „magią świąt”.

O tej porze roku latarnię można zgasić dopiero po ósmej. Kiedy słońce w końcu wschodzi, zabieram się do rozmontowywania palników, wymieniam je na czyste, żeby były gotowe na noc. Potem rozciągam zasłony wokół soczewek. W grudniu słońce raczej nie będzie świeciło tak mocno, żeby wzniecić pożar, ale to już nawyk, a poza tym dzięki temu szkła się tak nie brudzą. To trochę podobnie, jakby ubierać latarnię na dzień, a potem wieczorem znów zdjąć z niej ubranie. Nigdy nie powiedziałbym tego reszcie.

Jako porannemu zmiennikowi przypada mi robienie śniadania. Razem ze mną przypłynęło opakowanie bekonu, więc smażę go na patelni i chowam do piecyka, żeby nie wystygł, zanim wstaną. Zwykle budzi ich zapach – zresztą choćby ktoś próbował twierdzić inaczej, to nic na świecie nie pachnie tak pięknie jak smażony bekon. Kucharzenie na Maiden jest nawet w porządku, bo główny gotuje prawie tak chujowo jak ja, więc nie wstydzę się swoich dań. Na mojej pierwszej latarni, na wyspie, latarnicy strasznie się snobowali i sarkastycznie komentowali każdy przygotowany przeze mnie posiłek, co było z ich strony wredne, bo nie chcieli mnie nauczyć

gotować, nawet jak prosiłem. To tylko takie sztuczki, których można się nauczyć, przynajmniej ja tak mam. Zanim zacznę gotować, nawet nie znam połowy składników.

– Słyszeliście te ptaki? – pytam, kiedy już wszyscy siedzimy i wsuwamy.

– Jakie ptaki? – dziwi się Arthur.

– W nocy. Całe stado przyleciało, prosto na mnie.

Główny latarnik wstaje i idzie sprawdzić, czy światło się pali, bo to jego zmiana. Zresztą nawet kiedy my mamy zmianę, to i tak jest jego latarnia. Ciągle jej pilnuje, trzęsie się nad nią jak nad dzieckiem.

Bill trzyma głowę nisko, jak zawsze kiedy je, jak najbliżej zawartości talerza, a w popielniczce obok dymi papieros, żeby mógł na zmianę zaciągać się i przeżuwać, zaciągać się i przeżuwać. Patrzy na puste krzesło Arthura.

– Dlaczego pozwalasz mu tak się do ciebie odzywać? – pyta.

– Że co?

– Jakbyś był jakimś debilem.

Wycieram usta.

– To ty mnie tak nazywasz.

– Widziałeś, co on zrobił?

– Co?

– Od razu poleciał sprawdzić, czy coś jest spieprzone. Czy ty coś spieprzyłeś. Myśli, że nie można ci zaufać. Mnie zresztą traktuje tak samo.

Jest zupełnie normalne i przyjęte, że kiedy jeden z latarników wychodzi, dwóch pozostałych może sobie na niego ponarzekać – jakby odkręcenie wentyla, żeby dać upust emocjom, coś w stylu: „Zauważyłeś, jakie to było wkurzające, kiedy zrobił to i to? Bywa z niego czasem straszny kutwa, co nie?”. Bez złych intencji, chodzi po prostu o to, żeby upuścić trochę pary, zamiast pozwolić jej wybuchnąć.

Ale Bill jest bardziej poirytowany niż zwykle. Jakby zmęczony. Patrę, jak dopala papierosa – jak zawsze pali embassy – dusi niedopałek i odsuwa od siebie talerz. Wraca główny latarnik.

– Nie pomyślałeś, żeby może po nich posprzątać? – pyta mnie dość srogo.

– Jakbym zaczął sprzątać, to nie byłoby śniadania. Bill posprząta, prawda, Bill?

– Spierdalaj.

Arthur sprząta ze stołu, rzucając:

– Dzięki, było smaczne.

Po śniadaniu biorę łopatę i wiadro i idę na górę, na galerię. Szczerze mówiąc, nie orientowałem się, ile tam było tych ptaków, bo przyleciały całą chmarą jak ćmy, nad ranem, jakoś koło piątej, a wtedy trudno powiedzieć, co się właściwie widzi i czy nie mieni się człowiekowi w oczach. Tyle tych piór, skrzydeł, łopotania – równie dobrze mogło ich być dziesięć, jak i sto. Wypalam papierosa na ostrym mrozie; martwoszare morze i martwoszare niebo, i moje dłonie też wyglądają jak martwe, kiedy zeskrobuję martwe ptaki. Burzyki – to i tak szkodniki, mówi Bill, mała strata, ale ja nie mogę się z tym zgodzić, kiedy tak patrzę na ich pozgniatane ciała, skręcone karki. Na Bishop Rock słyszałem, że kiedyś latarnicy znaleźli tam na galerii pełno ptaków, żywych, rozwrzeszczanych. Nie było gdzie nogi postawić, ani skrawka wolnej podłogi, jak na jakiejś pieprzonej Arce Noego. Dopiero po zmierzchu, kiedy doświadczyły pełnej mocy płomienia z latarny, ptaszory odleciały, a były ich dziesiątki. Snop światła latarni przyciągnął je i olśnił, a może wystraszył.

Trzeci dzień

Myślałem, że tym razem będzie mi trudno wrócić do latarni, no bo sprawy między mną i Michelle zaczęły się robić poważne. Ale po dwóch nocnych zmianach okazało się, że tak naprawdę to dobrze. Tutaj mam całą masę czasu, żeby o niej myśleć. Naprawdę wierzę w to, co powiedziałem Billowi podczas tej zakładki między zmianami. Chcę awansować na zastępcę, bardzo mi zależy na pewności zatrudnienia, bo wtedy Trident zapewni mi ochronę na całe życie. I będę mógł jej powiedzieć: no widzisz, może spróbujemy? Wreszcie będę miał sensowne widoki na przyszłość.

Dzisiaj ja robię obiad, potem główny zmywa i jak zwykle siada w swoim fotelu z kubkiem herbaty i krzyżówką. Częstoje mnie fajką. Arthur lubi się dzielić. Kiedy pracowałem na Alderney, tamtejszy główny nigdy się niczym nie dzielił, nie rozumiał koncepcji. Na wszystkich swoich słóikach i pudełkach przyklejał karteczki „Nie ruszać” i „Łapy precz” – jasne, dzięki

temu nigdy nie brakowało mu masła, tytoniu i sosu HP, ale nikt nie chciał się z nim zadawać. Arthur nie przywiązuje większej wagi do własności, ani jedzenia, ani innych rzeczy. To wszystko tymczasowe, mówi, to tylko rzeczy, nie są wieczne. Ale uczucie, kiedy siedzi się razem i miło spędza czas – pamięta się na zawsze.

– „Wy paskudni producenci cukrów mlecznych”.

– Rzuciło się szefowi na głowę?

– Dwa wyrazy, pięć liter i cztery.

– Aaa, chodzi o krzyżówkę. Nie potrafię tych z grami słów.

– Trzeba spojrzeć na hasło z dwóch stron – tłumaczy główny latarnik. – Jest ogólna wskazówka i odpowiedź ukryta wśród liter. Trzeba włączyć specjalne myślenie.

– Ja tam chyba nie mam łba do specjalnego myślenia.

– Wystarczy spojrzeć w inny sposób.

– Dobra, spróbuję jeszcze jedną.

– „Jeden dzbanek na paru spragnionych”.

– Dopiero co zrobiłem herbatę – odpowiadam.

– To podpowiedź do hasła. Pięć liter.

– Pojebane.

– To osiem liter. – Uśmiecha się. – To naprawdę proste. Zobacz.

Pokazuje mi. Szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem.

– Nie widzę.

– Przyjrzyj się.

– Aha – mówię, kiedy wpisuje hasło „napar”.

Bill mylił się co do naszego głównego latarnika. Arthur jest jednym z tych, którzy starają się podciągać innych, pomagać im stać się lepszymi, zamiast się wkurzać czy zadzierać nosa, że są starsi, czy robić wszystko po swojemu i tak dalej, a myślę, że to właśnie Bill tak mnie traktuje. Główny jest cierpliwy. Zawsze pokazuje mi, jak coś trzeba zrobić. Podziwiam go, zwłaszcza jego stosunek do morza; każdy latarnik powinien tak właśnie czuć. Szkoda, że nie wszyscy tak mają.

Zastanawiam się, czy Bill wie, że ja wiem. Że Arthur opowiedział mi kiedyś podczas nocnej wachty, co mu się przytrafiło wiele lat temu, zanim zaczął służyć na Maiden, zanim Bill się zaciągnął, zanim ja nauczyłem się

chodzić. Zatkąło mnie, kiedy mi o tym powiedział. Nie wiedziałem, jak zareagować. Nie spodziewałem się tego. Jak mogłem się spodziewać? To nie jest coś, o czym się myśli.

Patrząc na Arthura, myślałem, że właśnie takim mężczyzną chciałbym być. Nigdy bym się nie domyślił, co on przeżył. Człowiek przez długi czas podziwia swojego szefa, myśli, że on na pewno zna odpowiedzi na wszystkie pytania, a potem się okazuje, że jest kimś zupełnie innym.

Neil Young na magnetofonie, zasłonka przy łóżku zaciągnięta. Bill siedzi na dole, słyszę bzyczenie jego wiertelka do muszli; leżę zawieszony gdzieś między nocą a dniem i cieszę się muzyką, która przenosi mnie gdzie indziej. Do ciasnego mieszkania Michelle na Stratford Road, z Neilem, Johnem Denverem albo King Crimson. Świecek powtykane w butelki po winie, wosk spływa po ściankach; poduszki z ponaszywanymi szkiełkami, jakby lusterkami w kształcie rombów. Kot w drzwiach oblizuje sobie łapy. *Blue Ridge Mountains, Oh Shenandoah. Shenandoah.* Co to w ogóle za nazwa dla rzeki? Raczej jakieś magiczne zaklęcie albo księżyc dalekiej planety. Wszystko skąpane w świetle pomarańczowym jak brzoskwinie z puszek. Moim myślom o Michelle często towarzyszy konkretne światło. Przydymione fioletowe w sypialni. Jasnozielone, kiedy wychodzi na bosaka do ogródka i woła kota na kolację. Jak się ten kot wabił? Sykes? Nie. Staines? Też nie. Steptoe? Niemożliwe.

Michelle jest dla mnie za dobra. Mam przynajmniej na tyle rozumu, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

Nigdy nie miałbym jaj, żeby do niej zagadać, gdyby Trident House mnie nie zrekrutował, a to wydarzyło się zupełnym przypadkiem. Nie ma teraz wielu latarników w moim wieku – więcej można zarobić na platformach wiertniczych na Morzu Północnym, ale zależy, jaki się ma fach w rękę i jaką przeszłość. W kwietniu 1970 roku, parę tygodni po wyjściu, wpadłem w pubie na takiego jednego gościa. Postawił mi piwo i opowiedział, jak dawno temu pracował na latarniach Pladda i Skerryvore. Ja, tak jak za każdym razem po wyjściu, tylko czekałem, aż znowu mnie zwiną. Przywykłem do tego, więc wiedziałem, że celowo coś spierdołę, kiedy będę miał dość wolności. Ale im więcej ten gościu opowiadał o latarniach, tym bardziej sobie myślałem, że to coś dla mnie. Powiedział tylko, że nie może człowiekowi przeszkadzać samotność – trzeba mieć podejście, że dobrze jest pobyć samemu.

Nie nastawiałem się, że mnie przyjmą, jak się dowiedzą, że byłem karany, ale parę tygodni później dostałem list z Tridentu. Pomyśleli pewnie: nada się, nie jest za bystry, ale mu zależy. Prawda jest taka, że praca w latarni nie jest skomplikowana. Cały jej urok tkwi w prostocie. Drobne, niewymagające zajęcia pomagają zająć czymś myśli. Uruchomienie oświetlenia nocą, poza tym czyszczenie, sprzątanie, gotowanie, komunikacja z innymi latarniami. Pilnowanie, żeby nie było żadnych spięć ze współpracownikami, bo to jedyny nieprzewidywalny aspekt tej roboty. Trzeba podtrzymywać przyjazną atmosferę, moim zdaniem to najważniejsze: dogadywać się z pozostałymi chłopakami, bo jak raz pojawi się jakiś kwas, to wkrótce rozprzestrzeni się jak wirus albo bakteria i zanim się człowiek obejrzy, wszyscy są zarażeni, rozpoczął się już proces gnicia, a nie ma dokąd uciec.

Kiedy tak wspominam tamto spotkanie ze starym latarnikiem w pubie, wydaje mi się, że dostałem wtedy wiadomość: nie jestem beznadziejnym przypadkiem. Świat chciał dać mi jeszcze jedną szansę.

Niedługo będę musiał powiedzieć Michelle. Minęło już dość dużo czasu. Muszę być szczery, bo jaki jest sens to ciągnąć, budować wspólne życie, oświadczyć się jej, jeśli między nami będzie wciąż tkwiło to cholerne kłamstwo? Nie chodzi mi o to, co robiłem dawniej, o tym wie. Mam na myśli ostatni wyrok.

Szkopuł w tym, że to nie jest coś, o czym wspomina się na pierwszej randce ani nawet na trzeciej, a po jakimś czasie coraz trudniej o tym powiedzieć. Ponieważ tak często i tak długo mnie nie ma, za każdym razem, kiedy wracam, zaczynamy jakby od nowa. Wracamy do początków, do trzymania się za ręce, poznawania się, pragnienia. Nie chcę tego psuć.

Im więcej do niej czuję, tym trudniej zdobyć mi się na szczerość, a chociaż wcale nie chcę czuć tego wszystkiego, to w tych sprawach człowiek nic nie poradzi.

Kłamstwo jest proste. Wystarczy nic nie mówić. Nic nie robić. Pozwolić, żeby ta druga osoba sama zdecydowała, co jest prawdą. Na jej miejscu nie chciałbym wiedzieć. Sam codziennie próbuję o tym zapomnieć.

Kiedy zamykam oczy, wciąż to widzę, tak wyraźnie, jakby wydarzyło się wczoraj. Krew i sierść, przenikliwy wrzask dziecka i mój przyjaciel w moich ramionach, całkiem zimny.

Przez całe życie oglądałem się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś się zbliża. Nadal zerkam za siebie, nawet tutaj, na morzu, gdzie jesteśmy tylko we trójkę.

Żyję ze świadomością, że mam wrogów. Złych ludzi, którzy robią złe rzeczy i mnie także chcą zrobić coś złego. Czasami boję się pójść spać, bo dręczą mnie koszmary. Że mnie tu znajdą, na tej skale. „Myślałeś, że masz w sobie siłę, żeby się wyrwać, synku, ale myliłeś się. Nigdy nie staniesz się niczym więcej niż tym, czym jesteś”.

Nigdy nie wrócę. Ani do więzienia, ani do mojego dawnego życia.

Dlatego przywiozłem to ze sobą. Schowałem w szczelinie w ścianie pod zlewem, gdzie nikt tego nie znajdzie. Tam jest bezpieczne. Trzeba by wiedzieć, gdzie szukać.

W końcu musiałem zasnąć, bo nagle Bill szturcha mnie w gęstej, półprzytomnej ciemności i każe mi iść na górę, latarnia sama się nie przypilnuje, a jeśli on się zaraz nie przekima, to może zrobić coś, czego będzie żałować.

IV

1992

HELEN

Półtora kilometra dalej, za dwiema furtkami zamkniętymi na kłódkę, w końcu je zobaczyła: cztery parterowe domki latarników przycupnięte na półwyspie, pomalowane na biało-zielono, z czarnymi od sadzy kominami i dachami z łupków. Domki postawiono możliwie najbliżej Maiden Rock, a mimo to tak daleko – Helen zawsze wydawały się smutne jak nieodwzajemniona miłość, pełne nadziei serce odbijało się od ściany obojętności.

To mogło równie dobrze być wczoraj, Admirał ciągle mógłby być ich domem. Największy ze wszystkich, specjalnie zaprojektowany i funkcjonalny, coś między internatem szkolnym a promem morskim. Wewnątrz znajdowały się korytarze jak w szpitalu i małe pudełkowate pokoje, sterylne, o twardych konturach; nie dało się ich zmiękczyć żadną ilością osobistych przedmiotów. Zimą chłód wdzierał się przez szpary w oknach zamykanych żelaznymi klamkami, przez które dłonie śmierdziały jej jak bilon. Trident House porozwieszał zalaminowane przypomnienia, że nieruchomości nie należy do nich: PROSZĘ UŻYWAĆ WENTYLATORA i UWAGA: GORĄCA WODA. W holu wisiało kolejne: W RAZIE NAGŁEGO WYPADKU DZWONIĆ POD 999. Od frontu, za surową, smaganą wiatrem werandą z betonowym stołem piknikowym, brama garażowa przestrzegała: UWAGA! NIE UŻYWAĆ PRZY SILNYM WIETRZE. No i wiecznie, wiecznie ta monotonia – to ją najbardziej dobijało. Dzień w dzień, przez kolejne tygodnie, miesiące i lata mieć morze za jedyne towarzystwo.

Jenny i Bill mieszkali w Kapitanie. Dzisiaj na asfalcie stał zaparkowany czerwony hatchback z naklejką „Dziecko na pokładzie” z tyłu. Helen domyślała się, że dla wielu ludzi to fascynująca, unikalna eskapada,

migawka z zaginionego świata, a zła sława Maiden Rock zapewniała jednorazową atrakcję. To dlatego tak szybko po automatyzacji latarni przekształcono domki w maszynki do robienia pieniędzy dla Trident House. Widziała te reklamy:

„Przekonaj się osobiście, jak żyli Zaginieni z Maiden Rock!”

Trzeci domek, Ochmistrz, zajmowali Betty i Frank. Frank był pierwszym zastępcą na wieży, bo dłużej pracował w zawodzie – podczas pobytu Arthura na ładzie to on pełnił obowiązki głównego latarnika. W dniu zaginięcia Frank miał wolne. Helen zawsze się zastanawiała, jak się z tym czuł; przecież to było tak, jakby spóźnił się pięć minut na samolot, który roztrzaskał się potem o górski szczyt.

Kanonier, ostatni domek, przypadłby Vince’owi. Tak strasznie mu zależało na awansie. Dlaczego go nie dostał? To była tajemnica znana wyłącznie latarni.

Patrząc na Maiden lśniąca zimno na horyzoncie, Helen nie mogła uwolnić się od wrażenia, że latarnia zna odpowiedzi na wiele innych pytań. I że wie o niej wszystko.

Teraz odwzajemniła jej spojrzenie z niewypowiedzianym oskarżeniem, jakby chciała powiedzieć: „Nie możesz wyprzeć się prawdy, Helen. Żadne z ciebie niewiniątko”.

Podawała mu adres, a on zgasił kiepa i wskazał głową na bagażnik.

– Jakież torby, kierowniczo?

– Nie. Przyjechałam tylko na jeden dzień. Potem poproszę, żeby odwiózł mnie pan na dworzec.

– Tak jest.

Słońce opadało coraz niżej, rozmyta brzoskwinia chowała się za horyzontem. Helen cieszyła się, że kierowca nie widzi jej wyraźnie, tylne siedzenie było skąpane w letnim cieniu. Wszyscy taksówkarze w Mortehaven byli miejscowi, tu się urodzili i wychowali. Tę historię zawsze mieli pod ręką, bo turyści prosili, żeby opowiedzieć im o zniknięciu albo o swoim udziale w tamtym wydarzeniu: gdzie byli, kiedy się dowiedzieli; jak raz podwieźli z punktu A do punktu B jednego pracownika wyższego szczebla z Trident House; o tej koleżance córki, która знаła jedno z dzieci Walkerów. Co prawda i tak nie powinna się obawiać, że rozpozna

ją po tylu latach, ale z drugiej strony spodziewała się, że nieznajomi będą do niej zagadywać tak jak dawniej, kiedy była Panią Naczelnikową, pytać, co tam słycać u Arthura, kiedy wraca na ląd, jak ona sobie radzi pod jego nieobecność. W zamian raczyli ją opowieściami o swoich osobistych sprawach, zwierzali się z problemów, bo jako żona głównego latarnika pełniła funkcję społeczną zbliżoną do pozycji pastora czy właściciela pubu, jakby z automatu musiała interesować się życiem zupełnie obcych ludzi.

– Podjeżdża pani pod jakichś znajomych? – spytał zza kierownicy.

– Nie zatrzymujemy się – odparła. – To znaczy zatrzymujemy, ale tylko na chwilę. Nie będę wysiadać.

Włączył radio. Minęli smukłą wieczorną iglicę kościoła i dawną oberżę przemytników, gdzie zdarzyło im się kilka razy pójść na kolację z Arthurem, Jenny i Billem, przy tych rzadkich okazjach, kiedy obaj byli na lądzie. Po wypiciu butelki wina Jenny się popłakała i powiedziała jej, żeby się cieszyła, że nie ma dzieci, bo to żadna radość je wychowywać, kiedy tkwi się samotnie na tym odludziu; zrobiła Billowi awanturę, potem wymiotowała w damskiej toalecie i wyszli. Taksówka wspinała się krętą drogą obok hotelu i parku, między ciągnącymi się wzdłuż ulicy szeregowcami. Przez ostatnie dziewiętnaście lat Helen odwiedzała ten adres za każdym razem, kiedy tu wracała, to był jej rytuał, nawet jeśli nigdy nie weszła do środka. Przyjdzie taki dzień, że zbierze się na odwagę, wysiądzie z taksówki i podejdzie do drzwi.

– Tutaj – powiedziała. – Niech pan stanie gdziekolwiek.

Wielki dar o tej późnej porze: móc zaglądać do okien – podświetlone na złoto kwadraty, życie toczące się wewnątrz.

– I co teraz? – zapytał. – Mam zgasić silnik?

– Nie, nie trzeba.

Ten dom jako jedyny był pogrążony w mroku. Może Jenny gdzieś wyjechała albo w ogóle już tu nie mieszkała. Ta myśl wywołała u Helen panikę – że nie będzie miała jak się z nią skontaktować; że już nigdy nie będzie mogła przelać na papier słów, które mogła powiedzieć tylko tej jednej kobiecie, o ich ukochanych, ich zaginionych, o pęknięciu w ich przyjaźni, które przez dwadzieścia lat rozrosło się do rozmiarów szerokiej przepaści.

Jenny sądziła, że może zaufać żonie głównego latarnika. Dlaczego miałyby sądzić inaczej? Zaufanie stanowiło fundament roli Helen. To do

niej należało udzielanie wsparcia, nalewanie drinków i trzymanie za ręce, ocieranie łez, kiedy życie zaczynało przytłaczać, bo ona zawsze rozumiała i naprawdę się przejmowała. Wiedziała, kiedy pogłodzić po ramieniu i powiedzieć: „No już, kochana, to przecież nie na zawsze, wróci, zanim się obejrzysz”, wymyślić jakieś pocieszenie, bo samotność była i jej towarzyszką, więc dobrze znała wszystkie sztuczki.

Tymczasem Helen oszukała Jenny.

– W porządku – powiedziała do kierowcy. – Możemy jechać.

– Już?

– Tak. Jestem gotowa, żeby wrócić do domu.

Pociąg się spóźnił; usypiający stukot kół opuścił jej powieki jeszcze przed Truro. Śniło jej się, znowu, że idzie za nim w tłumie – widzi tył jego głowy, tyle że kiedy ta głowa się odwróciła, okazał się kimś zupełnie innym. Dryfując na pograniczu snu i jawy, widziała jego oczy, które patrzyły na nią z dołu, spod wody, albo inaczej, w biały dzień po drugiej stronie stołu w kuchni, albo w nogach jej łóżka, czuwając nad wszystkim, co robi.

HELEN

Chciałby się pan dowiedzieć, dlaczego nie rozmawiam z Jenny Walker. A raczej dlaczego ona się do mnie nie odzywa. Interesuje pana prawda? Tak pan twierdzi, ale przecież jest pan świetny w wymyślaniu różnych rzeczy. Muszę przyznać, że pańskie powieści to nie moja para kaloszy. Właściwie to żadnej nie przeczytałam, chociaż kojarzę tę o braciach na barce koszarowej, chyba *Flota duchów* się to nazywało, tak: jedna moja koleżanka się w niej zaczytywała.

Nie chcę być nieuprzejma, ale o to mi właśnie chodzi – samce alfa, bijatyki, testosteron lejący się strumieniami... Jeśli zamierza pan napisać kolejną z tych swoich przygodówek, to obawiam się, że historia konfliktu między mną a Jenny raczej nie będzie pasowała.

Któż może wiedzieć, jakie znaczenie ta nasza kłótnia miała dla całej historii? Przez te lata doprowadziłam się prawie do obłędu, rozpamiętując, czy coś w tym jest. Czy Arthur i reszta zniknęli właśnie przez to, że tak się układało między nami.

Zacznę od tego, że nigdy się nie spodziewałam małżeństwa z latarnikiem morskim. Zdawałam sobie sprawę, że ktoś musi wykonywać tę pracę, ale uznawałam ją za margines – decyduje się na nią ktoś, kto nie pasuje nigdzie indziej w społeczeństwie, no i okazało się, że miałam rację. Ten zawód wymaga szczególnego usposobienia. Wszystkich znanych mi latarników łączyło to, że nie przeszkadzało im przebywanie we własnym towarzystwie. Arthur lubił być sam ze sobą. Postrzegałam to jako bardzo atrakcyjną cechę, nadal zresztą tak uważam. Do takiej osoby można się zbliżyć tylko do pewnego stopnia, bo ma w sobie coś, o czym wie tylko ona. Moja babcia miała powiedzonko na ten temat. Mówiła, żeby trzymać karty przy orderach – czyli przed nikim się nie zdradzać. Nigdy nie odkrywać

wszystkich kart, zawsze zachowywać coś dla siebie. Myślę, że Arthur przed nikim się w pełni nie odsłaniał, nawet przede mną. Taki już był, po prostu.

Nie wiem, czy opisałabym go jako samotnika. Jak wspominałam, był raczej skryty, autonomiczny, ale to nie oznacza od razu samotności. Samodzielność nie musi oznaczać, że człowiek czuje się samotnie, i vice versa: nawet wśród tłumu ludzi, którzy nieustannie trajkoczą i domagają się naszej obecności, można poczuć się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. W latarniach Arthur nigdy nie czuł się samotnie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ludzie zawsze o to pytali: nie smutno mu tam? Ale nie. Przeciwnie, powiedziałabym, że to tutaj, na łądzie, dokuczała mu samotność.

Jeśli spojrzeć na zaistniałą sytuację z tej perspektywy, to nic dziwnego, że popełniłam błąd. Nie próbuję się tłumaczyć, Jenny też by mnie nie usprawiedliwiła. Ale w życiu nic nie jest czarno-białe.

Nie jestem pewna, czy Arthur w ogóle chciał wracać do domu, do mnie. Gdy tylko schodził z łodzi na ląd, widziałam, że już tęskni za latarnią. Nie za pobytem tam, ale za nią. Życie na łądzie nie było dla niego.

Oczywiście miało to związek także z tym, co razem przeszliśmy. Towarzyszyło mi bardzo wiele emocji, złożonych, wielowymiarowych uczuć, z którymi musiałam jakoś sobie poradzić. Ja winiałam Arthura, on obwiniał mnie. Wzajemnie obarczaliśmy się winą, ale to przecież nie ma sensu w takich sytuacjach, prawda? Nie ma sensu nikogo winić.

Byłam wściekła, kiedy zniknął. Wściekła, że znalazł dla siebie wyjście. Nie miał prawa tego zrobić, tak po prostu wstać i wyjść bez słowa. Zawsze mówił, że jestem silna, i rzeczywiście tak jest, ale czasem żałuję, że tego przed nim nie ukryłam.

Kiedy Arthura wysłano na Maiden, z początku wierzyłam, że będziemy szczęśliwi. Latarnia wyraźnie go uszczęśliwiała, więc sądziłam, że przełoży się to na nasze małżeństwo. Arthur bardzo się cieszył, bo uważał Maiden za najlepszą latarnię. Odbywał służbę w Wolf, Bishop, Eddystone, Longships – wszystkich najważniejszych stacjach morskich – ale pragnął zawsze Maiden: wielka, staroświecka, taka latarnia morska, o jakiej marzył w dzieciństwie. Arthur powtarzał, że wieża morska to „prawdziwa latarnia” – zapewnia autentyczne doświadczenie. Chłopcy nie marzą o tych lądowych, prawda? Chcą łodzi miotanych przez fale, awantur i piratów, braterstwa pod rozgwieżdżonym niebem.

Przez jakiś czas po śmierci Arthura pocieszałam się myślą, że przynajmniej odszedł tak, jak najbardziej by chciał. Nie chciałby umrzeć w jakichkolwiek innych okolicznościach niż na morzu. W jakimś sensie to adekwatne, muszę przyznać, że ta myśl mi pomaga.

Maiden nigdy nie spuszczała go z oka. Czy to dziwnie brzmi? Proszę nie cytować tego w książce. Latarnie morskie nie mają osobowości, nie mają myśli, uczuć ani niebezpiecznych pomysłów, nie żywią do nikogo urazy. To wszystko wytwór fantazji – a to pańska specjalność, nie moja. Ja tu jestem od przekazywania faktów.

Ale ona nigdy mi się nie podobała. Niektóre latarnie wyglądają całkiem sympatycznie, ale przy niej zawsze czułam jakiś niepokój. Moja noga nigdy tam nie postąpiła i to też mi się nie podobało, że Arthur spędzał tyle czasu w miejscu, w którym ja nigdy nie byłam. Ale nie można tak po prostu odwiedzić wieży, nie można wpaść na kawę i pogaduchy. Arthur cenił sobie prywatność, więc jemu to odpowiadało. Chyba podobało mu się, że ma coś swojego, z dala ode mnie. Pewnie wszyscy mężowie tak mają. Potrzebują czegoś, o czym żona nie będzie wiedziała.

Hej, nie szczeraj tak! Muszę ją wypuścić. Przepraszam pana na chwilę.

No dobrze, już jestem z powrotem. Proszę wybaczyć. Całe życie nic tylko czekam, aż się załatwi. Pierwszego psa przygarnęłam zaraz po stracie Arthura, bo potrzebowałam tu jakiegoś żywego stworzenia, zresztą chyba przywykłam do milczącego towarzysza, którego często nie było w domu. Niestety, ta paskuda uwielbia ryć w ziemi, no ale tak to już jest, a ogród należy do niej tak samo jak do mnie. Dawniej nie chciało mi się grzebać w ziemi, ale to też mi pomogło. Jest coś szczególnego w patrzeniu, jak coś, co posialiśmy czy posadziliśmy, wzrasta i kwitnie. Kiedy przeszło się przez taką gehennę, trzeba się przekonać, że życie zawsze się odradza, wciąż i wciąż, wbrew wszelkim przeciwnościom losu, nie dając się przymrozkom ani psim łapom. Jest w tym jakiś upór, wytrwałość, które podziwiam.

Arthura zawsze fascynowała przyroda. Od dziecka był wrażliwy i miał bujną wyobraźnię. Trochę jak pan, z tą wyobraźnią. Oczywiście nie twierdzę, że jest pan niewrażliwy. Nie znam pana dość dobrze, żeby móc osądzić, a zresztą to nie moja sprawa. Zakładam, że pisarz musi cechować się pewną wrażliwością, żeby postawić się w sytuacji bohaterów, zrozumieć ich motywacje.

Jego ojciec hodował ptaki, od tego wszystko się zaczęło. Biedaczysko nabawił się na wojnie nerwicy frontowej, wyjątkowo ciężki przypadek, ale ptaki go uspokajały.

Arthur nie lubił mówić o ojcu. Nie chciał albo nie mógł. Kiedy pytałam, zmieniał temat albo mówił, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. Mój mąż nie miał ochoty rozmawiać na wiele tematów, a ja z czasem przekonałam się, że nie ma w tym nic złego, dopóki osoba, z którą jesteś, nie potrzebuje czegoś omówić. Jeśli twojej żonie na tym zależy, to zasługuje na taką rozmowę, prawda? Bo jak inaczej można do czegokolwiek dojść?

Czasami sobie myślę, że mogliśmy uniknąć tego wszystkiego, co się wydarzyło: tych krętych ścieżek, którymi życie toczy się w wyniku jednej drobnej decyzji. Gdyby Arthur nie zobaczył ogłoszenia Tridentu w gazecie, gdybyśmy tamtego dnia nie kupili akurat tej konkretnej gazety... Gdybyśmy nigdy się nie spotkali, bo to też było dziełem przypadku, poznaliśmy się w kolejce do kasy na stacji Paddington, brakowało mi drobnych na bilet. W jedną stronę do Bath Spa, jechałam odwiedzić rodziców. Nawet wtedy, kiedy było to powszechnie przyjęte, nie spodziewałam się, że jakiś mężczyzna za mnie zapłaci. Przez całą podróż pociągiem myślałam o Arthurze.

Spotkaliśmy się tydzień później, żebym mogła oddać dług. Uczucie rodziło się między nami powoli. Żadnych gromów z jasnego nieba i miłości od pierwszego wejrzenia. Pewną przyjemność sprawiało mi wyobrażanie sobie dezaprobaty ojca. Był dyrektorem męskiej szkoły z internatem i chciał, żebym wyszła za lekarza albo prawnika, kogoś z „porządnym” zawodem. Nigdy tego nie powiedział, ale założyłabym się, że jego zdaniem latarnia morska to miejsce dla nieco zniewieściałych mężczyzn. Mój ojciec chyba nigdy w życiu nie przeczytał choćby jednego wiersza poezji. Rozumie pan, o co mi chodzi?

W Tridencie zaoferowali mu dobrą pensję i pakiet startowy, dorzucili mieszkanie wraz z pokryciem opłat – brzmiało to bardzo zachęcająco. Arthur uznał, że nadaje się do takiej pracy, a ja pomyślałam sobie, że to dobry temat do konwersacji na przyjęciach – mój mąż jest latarnikiem morskim! Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że ze świecą szukać przyjęć poza Londynem, a zwłaszcza w rejonie ujścia Severn do Kanału Bristolskiego, bo tam właśnie spędziliśmy większość z tych pięciu lat.

Taki tryb życia od początku był dla nas trudny. Zastępcę głównego latarnika rzucają po całym kraju i nigdy nie wiadomo, gdzie się wylądować następnym razem. Co kilka tygodni trafia się do nowej latarni. To dlatego że Tridentowi zależy, żeby nowy pracownik zdobył jak najwięcej doświadczenia w jak najkrótszym czasie. Poza tym to także pewien test. Chcą sprawdzić umiejętność dogadywania się z różnymi typami osób, elastyczność, lojalność i rzetelność. Żartowaliśmy, że wysyłają Arthura z jednego końca świata na drugi, a końca nie widać – dopóki nie trafił na Maiden, rzecz jasna. Ale oczywiście było to męczące. Nigdzie nie zostawaliśmy na tyle długo, żebym mogła się zadomowić, a Arthura ciągle nie było. Okazało się to trudniejsze, niż się nastawiałam. Już wtedy czułam, że Arthur mi się wymyka.

Nie wszyscy znosili ten intensywny okres szkoleniowy tak ciężko jak my. Na przykład Vince był przyzwyczajony do częstych zmian i przeprowadzek – wychował się w rodzinach zastępczych, chyba nigdy nie miał domu na stałe. Podobała mu się ta spontaniczność: dostajesz przydział, pakujesz manatki i jedziesz tam, gdzie cię wysyłają. Można trafić daleko na północ, na południe albo na jakąś wyspę. Maiden to była pierwsza wieża Vince'a. Ekstremalna lokalizacja dla nowicjusza, a kiedy pomyśli się, jak to się dla niego skończyło... Okropność. Taki młody człowiek, miał całe życie przed sobą.

Nie dziwię się, że Michelle Davies nie chce z panem rozmawiać. Jako jego dziewczynie mocno jej się dostało po tamtym zaginięciu, wszyscy obwiniali Vince'a, mówili, że zamordował Arthura i Billa, że przez długie tygodnie obmyślał sprytny plan, który pozwolił mu jakoś uciec. Ci z Tridentu też to sugerowali, oczywiście nie wprost. Nie wolno im było tego powiedzieć oficjalnie, ale nie dementowali pogłosek.

Michelle jest teraz mężatką, ma dwie córki. Domyślam się, że raczej nie chce wracać do tamtego okresu w swoim życiu. Byli z Vince'em szaleńczo w sobie zakochani. Zawsze wracał z Londynu na trochę przed rozpoczęciem kolejnego dyżuru. Widziałam go, jak wysiada w porcie, zawsze z magnetofonem; te jego długie ręce i nogi, i wielkie wąsiska, jak z amerykańskiego serialu. Dopiero po awansie na zastępcę przydzieliliby mu mieszkanie służbowe.

Arthur zawsze chwalił Vince'a, że taki sympatyczny z niego chłopak, porządny i rozważny. To strasznie smutne, kiedy ktoś miał w życiu trudny

start, a potem nigdy nie może się wybić, bo wszyscy myślą o nim jak najgorzej.

Tridentowi z kolei dostało się za to, że zatrudnili karanego, ale oni przecież zawsze przyjmowali ludzi, którzy potrzebowali pomocy w ponownej integracji ze społeczeństwem, i jakoś nikt się tym nie przejmował ani nie zgłaszał obiekcji. Latarnia morska to najlepsze miejsce pracy dla kogoś, kto przywykł do przebywania w ciasnych, odizolowanych od świata pomieszczeniach. Poza tym takie osoby są zwykle bardzo zdyscyplinowane, przyzwyczajone do przestrzegania narzuconego rozkładu dnia. Często spotykało się więc chłopaków po więzieniu czy poprawczaku. Problem w tym, że kiedy coś poszło nie tak, jak w tym przypadku, łatwo było wskazać kozła ofiarnego. Michelle nie mogła przedstawić swoich argumentów. Nie mogła bronić Vince'a, bo firma nie chciała tego słuchać. Nie zgadzało się to z ich oficjalnym przekazem. Pewnie dlatego teraz nie chce się z panem spotkać. Nie chce rozdrapywać starych ran i znowu wysłuchiwać okropnych rzeczy na temat Vince'a. Kiedy się okazało, że wcześniej siedział w więzieniu, ludziom zupełnie odbiło. Krążyły najbardziej niestworzone plotki – że był mordercą, zabił dziesięć osób; że był seryjnym zabójcą, gwałcicielem, pedofilem. Ja mogę panu powiedzieć, że żadne z tych pomówień nie odpowiada prawdzie.

Nie trzeba trafić do więzienia, żeby wiedzieć, że postąpiło się niewłaściwie. Czy na wszystkich z nas do jakiegoś stopnia nie ciąży odpowiedzialność? Co ja zrobiłam. Co zrobił Arthur. Co zrobił Bill. To, że nikt nie wtrącił nas za kratki, wcale nie oznacza, że nie zasłużyliśmy sobie na karę.

Michelle powiedziała mi kiedyś, że Vince zrobił w życiu wiele rzeczy, o których chciałby zapomnieć. Teraz, skoro już pan wie o mnie i Arthurze, mogę przyznać, że ja również.

DWIE GAZETY

„Daily Telegraph”, kwiecień 1973

WĄTEK KRYMINALNY W ŚLEDZTWIE W SPRAWIE MAIDEN ROCK

Nadzieja na odszukanie trzech mężczyzn, którzy w grudniu zaginęli z latarni morskiej Maiden Rock, jest coraz mniejsza. Tymczasem na światło dzienne wychodzą nowe fakty – jak sugerują nasze źródła, mogą one wskazywać, że w sprawę był zamieszany Vincent Bourne, najmłodszy z zaginionych. 22-letni Bourne, nadetatowy pomocnik latarnika, zniknął z odizolowanej latarni na południowym zachodzie kraju w okresie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, razem ze współpracownikami Arthurem Blackiem i Williamem Walkerem. Wczoraj dowiedzieliśmy się, że przed zatrudnieniem się w Trident House Bourne odsiadywał wyroki za podpalenie, napaść, spowodowanie uszkodzenia ciała, wtargnięcie, kradzież, podburzanie i próbę ucieczki z więzienia.

„Sunday Mirror”, kwiecień 1973

MROCZNA PRZESZŁOŚĆ LATARNIKA KRYMINALISTY

Samotnik Vincent Bourne RECYDYWISTĄ – jak wynika z serii przecieków dokonanych przez byłego współosadzonego z zaginionym w tajemniczych okolicznościach latarnikiem. – On jest

zdolny do wszystkiego – twierdzi nasz informator. – Co tylko można sobie wyobrazić.

Vince, kawaler, zaginął z Maiden Rock cztery miesiące temu, razem z dwoma innymi latarnikami. O wszystkich słuch zaginął. –

Nie powinien w ogóle się zbliżyć do tej wieży – utrzymuje nasz rozmówca. – Cokolwiek tam się stało, to jego sprawka.

MICHELLE

Nie spotykała się z nim znowu tak długo, pomyślała, schylając się po raz pięćdziesiąty szósty tego dnia do rozwiązanej sznurówki.

– Stój spokojnie – rozkazała córce, która w odpowiedzi mocno złapała całą garstkę włosów. Michelle często już się gubiła, czyje to włosy – jakies włosy ciągle były szarpane, a jeśli ją bolało, to prawdopodobnie jej.

– I nie zdejmuj już butów – dodała. – Proszę.

Siostry pobiegły rozłożyć grę „Węże i drabiny”, a raczej wyrzucić zawartość pudełka na dywan i karmić psa kostkami do gry. Michelle została w holu, nie odrywając wzroku od telefonu.

Już raz dziś dzwonił, rano, a wcześniej wczoraj i w ubiegłym tygodniu. „Nie jestem już dziewczyną Vinny’ego”, powiedziała mu, świadoma, że to oczywista oczywistość, bo Vinny już przecież nigdy nie będzie miał dziewczyny – no bo przecież nie żyje, prawda? Prawda? Trwała w okrutnym zawieszeniu, zmagając się z wciąż towarzyszącą jej niepewnością, która wsączyła się do jej duszy i zadomowiła tam na długie lata.

Dan Sharp może sobie wierzyć, że uda mu się rozpracować tę sprawę, przeniknąć do głębi, ale Michelle podejrzewa, że ta głębia ciągnie się w dół i w dół, bezdenne jak morze. Dlaczego i jak zniknął Vinny – ona przecież tego przed nim nie odkryje. A jeśli Sharp się spodziewa, że nagada o Vinnym różnych kłamstw, które opowiadali sobie ludzie i za które go znienawidzili, to cóż, nie mogła tego zrobić. Miała teraz rodzinę. Mąż raczej by się nie ucieszył, gdyby po powrocie do domu zastał ją, jak rozmawia z jakimś nieznajomym, próbując ożywić mężczyznę, którego kochała jako dziewiętnastolatka, jedyne go mężczyznę, którego naprawdę kochała.

Niech ten pisarz powęszy sobie u kogoś innego. Nie ma pojęcia, w co się pakuje, naciąga na wspominki osoby, które chciałyby trzymać się od tej sprawy jak najdalej. Niech już lepiej zostanie przy tych swoich thrillerach. Michelle w zeszłym roku wypożyczyła jeden z biblioteki, kiedy szukały z dziewczynkami książeczki *Uki włóż*. Roger powiedział, że to chłam, ale on ogólnie nie chciał, żeby czytała. Twierdził, że będzie miała od tego głupie pomysły.

– Mamo!

Średnio co dwie minuty któraś coś od niej chciała. O co chodzi tym razem? Oskarżenia o zabieranie rzeczy i oszukiwanie, Fiona zdjęła majtki i usiadła gołą pupą na planszy do gry. Poszła do córek, pocieszyła zapłakaną młodszą i starała się nie myśleć o Vincencie Bournie. To był inny świat, w którym już od dawna nie żyła. Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby do niego wrócić.

Ludzie coraz rzadziej poruszali ten temat. Pomogła jej zmiana nazwiska po ślubie, teraz już nikt jej nie rozpoznawał; nikt nie mówił: „Aaa, to ty nią jesteś, w takim razie na pewno wszystko wiesz o tej sprawie”, na co ona zawsze odpowiadała tak samo. Nie, nic nie wie, a przynajmniej nie więcej niż każdy inny. Oni i tak zerkali na nią porozumiewawczo, jakby tak naprawdę świetnie wiedziała, dlaczego ci mężczyźni zniknęli, ale oczywiście nie mogła powiedzieć. W końcu to był jej facet. I jego tajemnica.

– Mamo, chcę ciastko.

– Co się mówi?

– Poproszę.

Z kolei macierzyństwo pozwoliło jej odgrodzić się od tamtej sprawy murem, ale i to nie zawsze pomagało. Owszem, mury chroniły przed emocjami. Przed bólem. Chyba że udawało jej się je przeskoczyć, zwykle rano, zaraz po przebudzeniu, kiedy otwierała oczy, dzień był jeszcze białą, niezapisaną kartą, a w myślach pojawiał się obraz Vinny’ego, tak realny, jakby patrzyła na fotografię. Nie mieściło jej się w głowie, że minęło dwadzieścia lat, od kiedy po raz ostatni się dotknęli. Jakim sposobem jej umysł zdołał zachować te wszystkie szczegóły? Nigdy nie rozmawiała o tym z Rogerem. Był raczej zazdrosnym typem, nie interesowały go poprzednie związki, a zwłaszcza ten związek.

Kiedy wracała z kuchni, zadzwonił telefon. Zatrzymała się, w rękę trzymała biszkopty, bluzkę miała poplamioną farbami. To pewnie znowu on.

Mogłaby opowiedzieć mu różne rzeczy. Czasem wręcz chciała to zrobić, żeby się od nich uwolnić. Ale takie myśli dopadały ją tylko ciemną nocą, a kiedy już zadzwonił budzik i trzeba było obudzić dziewczynki, zrobić śniadanie, spakować Rogerowi kanapki do pracy i zawieźć dzieci do szkoły, wracał jej rozsądek.

Odebrała telefon.

Pisarz zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

– Proszam, żeby dał mi pan spokój – odezwała się, mocno ściskając słuchawkę. – Nie mam panu nic do powiedzenia na temat Vinny’ego. Jeśli jeszcze raz będzie pan próbował się ze mną skontaktować, zadzwonię na policję.

JENNY

Piach wlaził wszędzie. Jenny nie lubiła tego uczucia, kiedy przesypywał się między palcami u stóp, tego odgłosu chrzęstu, skrzypienia pod stopami, tego, że dostawał się do kosza piknikowego, do kanapek z serem i korniszonami, które przygotowała rano, pilnując, żeby pokroić je na ćwiartki, tak jak wnuk lubił najbardziej. Po powrocie do domu nadal będzie jej zgrzytało w zębach i przez kolejny tydzień będzie czuła ziarenka w jedzeniu.

Na plaży przypomniła jej się tamta scena ze *Szczęk*. Dzieciaki w kapeluszach przeciwsłonecznych, z wiaderkami, budujące babki z piasku, pluskające się z piskiem na płyciźnie i trzęsące się z zimna, zawinięte w ręczniki. Jenny oglądała *Szczęki* w kinie Orpheus trzy lata po odejściu Billa, Bóg jeden wie, dlaczego to sobie zrobiła. Wstrętne kreatury wynurzające się z morza, zębate i cuchnące krwią.

Jenny nie lubiła się bać. Czuła się tak, jakby znowu była dzieckiem, kiedy bała się ciemności i skrzypiących schodów, cieni w ogródku mamy przy Conferry Road, które każdego dnia się przybliżały. Kiedy były małe, Carol opowiadała jej historie o wampirach i wilkołakach, i innych wymyślonych przez siebie potworach, o pomarszczonym stworze mieszkającym pod łóżkiem. Jenny uważała, że w tym domu dość było realnych rzeczy, których można się było bać.

Nic dziwnego, że Carol wyjechała przy pierwszej nadarzącej się okazji. Odcięła pępowinę. Jenny, jako młodsza, została dłużej.

Hannah wróciła z lodami.

– Rozpuściły się – powiedziała. – Przykro mi.

Rożki były rozmiękle i zielone. Wnuczęta zjadły, ile się dało, a resztki wyrzuciły w piasek. Jenny czuła, że spiekają się jej ramiona.

– Chyba nie myślisz o tym nadal? – spytała Hannah.

– Nie.

– Masz paranoję.

– Może i mam, co z tego?

Jenny spojrzała na latarnię, spowitą wodną mgiełką, jaka unosi się nad morzem po sztormie. Im silniej wbijała wzrok w opary, tym wyraźniej materializowała się wieża. Zawsze czuła się nieswojo, że te dwa elementy mogą współistnieć w tym samym świetle. Dzieci na plaży beztrąsko zajądające się lodami. I tamto miejsce.

– Sądzisz, że ten człowiek cię śledzi.

– Wcale nie.

Jenny przesunęła się pod parasol. Minęła ich spacerująca para, mężczyzna trzymał dłoń na dolnej części pleców partnerki. Bill też tak z nią chodził, kładąc jej rękę na lędźwiach. Przynajmniej na początku, kiedy jeszcze chciał być blisko.

– To przestań ciągle się czaić za zasłoną, mam. To niezdrowe. I zapalaj światła w domu, do jasnej cholery. Mam już dość tego, że przychodzę jak do mauzoleum.

– To nie przychodź.

Urażona Hannah milczała przez minutę czy dwie.

– Zresztą czym właściwie się martwisz? – spytała w końcu. – Przecież napisze tylko to, co mu powiesz.

– Jak mam to rozumieć?

– Nijak. To ja się pytam.

Jenny zrobiła palcem zagłębienie w piasku. Pod powierzchnią było chłodniej.

– Przestań z nim rozmawiać – ciągnęła Hannah.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Skoro ona rozmawia, to ja też. – Za wszelką cenę unikała wypowiedzenia imienia Helen. Już i tak miała dość, że musi o niej myśleć, że ta kobieta w ogóle istnieje.

– Na miłość boską! – Hannah zerwała się na równe nogi i pobiegła do Nicholasa, który wpadł w dołek wykopany przez inne dziecko. Czasami Jenny żałowała, że w ogóle powiedziała Hannie o romansie Billa, dziewczyna miała wtedy ledwie naście lat. Powinna była zostawić to dla siebie, żeby córka zachowała przyjemne, niezmacone wspomnienia o kochającym, troskliwym ojcu. Po jakimś czasie Jenny nie mogła już jednak wytrzymać. Wstyd nie pozwalał jej zwierzyć się nikomu innemu.

Dla świata stanowili z Billem idealną parę, wszyscy znajomi im zazdrościli. Po jego odejściu przykro by było zniszczyć ten wizerunek. Po co dokładać kolejną tragedię.

Hannah wróciła z wrzeszczącym dzieckiem. Jenny poczuła w ustach kwaśny smak. Zastanawiała się, jaki smak czuł Bill, kiedy jadł tamte czekoladki.

– Kogo obchodzi, co robi ta głupia krowa? – spytała Hannah, siadając obok matki. Osłoniła oczy od słońca. – To ty go naprawdę znałaś.

Hannah położyła dłoń na jej dłoni i Jenny przestraszyła się, że się rozplacze. Gdyby córka się dowiedziała, zostałaby zupełnie sama. Chciała tylko dać Billowi nauczkę. Przypomnieć mu, w stosunku do kogo powinien być lojalny. Tylko odrobinka wybielacza – „w przypadku połknięcia niewielkiej ilości możliwe lekkie wymioty” – zamaskowana mydlnym smakiem fiołków.

Sama była sobie winna. Od wielu lat nie włożyła ani odrobiny wysiłku w podtrzymywanie relacji z innymi ludźmi, chowała się przed światem z gotowymi posiłkami odgrzewanymi w mikrofalówce i oglądała powtórki *Blockbusters*. Julia i Mark traktowali ją dobrze, ale Hannah była wyjątkowa: z wiekiem nawiązywała się między nimi coraz silniejsza przyjaźń. Hannah uważała matkę za niewinną ofiarę. Jenny nie mogła dopuścić, by córka się dowiedziała, że oboje rodzice zbłądzili.

A teraz ten cały Sharp będzie naciskał, dopóki ona nie puści farby. A może on już wie. Może Helen też wie, może Arthur napisał do niej list. Najgorsza byłaby próba wytłumaczenia tego Hannie. Nie potrafiłaby.

– Byliście małżeństwem przez czternaście lat – powiedziała Hannah. – Trójka dzieci, psiakrew. A Helen znała go ile? Z pięć minut? Niech sobie mówi, co chce. Jeśli grzebanie się w przeszłości sprawia ci przykrość, to odpuść. Ale naprawdę, tajemnicze postaci w samochodach przed domem? No weź.

Hannah miała rację. Jednak dwie noce wcześniej Jenny czuła, naprawdę czuła, że ktoś się czai na ulicy. I rzeczywiście, kiedy wyjrzała przez firankę, zauważyła samochód z włączonym silnikiem. Stał tak przez dłuższy czas, jakby kierowca ją obserwował. Nikt nie wyszedł z sąsiednich budynków, z pojazdu nikt nie wysiadł. W końcu odjechał.

Jenny wstała i strzepała piasek z ręcznika. Wiatr obsypał ją ostrymi, kłującymi drobinkami. Chciała wracać do domu, ale dzieciaki też do niej jechały, będzie musiała nastawić piekarnik na kotlety i zabrać się do obierania ziemniaków, teraz to już na pewno przegapi *Sąsiadów*. Pomogła popakować rzeczy, zebrać dzieci, otrzepać im stopy z piasku – a przez cały ten czas Maiden sterczała nieprzyzwoicie za jej plecami, upiorna towarzyszka.

Intruz otwierał drzwi, które musiały pozostać zamknięte. Drzwi, które przez lata barykadowała, bo prowadziły do miejsca, w którym jej noga już nigdy nie mogła postać.

Wystarczyło, że straciła męża. Nie zamierzała stracić także córki.

JENNY

Nie uważam niewiedzy za coś złego. Czasem dobrze jest nie wiedzieć. Mama zawsze powtarzała: „Jennifer, ty nic nie wiesz”. Mówiła to jako przytyk, bo była niesympatyczną kobietą, ale okazało się, że bardzo mi to pomogło w życiu. Nie znaleziono ciała Billa, a dopóki się to nie stanie, istnieje szansa, że on żyje. Póki ta szansa istnieje, póty jest nadzieja. Z każdym rokiem coraz bardziej słabnie, ale nigdy nie znika.

Dopóki Trident House nie pokaże mi, co zostało z mojego męża, nie przyjmę jego śmierci do wiadomości. Dlaczego miałabym to zaakceptować? Zniknął jak za sprawą czarów. W ten sam sposób może też wrócić. Niespodzianka! Jak ci iluzjoniści w telewizorze. Nie trudniej byłoby wytłumaczyć jego nagły powrót niż to tajemnicze zaginięcie.

Pisarze mają podobno otwarte umysły, prawda? Cóż. Zobaczymy.

Pamięta pan pewnie, że wspominałam o złych przeczuciach Billa. Miał szósty zmysł, a może i siódmy; takim właśnie był duchem. Nastrojony na nieco inne fale, tak jak ja. Moim zdaniem to nic dziwnego, skoro matka mu tak zmarła. Bill zaczął wierzyć – a przynajmniej chciał wierzyć – że życie to coś więcej niż skóra, krew i kości, które dostajemy na tym padole.

Kiedy zaczynaliśmy się spotykać, pisał do mnie liściki. Podrzucał mi je w szkole, znajdowałam pod blatem swojej ławki wiadomości, o której mamy się spotkać. Musieliśmy się ukrywać przed mamą. Carol już się wtedy wyprowadziła, więc zostałyśmy same. Zaraz po moim powrocie zamykała drzwi na klucz i mnie nie wypuszczała. Zostawiał mi prezenty w dziupli w drzewie na terenie parku. Torebkę landrynek cytrynowych albo plastikowy pierścionek kupiony na jarmarku. Czasem nadal wydaje mi się, że znowu znajdę taki liścik od Billa. Pod poduszką albo oparty o czajnik

w kuchni. Spotkajmy się w naszym dawnym domku, w poniedziałek o wpół do piątej.

Nie twierdzę, że Bill się teraz opala na jakiejś tropikalnej plaży. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli to naprawdę jakaś nadprzyrodzona siła mi go odebrała – czy może lepiej powiedzieć: pożyczyła go sobie – to równie dobrze jakaś nadprzyrodzona siła może mi go zwrócić. Wystarcza mi, że nie jest to niemożliwe.

Nie ufam ludziom, którzy twierdzą, że nigdy nie doświadczyli niczego niewytłumaczalnego. Muszą być bardzo zamknięci na świat, a to wielka strata tak żyć, myśląc tylko o tym, co widać jak na dłoni, nigdy nie zastanawiać się, czy może być coś więcej.

Trzeba sięgać wzrokiem dalej. Nieco otworzyć umysł, uchylić go choćby na wąską szczelinę.

Słyszał pan kiedyś o Srebrniku? To taka nasza miejscowa legenda, tu w Mortehaven. Osobiście nigdy go nie spotkałam, ale znam masę osób, które widziały go na własne oczy. To wszystko osoby godne zaufania, przysięgłby pan, że nie zmyślają. Mówiły, że widziały, jak tak po prostu się przechadzał, swobodnie, jakby był u siebie.

Jezu, wydawca nie miał nikogo bystrzejszego na stanie czy co? No bo był srebrny, a dlaczego? Srebrne włosy i ubrania, nawet skórę miał jakby srebrzystą, trochę jak ryba. A najdziwniejsze, pomijając ten wygląd, to że pojawiał się w miejscach, do których nie mógłby się dostać. Jakby przemieszczał się zbyt szybko, jakby występował w wielu egzemplarzach. Niektórzy twierdzili, że wyglądał, jakby śpieszył się do pracy, bo miał przy sobie walizkę, też srebrną. Ktoś widział go na dole, na początku głównej ulicy, wsiadał do samochodu, a parę minut później facet pojawiał się na drugim końcu ulicy albo gdzieś na szczycie klifu, z pięć kilometrów dalej. Pat z Seven Sisters mówiła kiedyś, że widziała raz, jak do niej machał z dołu, z plaży, a każdy, kto zna Pat, wie, że ona zupełnie nie potrafi zmyślać. Był daleko, niósł jakiś nieduży srebrny worek, Pat mówi, że to było tak, jakby ją zapraszał, żeby podeszła, bo kiedy się zbliżyła, wszedł do morza i szedł dalej przed siebie, aż się zanurzył i koniec.

Owszem, jestem chrześcijanką, ale moim zdaniem im lepiej rozumie się religię, tym wyraźniej się dostrzega, że to wszystko różne odmiany tego samego. Niebo i piekło – to przecież zjawiska nadprzyrodzone, prawda? Anioły i demony. Płonące krzewy. Rozstępujące się morza. Jeśli ufa się

Bogu, powinno się przyjmować, że w stworzonym przez Niego świecie mogą dziać się najróżniejsze rzeczy.

Nie wszystko da się opisać w podręcznikach. Nauka jest niby taka mądra, a przecież też nie zna wszystkich odpowiedzi. Weźmy stworzenie świata. Naukowcy mają te swoje teorie o Wielkim Wybuchu, ale w tym miejscu utykają, bo nie ma żadnego wytłumaczenia, skąd się wzięło to wszystko, co było potrzebne do Wielkiego Wybuchu. Te wszystkie cząsteczki, atomy i co tam jeszcze miało wybuchnąć, przecież nie wzięło się to znikąd? Bill twierdził, że to dlatego tak wielu naukowców to osoby wierzące. Oni najlepiej wiedzą, że nie da się zrobić czegoś z niczego.

Moja mama wierzyła w jedno i drugie. Dom, w którym dorastałam, był obwieszony krzyżami i zawalony książeczkami z psalmami; gdziekolwiek człowiek spojrzał, wszędzie Dzieciątko Jezus, nie dało się od Niego uciec. Mama paliła świece i zaciągała zasłony, tak że robiło się jak w kaplicy, ale miałyśmy też dzwonki wietrzne i łapacze snów, czasami widywała się z szamanami. Jeden nazywał się Kestrel. Przychodził do domu, kładł mamie rękę na głowie i coś tam bełkotał, a potem szli na górę. Pamiętam, że w górnej części pleców miał wytatuowane dwa duże skrzyżowane pióra. Zobaczyłam ten tatuaż któregoś ranka, kiedy zesłam do kuchni w koszuli nocnej, a on robił tam grzanki, jakby z nami mieszkał.

Gdy miałam dziewięć lat, w naszym ogródku pojawiła się Matka Boska. Któregoś dnia leżała twarzą w dół przy szopie, między lodówką a stertą worków na śmieci. Mama powiedziała, że Maryja wypadła z furgonetki przy kościele, więc przyniosła ją do domu, żeby się nami opiekowała – mną i Carol, bo potrzebowałyśmy opieki. Co do tego, że wypadła z furgonetki – teraz wiem, że po prostu tak się mówi, kiedy coś pochodzi z niepewnego źródła, ale wtedy oczami wyobraźni widziałam, jak otwierają się tylne drzwiczki i naturalnych rozmiarów Madonna roztrzaskuje sobie twarz na chodniku. Było widać, gdzie się uderzyła – na jednym policzku miała ślad. Mama zamierzała doprowadzić ją do porządku, ale jakoś nie mogła się zebrać, więc w końcu sama poszłam do ogródka i postawiłam figurę pionowo. Potem każdej nocy zmuszałam się do odsłonięcia okna w sypialni i patrzenia na nią, wyglądała jak żywy człowiek. Sama siebie straszylam, że się porusza, przesuwa z jednego końca ogrodu w drugi, a potem w moją stronę, każdej nocy coraz bliżej.

Chociaż mama twierdziła, że jest religijna, musiała chyba wierzyć w innego Boga niż ja. Powiem tyle: nie tylko gipsowa Maryja miała ślady po uderzeniu.

Dzięki życiu z matką nauczyłam się odróżniać dobro od zła. Że nie zawsze da się zobaczyć różnicę na własne oczy – trzeba ją poczuć, wie pan, tutaj. Jeśli chodzi o mnie, to na świecie jest i światło, i ciemność, i dzięki temu właśnie świat się kręci. Musi być światło, żeby istniała ciemność, i na odwrót. To jak waga z szalkami, kiedy jedna idzie w dół, to druga w górę. Wszystko zależy od tego, czego jest więcej – im więcej światła, tym trudniej wślizgnąć się ciemności. Jeśli chodzi o światłość Boską, to nie jest trudno ją znaleźć. Bywają momenty w życiu, kiedy trafia nam się trochę światła, na przykład kiedy dostajemy dobre wieści albo przydarza nam się coś miłego, ale dla mnie to jak zapalenie latarki. Świeci jasno, póki jest włączona, ale nie trwa wiecznie. A światłość Boga trwa.

Bill był jedyną osobą, której mogłam się zwierzyć z tego i z wielu innych rzeczy. Kiedy się zaręczyliśmy, moja mama oznajmiła mi, że się cieszy, że ją ode mnie uwalnia, bo miała już tego dość. Poza tym chyba już nigdy nie zamieniła z nim ani słowa. Podczas mojego wesela zamknęła się na gorze w pubie z butelką jamesona, płacząc, że ją opuszczam.

W końcu rzeczywiście ją opuściłam. Zasnęła w toalecie, a ja ją tam zostawiłam, z głową na pojemniku z papierem toaletowym. Od tamtej pory z nią nie rozmawiałam. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Szkoda mi czasu na myślenie o niej. Po odejściu Billa nie próbowała się ze mną kontaktować, mimo że pisały o tym wszystkie gazety, więc raczej nie było to trudne. Zresztą i tak nie chciałam, żeby mnie znalazła. Lepiej mi bez niej. Nie jest łatwo powiedzieć, że komuś lepiej jest bez matki, ale w moim przypadku tak właśnie jest.

Nigdy nie pozwolę, żeby moje dziewczynki znienawidziły mnie tak, jak ja nienawidzę swojej matki. Nigdy nie będę taką matką jak ona. Zresztą nie była tak naprawdę matką – to święte słowo, a ona nie była świętą kobietą, tylko osobą, która sprowadziła mnie na ten świat, a potem umyła ode mnie ręce.

To przeznaczenie zetknęło mnie z Billem. Wylądowałabym na ulicy albo w schronisku dla bezdomnych, gdyby nie Bill i służba latarniana. Teraz rozumie pan, dlaczego on nigdy nie opuściłby tej wieży z własnej woli? Tak

daleko zaszliśmy jak na takie trudne początki. To dlatego wiem, że musiało się tam zdarzyć coś innego.

Od razu wiedziałam, kiedy przytłaczały go złe przeczucia. Przeszawał jeść, nie mógł spać. Budził się o piątej rano, słyszałam, jak w ciemności przełyka ślinę. Leżał zupełnie bez ruchu. Jeśli cokolwiek mówiłam, jeśli pytałam: „Bill, kochanie, nie śpisz?”, nie odpowiadał i wtedy wiedziałam, że wpadł w jeden ze swoich dołków.

Kiedy już ze mną rozmawiał, co nie zdarzało się często, zawsze uważnie słuchałam. Wcześniej nikt mu tego nie dawał. Ojciec i bracia tylko się z niego śmiali, a jeśli jest coś, czego Bill nienawidzi, to kiedy ktoś z niego drwi. Byłby zupełnie innym człowiekiem, gdyby miał matkę. Z drugiej strony nie chciałabym żadnego innego mężczyzny, więc lepiej, żebym nie roztrząsała tego tematu zbyt długo.

Wierzy pan w zbiegi okoliczności? Na pewno pan wierzy. Na końcu *Pokłonu Neptuna* wrzucił pan niezły zbieg okoliczności, kiedy tamte dwie postaci weszły do tego samego hotelu. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia? Mógł pan znaleźć inne rozwiązanie, ale nie. Może tak naprawdę wcale się bardzo od siebie nie różnimy.

No to proszę, mam dla pana taki oto zbieg okoliczności. Na pewno pan wie, że latarnia świeciła w nocy przed zniknięciem Billa – z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego. W gazetach ciągle o tym pisano, bo to oznacza, że cokolwiek się tam stało, musiało mieć miejsce następnego ranka, przed wypłynięciem łódki Jory’ego Martina. To oznacza, że ktoś tam był, przynajmniej jeden z nich, przynajmniej ktoś, kto zapalił płomień i pilnował go przez całą noc – i co, tak się złożyło, że ten ktoś rozpląnął się w powietrzu tuż przed przypłynięciem zmiany?

Nie wierzę w takie przypadki, musi w tym być coś więcej. No bo jeśli nie, to od razu myślimy, że gdyby tylko zmiana dotarła na miejsce wcześniej, gdyby szwyper zdecydował o wypłynięciu mimo paskudnej pogody – to dodatkowe, niepotrzebne okrucieństwo. Ale do tego się to właśnie sprowadza: czy wierzymy w zbiegi okoliczności. Czy to po prostu taki mechanizm działania świata, czy coś innego? Dla mnie odpowiedź jest jasna.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o zmianach dyżuru, ten wie, że w dniu zmiany cała załoga wieży wisi na radiotelefonie, bo nie mogą się doczekać przypłynięcia łodzi ze zmiennikiem i zapasami, ciągle dopytują,

czy uda się dotrzeć. Ale tamtego dnia nie dało się z nimi skontaktować. Ci z brzegu wywoływali ich przez radio, ale nikt z latarni nie odpowiadał. Inżynier wpisał uszkodzenie nadajnika przez sztorm, ale ja nie przyjmuję takiego wyjaśnienia. Awaria radia dokładnie w chwili, kiedy trójka mężczyzn znika z powierzchni ziemi? Tylko głupi by w coś takiego uwierzył.

No i weźmy pod uwagę, że wszyscy by tak nie gadali o sprawie z Maiden Rock, gdyby nie było w niej niczego dziwnego. Żadnego elementu nadprzyrodzonego. Nie rozmawialiby o tym, gdyby zabrało ich morze, jak twierdzi Helen, albo jakby to nadetatowiec wpadł w obłąd.

Niektórzy twierdzą, że w noc przed zaginięciem Billa widzieli światła na niebie. Czerwone światła, które zawisły nad wieżą, a potem szybko odleciały. Kapitanowie statków opowiadają, że jakiś latarnik machał do nich z balkonu, choć przecież od lat nikt tam nie mieszkał. Albo ptaki – pewnie pan o tym słyszał. Rybacy zarzekają się, że widzieli trzy białe ptaki przycupnięte na skałach podczas odpływu albo latające wokół latarni, kiedy morze jest wzburzone. Konserwatorzy, którzy pilnują utrzymania wieży, mówią to samo. Nad latarnią zbudowano lądowisko dla helikopterów, żeby już nikt nie próbował dostać się tam tradycyjną drogą. Ptaki zawsze siedzą na lądowisku i na nich czekają; nie boją się wirników ani hałasu, po prostu się na nich gapią.

Dlatego nie dawała mi spokoju ta sprawa z mechanikiem. Wszyscy twierdzą, że nic takiego nie miało miejsca, że nie było tam nikogo poza nimi. Trident zignorował te informacje, wrzucił je do jednego worka z pogłoskami. Mówili, że to równie nieprawdopodobne jak te opowieści kapitanów o duchach. Ale zależy, w co wierzymy. Jak już mówiłam, ja wierzę w „a co, jeśli...?”.

Może to złe przeczucie Billa. Może to światła na niebie, ptaki, nadajnik, zbieg okoliczności. Może coś jeszcze, o czym nie pomyślałam, bo jak mówiła moja mama, niczego nie wiem. Wiem tylko tyle, że absolutnie nic nie wiem.

8 Church Road
Towcester
Northants

Helen Black
16 Myrtle Rise
West Hill
Bath

18 lipca 1992 r.

Droga Helen!

Czy możemy się spotkać? To ważne. Niżej podaję mój nowy numer telefonu. Muszę porozmawiać z Tobą osobiście. Chodzi o Vince'a i to, co się stało. Zadzwoń, jeśli możesz. Proszę.

Michelle

V

1972

21

ARTHUR Pieśń smutku

Dwudziesty trzeci dzień na wieży

Na łodzi mamy z Helen ustalone na zmianę dyżury ze zmywaniem naczyń. Kiedy wypada moja kolej, odwalam robotę jak najszybciej. Potem mogę obejrzeć odcinek *Paula Temple'a* w telewizji albo, jeśli noc jest pogodna, przejść się ten kawałek od domków na krawędź klifu, popatrzeć na latarnię i tęsknić za nią.

Tutaj zmywanie jest rytuałem, zadaniem, na które mogę poświęcić dużo czasu, bo nie potrzebuję go na nic innego. Czasem zmywam z pokolacyjną fajką w ustach i co jakiś czas któryś z chłopaków podsuwa pod papierosa popielniczkę – inaczej popiół wpada do zlewu, muszę go wyławić i zaczynać wszystko od początku.

Chociaż palimy gdzie popadnie, to poza tym bardzo poważnie podchodzimy do czystości i porządku. Gdyby ktoś nas zapytał, wszyscy powiedzielibyśmy, że w domu aż tak nie zwracamy na to uwagi, trochę dlatego, że zwykle to żony się tym zajmują (Helen akurat nie, ale to właśnie w niej lubię), ale też dlatego, że w domu to nie jest takie ważne. W wieży nie ma dużo miejsca, więc ta ograniczona przestrzeń musi być na tip-top. U nas jest tak czysto, że można by jeść prosto z każdego blatu czy nawet podłogi. Jeśli więc strzepnie mi się popiół do zlewu, wypuszczam całą wodę i zaczynam od nowa. Miło spędzić pół godziny przed oknem wychodzącym na morze, gładkie i srebrne jak folia aluminiowa. Talerze umyłem już dwa razy, bo tak tu przyjemnie.

– Czytasz jakieś wiersze? – pyta Vince, który siedzi z papierosem nad pasjansem zegarowym rozłożonym na stole. Z jego magnetofonu leci *Supersonic Rocket Ship*.

– Czasami.

- Mówią, że znajdzie się wiersz na wszystko, co nam się dzieje w życiu.
- Myślę, że to prawda.
- No jak nie ma nic innego...
- No, z braku laku.

Spodziewa się, że zacznę się z niego nabijać. W latarni nawet jak chcesz opowiedzieć, co ci się śniło, to zostaniesz nazwany sentymentalną fają. Ale Vince jest zupełnie inny, niż mogłoby się wydawać. Kapele rockowe, pisanie i palenie to jego bajka. The Kinks, Deep Purple, Led Zepp, T. Rex. Mnie i Billowi nie zależy na muzyce. Wystarcza nam radio na komodzie, w lepsze dni udaje się złapać *I'm Sorry I Haven't a Clue* w Radio 4. Odbiera raczej słabo i z przerwami, ale sam dźwięk głosu Barry'ego Cryera przypomina nam, że gdzieś tam są inni ludzie, toczy się życie. Zresztą dlatego nie zawsze mam ochotę słuchać tej audycji, ale nigdy nie każę Billowi wyłączyć, po prostu wychodzę do innego pomieszczenia.

- No to kogo lubisz?
- Na pewno Thomasa – mówię. – „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy” ¹.
- Nie znam.
- A powinienes.
- Wielu z tych gości to też poeci – mówi. – Davies, Bowie i tak dalej. W piosenkach, które piszą, melodia to tylko jeden element, teksty bronią się same.
- Bob Dylan.
- Tak jest.
- A czytałeś Walta Whitmana? „Z rozkołysanej na wieki kołyski... Z otchłani wrześnieowej nocy” ².
- Co to znaczy?
- W oderwaniu od reszty niewiele. A zresztą nawet wtedy dla każdego znaczy coś innego.
- Naskrobałem parę wierszy dla mojej dziewczyny – mówi Vince.
- I co, podobało jej się?
- Laski uwielbiają poezję. – Uśmiecha się. – Więc całkiem nieźle na tym wyszedłem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Na początku układałem sobie to w głowie. Noce w zamknięciu strasznie się dłużą. Przychodziły mi do

głowy różne myśli, tu i tam składały się w całość, czasem nawet całkiem przyzwoitą. Wydaje mi się, że dobrze jest pozbierać to, co nam chodzi po głowie, i zapisać na kartce, bo wtedy można się temu przyjrzeć i okazuje się mniejsze, niż się wydawało.

- O czym były te wiersze?
- Musiałbyś mnie najpierw upić.
- Nie pokażesz mi żadnego?
- No może – ustępuje. – Tobie mogę.
- Fajnie.
- To pewnie straszne gnioty. Trochę porąbane, ale myślę, że załapiesz. A może właśnie dlatego załapiesz. Nie chcę niczego w sobie dusić. To niezdrowe.
- Racja.
- Trzeba wyrzucać z siebie rzeczy.
- Wiesz, że zawsze tu jestem, Vince.
- Dzięki, szefie. I nie mów Billowi, dobrze?
- O wierszach?
- No.
- Nie powiem.
- To nie jego bajka.
- Skąd wiesz?
- Jakoś tak. Zmasakrowałby je. Nie zrobiłby tego celowo, ale nie potrafiłby się opanować.

Dzień dwudziesty czwarty, dwudziesty piąty, dwudziesty szósty

Wschody słońca i wschody księżyca. Zapalanie i gaszenie światła. Gwiazdy huśtają się na nocnym sklepieniu, pradawne układy zmieniają kształt, przekrzywiony wóz, krab do góry nogami, Skorpion, Gwiazda Poranna i równonoc. Wiatr burzy fale, galopują niczym konie o spienionych pyskach, a potem spokój, spokój; bezkresne morze o zmiennych nastrojach szemrze i pogwizduje swoją pieśń smutku, pieśń duszy, pieśń zaginioną, lecz nigdy na długo, bo oto znów się wznosi, aż faluje, a w sercu tego wszystkiego nasza Maiden, zakorzeniona mocno niczym wielowiekowy dąb, wbita prosto w skałę.

Mocny przypływ, jasny dzień, nasmarować armatkę do sygnałów mgielnych i naoliwić soczewki. Stek z puszki smakuje lepiej, niż pachnie, fotografuję nikonem morze i niebo, bo nic ich nie oddziela. W odległości mniej więcej pół kilometra, na wysokości laterny, przelatuje myśliwiec RAF-u; macham, ale nie mogą mnie zobaczyć.

Przespać się albo przynajmniej spróbować. W dusznej ciemności znowu słyhać samoloty, ale już się nie zbliżają, mówi Bill, tylko tamten jeden. Muszę spać. Nie śpię, więc godziny niezauważenie przechodzą w dni, dni w noc, skreślamy je na kalendarzu, żeby się nie pogubić, to dzisiaj, to jutro, to otchłań wrześnieowej nocy Whitmana.

Piątek. Przepływa jakaś łódka. Wycieczkowicze okrążają wieżę, wołają: „Hej! Jest tam kto?”. Chyba poszaleli, żeby pływać o tej porze roku, wszyscy zakutani w szaliki i czapki, ale skoro jakiś rybak na to poszedł, to powodzenia. Turyści traktują nas jak egzotyczną ciekawostkę: „Do domu na Gwiazdkę?”, wołają. Przez huk grzywaczy roztrzaskujących się na skałach trudno dosłyszeć, czy to zdanie pytające, czy twierdzące, zresztą i tak tylko jeden z nas wraca. Bill jest gotowy, a na pewno będzie gotowy wtedy.

Po jakimś czasie zaczyna się to zauważać w drugim człowieku. Billowi stuknęło już czterdzieści dni. Przyda mu się rozprostować nogi, przytulić żonę i dzieci. Widać, że przyjaciel zbliża się do momentu, kiedy o tym wszystkim zapomni, zapomni, że jest jakieś życie na zewnątrz, że ta jedna ściana nie wyznacza granicy świata. Bill robi się srogi i traci poczucie humoru – po tym można poznać, że minęło czterdzieści dni. Zawsze tak jest po czterdziestu dniach.

Dzień dwudziesty ósmy

Na podłodze składziku oleju jest biały pasek farby, który trzeba poprawić, więc poświęcam na to godzinę uważnej pracy, aż linia wygląda lepiej niż wcześniej, jest idealna. Po wykonaniu zadania wychodzę na odsadzkę i czyszczę pędzle – wyglądają jak nowe. Często myślę sobie, że w naszym domku na łądzie też czasem przydałoby się zrobić malowanie, ale nie jestem tym szczególnie zainteresowany, a zresztą Trident i tak co jakiś czas wysyła swojego człowieka, żeby się tym zajął. Tutaj sam wynajduję rzeczy do zrobienia, nawet jeśli nie są pilne i można by jeszcze na jakiś czas odpuścić. Ja jednak od razu zabieram się do naprawiania i ulepszania.

Zanim zacząłem służbę na latarniach, mieszkaliśmy z Helen w kawalerce na Tufnell Park. W niedzielne poranki wychodziłem po gazetę i przynosiłem jej bułkę z piekarni na rogu. Helen jadła w łóżku, z nogami zaplątanymi w pościel, a potem strzepywaliśmy okruszki, piliśmy czarną kawę z fusami i szliśmy na spacer na Hampstead Heath. Zastanawiam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy tam zostali. Helen byłaby szczęśliwsza. Nie czułaby, że zrezygnowała dla mnie ze swojego życia, bo wiem, że tak myśli, a raz czy dwa wspomniała nawet, że równie dobrze mogłaby wyjść za żołnierza.

Tęsknota i wyrzuty dopadają mnie zawsze na nocnej zmianie. Słyszałem raz historię o latarniku, który zakochał się w dziewczynie z rodzinnego miasteczka. Przez całe lato stosunki między nimi ocieplały się i ochładzały, tak że facet nie wiedział, na czym stoi, aż pewnego dnia przyplłynęła łódź, a dziewczyna stała na dziobie, po kolana w linach i kapokach, i wykrzyczała, że go kocha. Prawie się posikaliśmy ze śmiechu z chłopakami, z którymi wtedy byłem, bo tak to jest, jak wypływa temat związany z miłością, uczuciami i tak dalej. Ale prywatnie myślałem sobie zupełnie inaczej.

Niektórym nie jest łatwo mówić o tym, co czują w środku. Mnie na pewno nie jest.

Myślałem, żeby może zrobić coś takiego dla Helen, ale w drugą stronę, od lądu, to nie zadziałałoby tak dobrze, a poza tym nie mam żadnego zaufanego szypra. Za dużo o tym myślałem i w końcu pomysł wydał mi się kretyński. Takie rzeczy robi się w wieku dwudziestu pięciu lat, a nie pięćdziesięciu. Przychodzi moment, kiedy za dużo już się wydarzyło. Było, minęło, upłynęło zbyt wiele wody w rzece.

Wracam do środka, żeby się wykapać. Vince w salonie słucha tych swoich płyt, wołam do niego, że wzmaga się wiatr, ale on nie słyszy, a sprawa nie jest na tyle ważna, żebym się powtarzał. Kącik łazienkowy znajduje się w kuchni – blaszany kubeł i myjka; stoję w samych majtkach i mydlę się jak najszybciej. Nie ma w tym żadnej przyjemności, to czysto funkcjonalne. Wytrzeć się, ubrać i od razu zaparzyć herbatę, bo mi zimno i mam mokre włosy.

Mokre włosy pojawiają się w moim pierwszym wspomnieniu z dzieciństwa. Matka wycierająca mi głowę ręcznikiem, bez ceregieli, z tą brutalną praktycznością, z jaką matki plują na palce, żeby wytrzeć brudną

buzię, zniecierpliwione i zirytowane. Potem zajmowała się tak moim ojcem. Kiedy on zdziecinniał, ja przestałem być dzieckiem. Dorosłem, przerosłem go.

Trudno podnieść kubek do wnęki w ścianie i opróżnić go przez okno, więc idę na górę, na galerię; w chwili gdy przechylam wiadro przez balustradę, znikąd przychodzi silny podmuch północno-zachodniego wiatru i uderza mnie w bok. Kubek prawie wymyka mi się z rąk, mało brakuje, a przez całe święta będę musiał się płaszczyć przed chłopakami – przykro mi, chłopcy, obawiam się, że nie mamy łazienki – ale udaje mi się go utrzymać, tyle że w nagrodę za ten heroiczny wysiłek kończę przemoczony. Mam przesiąknięte wodą całe spodnie i dolną połowę puloweru.

Wiatr jest lodowaty, grzbiety dłoni zaciśniętych na krawędzi kubła mam zaczerwienione i popękane. Szybko wracam do środka i schodzę do sypialni, żeby się przebrać, po drodze odnosząc wiadro na miejsce.

Bill śpi w swoim łóżku. Zasłonę ma odsuniętą; leży na boku, więc widzę zarys jego ucha i mocnych mięśni ramienia. Zawsze postrzegałem Billa jako drobnego – szczupłego i zwinnego, jak złodzieja w metrze. Ostatnio jakby przypakował. A może zawsze taki był? Czasem patrzy się na kogoś i nagle widzi się go zupełnie na nowo – długie przebywanie razem bywa zwodnicze, wierzymy, że druga osoba jest kimś, kim wcale nie jest.

Chrapie cicho. Czasami uderza mnie to, ile czasu spędzam z ludźmi, z którymi w innych okolicznościach nie miałbym nic wspólnego. Na lądzie nawiązywanie znajomości nie przychodzi mi łatwo. Nie mam do tego drygu. Ludzie pojawiają się i znikają, brakuje czasu, nie potrafię się wstrzelić. Tutaj nie ma wyboru. Uczymy się żyć razem w wąskiej kolumnie bez wyjścia. Obcy mężczyźni stają się przyjaciółmi, a przyjaciele braćmi. Dla jedynaków to wymarzona sytuacja. Jako dziecko myślałem, że mówi się „jednak”, że ma to coś wspólnego z jednakowością; dopiero w wieku czternastu lat zobaczyłem to słowo wydrukowane w jakiejś broszurce medycznej.

Po cichu wyjmuję z szafki sweter, nie mam już spodni na zmianę, ale uznaję, że Bill się nie obrazi, jeśli pożyczę sobie od niego. Mamy mniej więcej ten sam rozmiar, jeśli nie wciągnę paska. Moje będą schły sto lat, bo jedynym źródłem ciepłego powietrza jest piecyk w kuchni.

Po włożeniu spodni odruchowo sprawdzam kieszenie. Moja dłoń trafia na znajomy przedmiot. W pierwszej chwili nie jestem pewny, dlaczego

wydaje mi się znajomy, czego właściwie dotykam, ale wiem, że skądś to znam.

Kiedy oświadczyłem się Helen, nie było mnie stać na pierścionek. A przynajmniej nie taki, na jaki zasługiwała, od jubilera z Hatton Garden, z szafirem osadzonym między dwoma brylantami. Na to mogłem sobie pozwolić dopiero po pięciu latach i zaciągnięciu sporej pożyczki w banku. Ale kilka tygodni wcześniej pojechaliśmy na wycieczkę za miasto i na jakimś straganie z bibelotami wpadł jej w oko naszyjnik. Nic szczególnego, zwyczajny srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie kotwicy. Kosztował mnie dziesięć funtów. Mimo że pierścionek, który teraz nosi, jest wart znacznie więcej, to ten łańcuszek zawsze był dla nas ważniejszy.

Helen myśli, że nie zauważyłem, że przestała go nosić. Ale ja zauważam wszystko, co jej dotyczy, każdy szczegół, który się zmienił podczas mojej nieobecności.

Powinienem był wysłać do niej łądz, myślę, przesuwając między palcami wisiorek z kotwicą, w ostatnich chwilach mojego dawnego życia z żoną, którą znałem; powinienem był wysłać łądz z wykrzyczaną z dziobu wiadomością. Żeby wiedziała.

Na schodach, w zatęchłym półmroku, wydaję naszyjnik z kieszeni spodni Billa i patrzę na niego, a potem na tamtego mężczyznę w sypialni, próbując ogarnąć rozumem coś, co dla każdego człowieka byłoby oczywiste, ale dla mnie jest niewyobrażalne, to zbyt druzgoczące kłamstwo, cała seria zdarzeń, które musiały nastąpić, podczas gdy ja żyłem w całkowitej nieświadomości.

Konstelacje zmieniły położenie. Niebo się zawaliło. Człowiek, którego uważałem za przyjaciela.

BILL Srebrnik

Rekiny są pozbawione wyrazu, obłe. Dlatego nas przerażają. To zimne torpedy sadła, ze szczelinami skrzeli, wyposażone w zęby. Tłuszcz i zęby, to wszystko. Ostre igły w misce twarogu.

Kiedyś jednego widziałem. Siedziałem z wędką i nagle go zobaczyłem, wielka szara piguła przecinająca wodę, podobna do tabletek, które Jenny mi daje, kiedy nie mogę spać. Szybko wyciągnąłem żyłkę z wody, ale on i tak tylko okrążył parę razy wieżę i odpłynął. Wyglądał mi na długoszpara, ale Arthur orzekł, że to był żarłacz. Arthur wie lepiej. Widzieli go też przy sąsiednich latarniach.

Kiedy po powrocie na ląd powiedziałem Jenny, złapała mnie mocno, zionąc winem, i powiedziała: „Bill, obiecaj mi, że już nigdy nie będziesz łowił ryb na odsadzce”. Potem w nocy kleiła się do mnie ze wzrokiem wyrażającym żal i wyrzut: „czemu nie?”.

Nie powiedziałem jej, że rekin nie budził we mnie lęku, ale podziw. Jeśli miał jakąś rodzinę, zostawił ich. Jeśli miał żonę, to już ją pewnie zjadł.

Czterdziesty piąty dzień na wieży

Wichura uderza w połowie tygodnia. Czasami widzę zbliżającą się nawałnicę, ciężkie chmurzyska napierające na wieżę, morze przygotowujące się do akcji, ale zdarza się i tak, że deszcz i wiatr atakują znikąd. Jem śniadanie w kuchni i ani się obejrzę, a już wzburzone fale opryskują okno wodą.

– Kurwa – rzuca Vince, którego zwykle takie rzeczy nie ruszają, ale zauważyłem, że odpala następnego papierosa od poprzedniego. Mimo zamkniętych okiennic hałas wykracza poza skalę. Deszcz splukuje szyby, morze wygląda niezdrowo, jakby ktoś wlał za dużo mleka do herbaty.

Wieża się trzęsie, wibruje od podnóża do szczytu, dziwaczne uczucie, jakby raził nas prąd, przechodził falą od podstawy przez podeszwy naszych stóp, wychodził czubkami głów i płynął dalej w górę. Głazy wałą w latarnię z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie wierzę, że utrzymamy się na nogach.

Arthur czyta stary egzemplarz „National Geographic”. Nie martwi się. To, co mu się przytrafiło, sprawia, że na dłuższą metę nic nie jest mu straszne. Dlatego nie czuję się winny. Helen też nie powinna. Przeżył już najgorsze.

Podczas załamania pogody Arthur zwykle wygłasza swoje krzepiące mowy, na przykład przypomina, ile inżynierowie nauczyli się dzięki analizie pozostałości po latarni Smeatona, o wszystkich latarniach morskich, które przez te kilkaset lat wznoszono i się zawały, aż nauczyli się, jak powinno się to robić porządnie, z jaskółczymi ogonami, metalowymi złączami i granitowymi blokami wkopanymi w skałę.

Ja jednak postrzegam te jego mowy jako przejaw wyższości. Czuję się jak jakiś nowicjusz, który dopiero co wysiadł z łodzi. Arthur wie lepiej. Co ja tam wiem?

Dzisiaj jednak nic nie mówi. Dalej czyta „National Geographic”, podnosi wzrok tylko na chwilę, kiedy Vince proponuje mu herbatę. To musi być egzemplarz z jakiegoś 1965, jak nie starszy. Zegar tyka. Jedenasta zero cztery. Kolejne papierosy zostają wypalone i tak to się toczy.

Dwunasta. Popołudniowa zmiana przypadła głównemu latarnikowi. Dźwięk armatki mgielnej jest ogłuszający. Obsługa działka to trudna robota; można by pomyśleć, że zawsze jakaś odmiana od monotonii, ale sprowadza się do siedzenia w drzwiach i naciskania dźwigni, a czy można sobie wyobrazić coś bardziej monotonnego? Przy niskiej widoczności dyżurny musi siedzieć i godzinami naciskać tę cholerną dźwignię, co pięć minut. Pozostali zaś muszą tego słuchać, próbujemy spokojnie zjeść czy spać, podczas gdy dwanaście razy na godzinę rozlega się ten huk. Trident daje nam niby zatyczki do uszu, tak samo jak rodzinom mieszkającym przy latarniach na lądzie czy wyspach, ale to niewiele daje. Nie można niczego robić, kiedy to cholera strzela. Trudno zebrać myśli.

Następuje chwilowa przerwa w monotonii, bo muszę wyjść na galerię i naładować armatkę. Nie lubię tam stać, kiedy morze kotłuje się wściekle,

a wiatr gwizdże tak mocno, że aż bolą mnie uszy. Nawet na łądzie słyszę ten wiatr w głowie, jakby świst w tunelu, skrzypiące westchnienia w pogodny dzień i skowyt podczas szkwału. Arthur to lubi. Lubi stać na galerii, patrzeć, jak szaleją żywioły. Teraz siedzi w laternie na krześle z kuchni, trzyma kciuk na spuście.

– Już mogę, Bill?

Ryk wystrzału. BURRRRRRRRR.

– Przyniosłem ci herbatę – mówię i stawiam mu kubek przy nogach. Siedzi bez butów, a skarpetki ma nie do pary. Nie dziękuje. Tylko gapi się dalej na morze.

– Co na kolację? – pyta po dłuższej chwili.

Zatrzymuję się przy schodach. Wkładam ręce do kieszeni.

– Zapiekanka wołowa z nerkami.

– Dobry dzień.

– Na łądzie byłoby lepiej.

Arthur zapala papierosa.

– Już niedługo się doczekasz, stary.

– Trzydzieści dni.

Za trzydzieści dni znowu ją zobaczę. Zapach jej włosów, jakby goździkowy. Pierwszy raz, kiedy nasze usta się zetknęły, płatek śniegu przecinający wiązkę światła.

– Co planujesz po powrocie? – pyta.

– Wypić piwo. Wypaść się w porządnym łóżku.

BURRRRRRRRR.

– Pozdrów ode mnie Helen, dobrze?

– Jak zawsze.

Główny latarnik muska kciukiem dźwignię.

– Co było w paczce?

– Co?

– Tej, co Vince przywiózł, od Jenny.

– Jak zwykle. List. Czekoladki.

Chce mi się palić, ale nie mam przy sobie fajek, a Arthur nie jest w nastroju, żeby się podzielić. Zwykle tak ma przy kiepskiej pogodzie.

Robi się trochę nieobecny. Otępiały. Jak to starzy ludzie.

– Czuję się winny – mówię. – Dlatego właśnie mi je robi.

– Jenny to dobra żona. Helen się nie bawi w takie rzeczy.

BURRRRRRRRR.

– W jakie?

Dobrze wiem o wszystkim, co robi Helen. A także o rzeczach, które chciałbym, żeby dla mnie zrobiła, i które wkrótce dla mnie zrobi, kiedy wreszcie zaakceptuje, że nie jest mu niczego winna.

– W dobrą żonę – odpowiada Arthur. – Nie ze mną.

Gdyby teraz na mnie spojrział, mógłby zauważyć, ale nie patrzy.

Helen mówi, że na nią też nigdy nie patrzy. Gdyby była moja, nie odrywałbym od niej wzroku. Zresztą już to robię. Dyskretnie. Kiedy Jenny nie widzi. Wpatruję się w drzwi do Admirala, czekając, aż się otworzą i Helen wyjdzie za próg, poklepując torebkę w poszukiwaniu kluczy. Jej wzrok przenika przez szybę; spojrzeniem wita się ze mną i mówi, że nie zapomniła, że myśli o mnie tak intensywnie, jak ja myślę o niej; chce, żebyśmy byli razem, jak najprędzej. A wtedy Jenny krzyczy na mnie z kuchni, że nie dopilnowałem młodego i zrzucił jajecznicę na podłogę.

Przez cały ten czas, kiedy Arthur był moim szefem, miał to tuż przed nosem. Helen mówi, że w ogóle się nie dotykają. Nie rozmawiają. On jednak nigdy niczego nie podejrzewał.

Są takie uczucia, na które nic nie można poradzić. Powiedziałem to Helen za pierwszym razem, kiedy stała przy pralce, zanim się pożegnaliśmy, powiedziałem: nic na to nie poradzę. To nie ma nic wspólnego z Arthurem, gdyby nie był jej mężem, to nie byłoby żadnego problemu. Ale nim jest. Byli małżeństwem, kiedy ja jeszcze biegałem w krótkich spodenkach, a ojciec siadał w nogach mojego łóżka, przesuując paskiem od spodni po dłoni.

– Jenny mogłaby być bardziej niezależna – mówię. – Jak Helen.

Wypowiedzieć jej imię na głos, przy nim – to brawura. Chciałbym powtarzać je bez końca.

– Lubisz niezależne kobiety, Bill?

– Z dwojga złego lepsze to.

– Czyżby?

– Pamiętasz, jak wyszliśmy razem do knajpy w Mortehaven? – Testuję granice. – Helen miała urodziny. Była ubrana w tę niebieską sukienkę, którą kupiła w Londynie. Zostawiliśmy dzieciaki z nianią i poszliśmy do Seven Sisters, zamówiliśmy talerz owoców morza do podziału.

– Sam kupiłem jej tę sukienkę.

– Pasowała jej.

– Nadal pasuje.

– Helen narzekała na wino. Jenny to nie zniechęciło do picia. Po powrocie do domu Jenny zaczęła mi płakać. Że przy Helen czuje się brzydka i głupia. Powiedziałem, że gdyby tyle nie wypiła, to może nie czułaby się tak źle.

– Jest opiekuńcza.

– Jest pijaczką.

– Dlaczego pije?

– Cholera ją wie. Niezależnie od przyczyny jest jak tykająca bomba. Nie wiem, co mnie czeka, kiedy wrócę na ląd.

– Ona też nie wie.

– Jak to?

– Helen powiedziała mi kiedyś, że czuje się, jakby wracał obcy człowiek.

– O mnie?

Arthur w końcu patrzy mi w oczy. Pali już filtr, gorzką, paskudną część papierosa.

– Nie – odpowiada. – O mnie.

BURRRRRRRRR.

– Herbata ci stygnie – mówię, wycofując się.

– Prześpij się trochę, Bill. – Gasi peta i idzie przeładować armatkę.

Dzień czterdziesty szósty

Dwie godziny do mojej zmiany. Czuję coś dziwnego w brzuchu, a może to tylko głębsza wersja tego, co już tam było, mdłego niepokoju, który wprowadza mnie w ten stan, w to miejsce gdzieś „pomiędzy”? Nie na morzu i nie na lądzie, ani w domu, ani poza nim, pomiędzy, ale nie

wiadomo gdzie, unoszę się bezwładnie. Helen mówi, żebym nie myślał o tych złych miejscach. Czasem nie potrafię się przed tym powstrzymać.

Mówię jej rzeczy, których nigdy nie powiedziałem żonie.

Jak zobaczyłem go, kiedy miałem dwanaście lat. Siedziałem na fotelu pasażera w samochodzie naszej sąsiadki, pani E.; chodziłem do klasy z jej synem, co to był za gnojek. Włosy miałem jeszcze mokre po basenie. Myślałem o mosiężnej puszcze, w której mój brat chował papierosy, w szafce na broń naszego starego. Planowałem podwędzić mu jedną fajkę i wypalić pod gankiem, zanim wróca.

Na dole wzgórza droga skręcała ostro przed Mortehaven. Pani E. zwolniła, prawie się zatrzymując, i wtedy przez jezdnię przed nami przeszedł ten mężczyzna. Wyglądał tak dziwacznie, że chłonałem każdy szczegół. Srebrne włosy i walizka. Na nosie miał okulary słoneczne, mimo że był mroźny luty. Uderzyło mnie, że żadna część jego stroju nie pasuje do tych czasów. Był początek lat pięćdziesiątych, a krój jego garnituru – srebrnego jak włosy – nawet jak na mój „mózg półgłówka” (tak mawiał mój stary) pochodził z zupełnie innej dekady, może lat dwudziestych? Wyglądał na odprężonego, ale jednocześnie z jasno określonym celem, jakby gdzieś na niego czekano, ale wiedział, że spokojnie dotrze na czas.

Mężczyzna skręcił w boczną ulicę. Pojechaliśmy dalej. Pani E. prowadziła sunbeama jak emerytka, mrużyła oczy, krzywiła się, prawie przyklejała nos do przedniej szyby. Minęło pięć minut, samochodem można w tym czasie pokonać całkiem przyzwoitą odległość, więc nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy minęliśmy budynek poczty i ten sam mężczyzna przeszedł przez ulicę przed nami. Znowu z lewej strony na prawą. Znowu te dziwne włosy i garnitur, okulary słoneczne i walizka. Wyszedł jakby prosto z żywopłotu, pojawił się znikąd, więc pani E. musiała gwałtownie zjechać na pobocze, zupełnie bez sensu roztrąbił się klakson. Facet nas nie zauważył. Nie zwrócił uwagi ani na samochód, ani na fakt, że prawie został potrącony. Jakby w ogóle nic nie widział.

Niemożliwe, żeby dotarł tam przed nami. Nawet gdyby przemieścił się samochodem, autobusem czy rowerem, nie mógł nas wyprzedzić – bo nic nas nie wyprzedziło – a do Mortehaven nie prowadziła żadna inna droga. Nie mógł dojść tu pieszo, w tym czasie ledwie zdążyłby pokonać wzniesienie. No chyba że miał bliźniaka, ubranego dokładnie tak samo i identycznie się poruszającego, jest też taka możliwość – ale instynkt

mówił mi, że nie o to chodzi. Chodziło o to, że zobaczyliśmy nie tego samego człowieka, ale ten sam moment: przejście z lewej strony ulicy na prawą, kąt nachylenia głowy, wymachiwanie teczką, zimowe słońce odbijające się od ciemnych szkieł, nawet liczba kroków, jakby chodził nie po jezdni, a po jakiejś innej, niewidocznej powierzchni, nałożonej na nawierzchnię głównej ulicy niczym na źle wywołanej fotografii.

Pani E. odwróciła się do mnie i powiedziała: „Co to było, na litość boską?”.

„Co”. Nie kto.

Do dziś nie znalazłem odpowiedzi na jej pytanie.

Nigdy nie opowiedziałem o tym mojemu staremu. Ani braciom. Przez kolejne tygodnie nieznamy z walizką powoli zacierał się w mojej pamięci. Nie wspominałem o tym nawet po tym, jak pani E. zmarła niespodziewanie pewnego ranka, kiedy poszła kupić mężowi „Valley Echo”. Sprzedawca z kiosku mówił, że wydawała się jakaś dziwna, zobaczyła przez okno kogoś znajomego. Gazeta spadła na podłogę.

Dopiero teraz – dwadzieścia trzy lata później, kiedy siedzę na wieży, w telewizji leci *Coronation Street*, a dwa piętra niżej Vince gotuje jakąś cuchnącą potrawkę z kalafiora – znowu o nim myślę. Za dużo tu jest czasu na myślenie – o tym stary nigdy nie wspominał. Zależy od człowieka, czy daje się łatwo ponieść myślom. Czy prześladowają go różne sprawy.

„Mięczaku, mazgaju – im szybciej się zaciągniesz na latarnię, tym lepiej”.

Za oknem bladooki księżyc. Dziwny księżyc. Dziwne myśli. Księżyc często świeci tu tak jaskrawo, że aż bolą oczy. Na tle całej reszty zdaje się znacznie jaśniejszy, niż powinien. Wyobrażam sobie, że księżyc jest słońcem, cały świat na opak.

Tym razem to ja jestem mężczyzną w srebrnym garniturze. To ja wychodzę na jezdnię; czuję kontury walizki, ciężar jej tajemniczej zawartości, patrzę na samochód, na chłopca w fotelu pasażera sunbeam-talbota i mówię do niego:

„Uciekaj”.

– Bill?

Arthur stoi w drzwiach. W dłoni ma nóż kuchenny.

– Sorry. Usnąłem. Szlag. Która godzina?

– Siódma. – Wskazuje na mnie lśniąącym ostrzem. – Możesz mi pomóc, jeśli chcesz.

23

VINCE Czarna magia

Piętnasty dzień na wieży

Straż wybrzeża Hart Point do grupy, czy mnie słycać? Odbiór.

Hart Point, Tango, jestem, odbiór. Hart Point, Foxtrot, jestem, odbiór. Hart Point, Lima, jestem, odbiór. Hart Point, Whiskey, jestem, odbiór. Hart Point, Yankee, jestem, odbiór.

Tango, Tango, dzień dobry, tu Hart Point, jak mnie słycać? Odbiór.

Hart Point, tu Tango, słycać bardzo dobrze, ładne mamy popołudnie, czy mnie słycać? Odbiór.

Słycać wyraźnie, Tango, dziękuję, faktycznie ładny mamy dzień. Hart Point do Foxtrot, Hart Point do Foxtrot; dzień dobry, czy mnie słycać? Odbiór.

Foxtrot, Foxtrot do Hart Point, dzień dobry od nas wszystkich, dobrze słycać, odbiór.

Przyjąłem, Foxtrot. Tutaj Hart Point do Lima, jak mnie słycać? Odbiór.

Lima do Hart Point, słycać jasno i wyraźnie, dzień dobry wszystkim, tutaj Lima do Hart Point, nic do zgłoszenia, dziękuję, odbiór.

Dziękuję, Lima. Whiskey, Hart Point do Whiskey, odbieracie mnie?

Whiskey, Whiskey do Hart Point, odbieramy bez problemu, Steve, odbiór.

Dziękuję, Ron. Hart Point do Yankee, Hart Point do Yankee; proszę potwierdzić, czy mnie słycać, odbiór.

Yankee, Yankee do Hart Point, z tej strony Vince, miło was usłyszeć, dobry odbiór na obu długościach fal, słycać wyraźnie, dziękuję, odbiór.

Dziękuję, Vince. Miłego popołudnia wszystkim, Hart Point bez odbioru.

Dzień szesnasty

Podwędziłem Billowi parę czekoladek od żony. Trafiła się okazja wczoraj wieczorem, jak oglądał telewizję. Przyznaję, od czasu do czasu zaglądam do ich zapasów, żeby sprawdzić, czy trafi się coś dobrego, a jeśli jest sporo, to znalezione, nie kradzione. Nawet jakby zauważył, to pewnie nie miałby nic przeciwko. Raczej nie mówi o żonie ciepło.

– Zaczekaj, aż będziesz pół życia po ślubie – odzywa się zawsze, kiedy wspominam o Michelle. – Z obrączką na palcu to już nie jest to samo.

Wyszedłem na odsadzkę z wędką; mało prawdopodobne, żeby coś się złapało, ale nigdy nie wiadomo, rdzawiec albo makrela brzmi nieźle, natarte czosnkiem, tak jak pokazywał mi Bill, z suszoną natką pietruszki. Może znajdzie się jeszcze jakaś cytryna. Palce sterczące z mitenek zeszywniały mi od zimna, więc wydłubywanie czekoladek sprawia mi ból, ale warto.

Ciemna czekolada, w środku nadzienie fiołkowe, po połknięciu został mi na języku nieco słonawy posmak. Ciekawe, czy będę kiedyś miał kobietę, która będzie dla mnie robiła takie rzeczy, po prostu dlatego, że będzie miała ochotę. Przed moim wyjazdem ustaliliśmy z Michelle, że jesteśmy razem i nie będziemy się widywać z innymi. Myślę o tym więcej niż ona, no bo kogo ja tu mogę spotkać na tym kawałku skały oprócz tych dwóch gości? To ona siedzi w mieście z knajpami i klubami, no i ma te swoje rzęsy. Kiedy słucham *Waterloo Sunset*, przypominam sobie, jak kiedyś na Waterloo Bridge obróciła się do mnie i powiedziała: „Nigdy jeszcze nie znałam tak dobrze mężczyzny, którego w ogóle nie znałam”. Nie powinna się tym przejmować. Nikt mnie nie zna. Nawet szef ani Bill, a spędzam z nimi każdy dzień. Nic w tym złego. To, kim jestem, i to, co pokazuję ludziom, to dwie różne rzeczy. Przecież wszyscy tak mają, prawda?

W wędkowaniu chodzi nie tylko o to, żeby coś złapać, równie ważne jest samo siedzenie nad wodą, nawet na tym siarczystym zimnie, kiedy kurtkę mam podciągniętą do czoła, a jaja zamarzyły mi na kamień. Kiedy otacza mnie taki kawał morza, czuję się jak najmniejszy ludzik na świecie. Snułem fantazje o wodzie, kiedy siedziałem w więzieniu, nie o kąpieli w wannie czy deszczu, ale o wielkich basenach olimpijskich, o oceanie ciągnącym się bez końca. Kiedy nie można czegoś mieć, bardzo się tego chce.

Lepiej, żeby szef nie zobaczył, że nie przypiąłem liny bezpieczeństwa, ale serio, to strasznie upierdliwe, a potem trzeba siedzieć z tym węzłem pod

dupą, uwiera jak skurwysyn. Każdy główny latarnik ma swoje metody, w zależności od tego, co jego zdaniem stanowi największe zagrożenie: Arthur powtarza, że zawsze musimy mieć linę, bo kiedyś prawie go zmiotło z Eddystone i gdyby opatrność nad nim nie czuwała, to dawno by go tutaj nie było.

To na głównym latarniku spoczywa odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się w latarni. Arthur opowiadał mi o takim młodym, który w ten sposób zginął gdzieś u wybrzeża Szkocji, to jedna z tych historii, które opowiada się ku przestrodze, ale skoro to samo stało się na Eddystone, to nie ma żadnego powodu, dlaczego nie może wydarzyć się tutaj. Naczelnik tamtej latarni nigdy się z tym nie pogodził. To było tak, że tamten młody chciał sobie połowić ryby, pogoda była świetna, na niebie ani chmurki, morze jak stół. Powiedział pomocnikowi, że idzie powędkować, a ten mu na to, że świetnie, niech złapie coś na kolację. Tymczasem główny latarnik śpi jak zabity na swojej koi, o niczym nie wie, więc ten chłopak schodzi tak jak ja na odsadzkę, siada tak, jak ja teraz siedzę, dyndając nogami, i potem słuch o nim zaginął. Jakiś czas później przychodzi po niego pomocnik głównego latarnika, ale nikogo nie ma. Oczywiście wszyscy są w szoku. Pomocnik niczego nie słyszał, żadnego wołania o pomoc, zresztą wydawało się, że nawet gdyby chłopak spadł, to powinien ciągle być w wodzie. Ale go nie ma. Zniknął, razem z wędką. Mamy tylko słowo pozostałych latarników, że żaden z nich nie miał z tym nic wspólnego.

Główny latarnik wziął na siebie odpowiedzialność. Uznał, że to on powinien dźwigać ten ciężar. A potem rada ochrony zabytków znalazła pod łóżkiem młodego latarnika jakieś dziwne książki, o szatanie i ciemnych mocach, makabryczne świństwo, którego lepiej nie tykać. Symbole czarnomagiczne wyrysowane w całej sypialni, pentagramy i dłonie rogate, znaki wydrapane w ścianach. Na samą myśl dreszcz przechodzi mi po plecach.

Zwijam żyłkę i wracam do środka.

Wchodząc do latarni, zauważam w wodzie jakiś kształt, podskakujący na falach, które go ode mnie oddalają. Wyteżam wzrok – to na pewno nie drewno, boja ani ptak; może ławica tuńczyków blisko powierzchni albo siatka foliowa, kilka nadmuchanych siatek foliowych. A może to coś większego, bardziej masywnego, rozmiaru i kształtu człowieka – leży twarzą w dół, twarzą do góry, z rozrzuconymi rękami? Trudno powiedzieć.

Woda wibruje. Nie mam pewności, czy w ogóle coś widziałem, a choć próbuję, nie mogę już uchwycić tego widoku.

– To co mamy na obiad? – Bill czyści mosiężne poręcze między kuchnią a sypialnią. To jedyny kawałek, który trzeba myć: ręce nam się brudzą od palenia albo gry w warcaby, a potem jesteśmy tacy zmęczeni, jak idziemy na górę do łóżka, że się zapominamy.

– Trochę glonów i torebkę po chipsach. Masz ochotę?

– Ja pierdolę.

Szoruje zapamiętałe, mimo że poręcze lśnią jak bilon prosto z mennicy. Wczoraj wspomniałem Arthurowi, że Bill wygląda, jakby już bardzo chciał wracać, a on rzucił mi jedno z tych swoich spojrzeń z ukosa i wymruczał gardłowo: „Tak, masz rację”.

– Chyba widziałem ciało – mówię teraz. Bill przestaje polerować.

– Co?!

– Przed chwilą.

– Gdzie?

– W dupie. W morzu, a gdzie?

Bill powoli wyciera ręce.

– Kto to był?

– Nie wiem. Jakiś pływak.

– Jesteś pewny?

– Nie.

Oczywiście kiedy wychodzimy na zewnątrz, niczego już nie widać – odpłynęło, zanim zdążyłem o tym w ogóle powiedzieć Billowi, zresztą nie mam pewności, co właściwie widziałem, tyle że poczułem się jakoś nieswojo. Chcę zapytać szefa, co robić, ale Bill mówi, żebym dał sobie spokój, Arthur jest w sypialni, ostatnio mało spał i zaczyna mu to dokuczać. Widać po nim zmęczenie – nie zauważyłem? Nie ma co mu zawracać głowy.

– Miał okulary – mówię.

– Kto?

– Ten pływak. Czerwone.

– Bierz radio – mówi Bill. – Mogą się tym zająć, jeśli chcą. Zresztą typek już na pewno dawno nie żyje. Bo był martwy, tak?

– Nie wiem. Nie chcę robić wielkiego halo. To mogła być foka.

– W okularkach?

– Nie wiem, czy na pewno były jakieś okularki.

– W ogóle mało wiesz, co?

Myszę o broni schowanej pod zlewem w kuchni. Cieszę się, że tam jest. Na wypadek gdyby okazało się, że nie jesteśmy tu sami.

Wracamy do kuchni i Bill robi herbatę, mocną, z dwiema łyżkami stołowymi cukru, czyli mniej więcej sześcioma łyżeczkami. Na morzu człowiek zaczyna widzieć rzeczy, których wcale nie ma. Szef mi tak powiedział. Jeśli długo patrzymy na jeden i ten sam widok, to mózg zaczyna wymyślać różne obrazki, żeby go zakłócić, żeby sprawdzić, czy się koncentrujemy. Jak fatamorgana na pustyni, na morzu działa to tak samo. Niewyobrażalne kolory; rozbryzgi i wiry; roztrzepotane kształty na powierzchni, które pojawiają się i znikają. Nawet przy spokojnym morzu tworzą falki, woda się załamuje, czarna i rozedrgana jak worek śmieci zostawiony przez noc przed domem. Można by wydłubać dziurę w niebie i wetknąć w nią palec, żeby dotknąć tego, co kryje się z tyłu. Byłoby miękkie w dotyku i wrażliwe. Nie chciałoby cię wypuścić.

Kiedy codziennie przebywamy z morzem, zaczyna ono zaglądać do naszego wnętrza i odbijać to, co tam znajdzie. „Krew i sierść, przenikliwy wrzask dziecka i mój przyjaciel w moich ramionach, całkiem zimny”.

– Pij – mówi Bill.

Od gorącej słodkiej cieczy robi mi się niedobrze. A może to przez tamto ciało.

– Arthur opowiadał ci kiedyś o tamtym żeglarzu na północy? – Bill pstryka zapalniczką, przypala końcówkę papierosa. Mówię, że nie. – Facet rozwalił łódkę na skałach wokół latarni. Wszyscy oprócz niego utonęli, cały ładunek przepadł. Żeglarz obwiniął Arthura. Twierdził, że to wina latarni. Załoga tak długo pływała po morzu, widząc tylko cholernie rozległy horyzont, zupełnie pusty, że kiedy wreszcie zobaczyli światło, nie potrafili ocenić dystansu. Poczucie odległości się zmienia. – Puka w skroń filtrem papierosa. – Wydaje ci się, że jakiś przedmiot jest jeszcze daleko, a nagle na niego wpadasz.

– Myślisz, że sobie to wymyśliłem?

– Nie. Tylko że nie zawsze wiadomo, co jest prawdziwe.

– Szef to chyba wszystko już widział.

Bill zaciąga się długo.

– Arthur nie jest tym, kim był kiedyś.

– Jak to?

– Nie jest tym samym człowiekiem.

– Nie wiedziałem, że znałeś go wcześniej.

– Nie znałem. Helen mi powiedziała.

– Nie może być zawsze wesolutki – mówię. – Ty byś był, po tym...?

– Nie o to chodzi. Czasem z ludźmi dzieje się coś złego i już ich nie poznajesz. Tak mówi Helen. To się dzieje w mgnieniu oka, tak jak ta cholerna latarnia zaskoczyła żeglarzy, i nagle nie masz pojęcia, z kim się, kurwa, ożeniłeś.

Po południu zaczyna padać śnieg. Na wieży to zawsze dziwne doświadczenie, bo nie ma żadnego punktu odniesienia. Nie widzi się śniegu nawarstwiającego się na dachach samochodów ani pokrywającego pola, więc nie da się oszacować, ile napadało, wiadomo tylko, że sypie się z nieba, a niebo ma barwę kości. Morze przyjmuje śnieg niezauważenie. Woda daleko w dole jest matowa jak metal i nieruchoma. Zanim zacząłem pracować w latarniach, myślałem, że morze ma zawsze ten sam kolor, ograniczałem się do błękitu i zieleni, ale w rzeczywistości prawie nigdy nie jest niebieskie ani zielone. To cała paleta barw, w której przeważają czernie i brązy, żółć, złoto, czasem róż, kiedy woda się kotłuje.

W laternie umieszczam wpis w dzienniku pogodowym, opatruję swoimi inicjałami i zostawiam na biurku dla kolejnego zmiennika. Szef nauczył mnie wszystkiego o tym, jak działa morze, jak pogoda wpływa na nie w jedne dni, a w inne nie. Ś jak śnieg, Z jak zachmurzenie, P jak przelotny deszcz. Wcześniejsze strony są zapisane wszystkimi literami alfabetu. Chyba nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać, jak pogoda potrafi zmienić się z chwili na chwilę, niczym za sprawą czarów. Jest jak osoba, która krzyczy, a potem śpi, a śnieg jest jej marzeniem sennym.

„Skróty do opisywania warunków atmosferycznych”. Mżawka. Szarówka. Piorun. Szkwał. Grzmot. Rosa. Mgła. Podoba mi się, jak

wyglądają i jakie uczucia budzą, dźwięk niektórych określeń odpowiada wrażeniom, które towarzyszą realnemu zjawisku. Grzmot brzmi jak toczący się ku nam gład. Mgła jest powolna i leniwa. Szkwał ma w sobie jakąś wybuchowość, furię. Tak samo mam z nazwami stworzeń żyjących w morzu, ich nazwy brzmią dla mnie jak kamyki grzechoczące na plaży. Czaszołka, omulek, zachwa, zwójka. Co kilka miesięcy dostajemy stertę książek, którą dzielimy z innymi latarniami w naszej grupie, coś w rodzaju latającej biblioteki. Zawsze wszystkie czytam.

Jedna z moich mam zastępczych uwielbiała książki. Właściwie jedyna z nich. Pilnowała, żeby dużo nam czytać, a dla mnie zawsze najważniejsze były słowa, które brzmiały inaczej niż te znane mi z codziennego życia. Słowa składające się na moje życie były krótkie i twarde, słowa takie jak chuj, żreć i stul pysk, cegły, którymi obrywa się po głowie.

Zawsze gdy słyszałem słowo, które mi się spodobało, które budziło we mnie jakieś uczucia, zapamiętywałem je. Miałem wrażenie, że im więcej czytam, tym bardziej wolny staje się mój umysł, a jeśli ma się wolny umysł, to nieważne, co dzieje się wokół. W więzieniu znalazłem słownik i wyszukiwałem różne dziwaczne słówka, które dla mnie były wspaniałe. Na przykład gatunki ptaków, tam jest ich sporo. Rissy i kormorany. Kuliki. Świergotki. Słyszać w nich świst wiatru. Przepisywałem wyrazy i przekonałem się, że jeśli zbierze się je razem i trochę pokombinuje, można stworzyć coś zupełnie nowego.

Wciąż jednak jestem zagubiony, kiedy piszę list do Michelle, siedząc w łóżku po skończonej zmianie, notatnik na kocu, długopis w ręku, próbuję sobie poukładać, jak to wszystko przekazać, ale nie wiem, od czego zacząć. P jak przeprosiny. O jak oszustwo.

Pora, żebym powiedział jej prawdę.

Widzę ją w jej londyńskim mieszkaniu, jak otwiera kopertę, przesuwając palcami u stóp po łydce.

VI

1992

HELEN

Katedra najlepiej nadawała się na miejsce spotkania – duża i zapewniająca anonimowość. W rzędach ławek, na krzesełkach, wśród wyściełanych czerwonym aksamitem siedzeń przy chórze, na którym śpiewała schola chłopięca – ściszone głosy przez wieki przenikały te kamienne mury. Teraz szepty jej i Michelle mogą niezauważenie do nich dołączyć.

– Roger i dziewczynki są w kawiarni za rogiem – powiedziała Michelle.
– Nie mam dużo czasu. Nie zamierzałam ich zabierać ze sobą. Sami chcieli przyjść. To znaczy, on chciał.

– Myślisz, że gdzie teraz jesteś?

– Kupuję mu prezent na urodziny. Będę potem musiała skoczyć do Debenhams, znaleźć jakiś krawat czy coś.

Helen przypuszczała, że osoby, które połączyła tragedia, zawsze tak mają: od razu przechodzą do sedna, nie zawracają sobie głowy uprzejmościami i gadką na temat tego, jaki był ruch na drodze. Nie znały się z Michelle przed tym, co się stało. Poznały się dopiero na pogrzebie urządzonym przez Trident House – a raczej „ceremonii pożegnalnej”, jak ją nazwali, zresztą i tak zorganizowanej raczej z myślą o prasie niż o nich. Potem przez lata kontaktowały się, kiedy mogły, jeśli akurat jedna z nich wybierała się w okolice zamieszkałe przez inną. Pisały listy, kiedy dopadał je smutek tamtej zimy i przemożna potrzeba podzielenia się tym z kimś, kto zrozumie; listy nie zawsze doczekiwały się odpowiedzi, ale to pisanie przynosiło pociechę.

– Dziękuję, że przyjechałaś – powiedziała Michelle. – I że zadzwoniłaś.

– Nie ma sprawy.

– Nie byłam pewna, czy się odezwiesz.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparła Michelle. – Jenny nigdy nie odpowiada.

– Ze mną też się nie kontaktuje.

Michelle odsunęła zamek torebki i wyjęła rolkę dropsów miętowych. Wszystkie cukierki w foliowej tubce były pokruszone na kawałki. Helen oczami wyobraźni widziała, jak Michelle upuszcza je na podłogę w sklepie w miasteczku, podczas gdy jej córki wybierały żelki owocowe i te w kształcie buteleczek coli. Ile te dziewczynki będą miały teraz lat? Osiem i cztery, coś koło tego. Helen nie wiedziała, jak by to było patrzeć, jak jej własne dziecko dorasta, zdrowe i mocne, małe rączki i nóżki się pogrubiają, rosną włosy i nagle jest od ciebie wyższe.

Michelle poczęstowała ją połamanymi dropsami.

– Dzięki – odparła Helen.

– Przestań rozmawiać z Danem Sharpem, proszę.

Tego się nie spodziewała.

– To chciałaś mi powiedzieć?

W ławce przed nimi usiadła starsza para. Mężczyzna spuścił głowę. Michelle przysunęła się tak blisko, że Helen czuła zapach jej szamponu.

– Mniej więcej – odpowiedziała. – Wiesz w ogóle, kto to jest?

– Nie bardzo. Pisze o statkach i bombach.

– Pod fałszywym nazwiskiem.

Helen rozgryzła miętówkę.

– Nie dziwi mnie to.

Kobieta przed nimi obróciła się i zgromiła je wzrokiem. Helen pomyślała, że w tej fryzurze na pazia wygląda jak w kasku motocyklowym.

Michelle zniżyła głos do szeptu.

– Dlaczego jakiś autor powieści chce pisać o nas?

– Nie wiem. A dlaczego ludzie w ogóle piszą o różnych rzeczach?

– Musi być jakiś powód.

– Twierdzi, że lubi morze.

– To niech jedzie na wakacje.

Helen nie wiedziała, dlaczego musi bronić mężczyzny, którego właściwie nie zna; dlaczego jej na tym zależy.

– Chce odkryć prawdę. To dla niego ważne.

Michelle schowała cukierki i zasunęła torebkę.

– Ćśś! – Kobieta obrzuciła je morderczym spojrzeniem.

Michelle dała znak, żeby przeniosły się do ławki po drugiej stronie. Kiedy siadały na nowych miejscach, podniosła głowę i spojrzała na ołtarz. Helen zauważyła, że kiedyś miała przekłute uszy.

– Wierzysz w niego? – spytała Michelle.

Przybite do krzyża stopy Chrystusa ociekały zakrzepłą krwią. Helen pomyślała, że to wyjątkowo makabryczny egzemplarz. Autor koncepcji wbił gwoździe z przesadną siłą.

– Próbowałam.

– Ja też. – Michelle obróciła na palcu obrączkę. – Zazdroszczę ludziom, którzy tu przychodzą i po prostu wiedzą. Wiedzą, że wszystko będzie dobrze.

– Wierzą. To nie to samo.

– Nie?

– Moim zdaniem nie.

– Wiem, że Vinny nie zrobił nic złego pozostałym – stwierdziła Michelle.

– Ja wiem, że Arthur też nie.

– Ale tak naprawdę nie wiemy, prawda?

– Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie, ale nigdy nie uważałam Vince'a za czarny charakter.

Michelle złapała ją za rękę, tylko na chwilę.

– Tak – przyznała. – Byłaś jedyna.

Helen zauważyła, że jej rozmówczyni skubie paznokcie, pomalowane na czerwono, ale obgryzione. Przeniosła się o dwadzieścia lat w przeszłość, zobaczyła nerwową nastolatkę, jaką była wtedy Michelle, rozdygotaną przez całą ceremonię pogrzebową, podczas przesłuchań czy kiedy dziennikarze dopadali ją na ulicy. Ludzie mało się zmieniają. Jenny założyłaby to samo na jej temat.

– Nie boisz się, co powie Trident, kiedy się dowiedzą?

– Nie obchodzi mnie to – odparła Helen.

– Przestaną ci płacić.

– No i?
– Ja jestem w innej sytuacji – tłumaczyła się Michelle. – Mam rodzinę, dzieci na utrzymaniu... – Urwała. – Nie chciałam...
– Nic nie szkodzi.
– Bo dziewczynki są jeszcze takie małe...
– Rozumiem.
– Nie powiesz mi chyba, że nigdy się ich nie bałaś? Te ich wszystkie gadki, żeby z nikim nie rozmawiać, nie zdradzać ich prywatnych spraw. Zawsze czaiła się tam groźba, niewypowiedziana, ale było jasne, o co im chodzi.

– Jeśli to prawda – odparła Helen – to moim zdaniem tylko rozmawiając z Sharpem, mamy szansę na szczerść. Dobrze wiesz, że Tridentowi zawsze pasowało, żeby zwalić winę na Vince'a. To niesprawiedliwe. Siedział w więzieniu, uważano go za podejrzanego typka, więc łatwo było stworzyć taką wersję. A ludzie bez problemu w nią uwierzyli. Trident musiał tylko przyznać, że został niesłusznie zatrudniony, nie powinni byli przyjąć go do pracy, dostali nauczkę na przyszłość. Ale przecież trzeba to zrobić, nie sądzisz? Powiedzieć, jaki był naprawdę. Wydawało mi się, że to dla ciebie ważne.

Michelle zamknęła oczy.

– Dlaczego naprawdę się ze mną spotkałaś? – spytała Helen.

Michelle odpowiedziała dopiero po chwili:

– Vinny napisał do mnie list. Zaraz przed zniknięciem. Zabrała go łódka turystyczna. Wyznał mi, za co trafił do więzienia. Tym ostatnim razem. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam.

– Aha.

– To by tylko pogorszyło jego reputację, a miał już przeciwko sobie tak wiele głosów, że nie chciałam dolewać oliwy do ognia. Bo do tego by się to sprowadziło, gdybym wtedy od razu z tym wyskoczyła. Rozumiesz?

– Tak.

Spojrzała na Helen, a w jej oczach malowały się ból i błaganie.

– Ale w tym liście było coś jeszcze, o czym powinnam była powiedzieć, Helen, coś ważnego. To mogło pomóc. Ale bałam się cokolwiek mówić.

Helen czekała.

– Vinny powiedział mi, że próbował go dorwać jakiś człowiek. Myślał, że dzięki pracy na latarniach uda mu się uciec od przeszłości, ale okazało się, że wręcz przeciwnie. Teraz ten człowiek wiedział, gdzie na pewno go znajdzie. Na morzu Vinny był łatwym celem.

– O kim mówisz?

– O tym, któremu to zrobił. Tę ostatnią rzecz.

– Nie rozumiem.

Michelle obejrzała się do tyłu, jakby mógł za nią stać jej mąż albo wysłannik Trident House. W przedsionku kościoła zaczęło płakać jakieś dziecko.

– Ten człowiek pracował dla Tridentu – powiedziała. – Vinny dowiedział się zaraz po tym, jak dostał u nich pracę. Kumpel z rodzinnego miasta mu powiedział, że nigdy nie uwierzy, kto jeszcze się załapał. Nie jako latarnik, tamten pracował w administracji, ale pod tym samym dachem, jeśli można tak powiedzieć. Miał taką głupią ksywkę. Kazał się nazywać Białym Gawronem. Tak na niego wołały gangi w mieście. To dlatego, że od urodzenia miał wszystkie włosy białe. Jak się nazywa taki ktoś?

– Albinos.

– Naprawdę miał na imię Eddie.

– Eddie wziął tę pracę, żeby dotrzeć do Vince'a?

– Musiał odkryć, że Vinny się u nich zatrudnił, i uznać, że to równie dobry sposób, żeby go dorwać, jak inne, więc też się wkrcił.

Helen poczuła zawrót głowy. Zawsze tak było ze sprawą zniknięcia. Zawsze gdy pojawiała się jakaś nowa myśl albo całe wydarzenie układało jej się w umyśle pod innym kątem, albo o trzeciej nad ranem przychodziła jej do głowy jakaś hipoteza, w pełni ukształtowana, tak że musiała usiąść w łóżku, zdezorientowana i spływająca zimnym potem, i włączyć lampkę nocną, żeby dojść do siebie, latarnia morska trzęsła się w kuli śnieżnej. Fragmenty za każdym razem układały się w zupełnie inny wzór.

– Masz na myśli zemstę?

– Chyba tak.

– Co się stało z Eddiem?

– Odszedł z firmy – odparła Michelle. – Nikt go już potem nie widział. Ale nie sądzę, żeby Eddie sam to zrobił. Myślę, że komuś zapłacił. Miał

ludzi wszędzie. Niebezpiecznych ludzi, którzy potrafili załatwić sprawę i zniknąć bez śladu.

– W Tridencie wiedzieli o tym powiązaniu? Musieli wiedzieć.

– Nawet jeśli, to ze mną na ten temat nie rozmawiali. Ale miałam wrażenie, że Vinny wiedział, co się wydarzy. Mówił, że zaczyna widzieć różne rzeczy. Fantazje, złudzenia optyczne – mówił, że czasem mu się to zdarzało, to kwestia samotności i braku bodźców, ale to było coś nowego. A potem zniknęli i im więcej o tym myślę, tym bardziej jasne wydaje mi się, że to właśnie musiało się stać. Że to nie była wina morza, szpiegów i tak dalej. To ten człowiek, ten Biały Gawron. Eddie. On ciągle gdzieś tam jest, a jeśli się dowie, że rozmawiałam z kimś o Vinnym, niezależnie od tego, co powiem, to uweźmie się na mnie i moją rodzinę.

Helen pomyślała o ptakach hodowanych przez ojca Arthura. Mąż wspominał czasem, jak wczesnym rankiem, jeszcze przed szkołą, wychodził na szczyt wzgórza.

„Polepsza im się, a potem odlatują”.

Przez ułamek sekundy zobaczyła dołeczek w policzku uśmiechniętego Arthura, kiedy patrzył na nią znad książki, którą akurat czytał.

Jak to się działo, że mózg zachowuje takie rzeczy? Wiecznie zapominała, którym autobusem dojedzie z domu do centrum, a to pamiętała.

– Łatwo jest czuć się winną – powiedziała ostrożnie. – Ja też tak mam. Podejrzewam, że Jenny również. Nasze osobiste historie zawsze będą nam się wydawały najbardziej znaczące. Ale słuchaj: na twojego Białego Gawrona przypada kilkunastu innych. Inne sprawy, które spędzają nam sen z powiek, bo może miały więcej wspólnego z ich zniknięciem, niż nam się wydaje. Martwimy się, że każda z nas w jakimś stopniu zawiniła...

– Odkąd pojawił się ten pisarz, to wszystko do mnie wraca – przerwała jej Michelle. – To, co się działo w siedemdziesiątym trzecim. Nie mogę tego przeżywać od nowa, Helen. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, do jasnej cholery, byłam dzieckiem. Nie mogłam się pozbierać. Straciłam mężczyznę, za którym szalałam. – Głos jej się załamał, jakby ścisnęło ją w gardle. – Tęsknię za Vinnym. Codziennie. Ty tęsknisz za Arthurem, Jenny tęskni za Billem. Wyszłam za Rogera, ale to nie jest to samo. Gdybym była w twoim wieku, nigdy już bym się z nikim nie zeszła, tak jak ty, bo nie byłoby sensu. Ale musiałam iść przed siebie, nie mogłam

zrezygnować z życia. Nie zamieniłabym moich dziewczynek na nic innego na świecie, ale może jest coś w tym, że nikogo nie kocha się tak mocno jak swojej pierwszej miłości.

– Tak, to prawda – przyznała Helen.

– Bezpieczniej dla mnie będzie trzymać buzię na kłódkę.

– Trident chce, żebyś tak myślała.

– Jaką różnicę może zrobić głupia książka?

– Może żadnej. Może tylko dla mnie.

Gapiło się na nich paru uczniów siedzących w sąsiednim rzędzie.

– No to powiedz to Jenny – skwitowała Michelle. – Bo dla niej to robisz, prawda?

– Oczywiście – odparła Helen. – Uwierz mi, próbowałam.

– Gdzie teraz mieszka?

Helen podała jej adres.

– Dostałam go w Tridencie.

– Pani naczelnikowa ciągle korzysta z przywilejów. – Ale powiedziała to z uśmiechem. – Dwadzieścia lat to szmat czasu. Wszystkie już to przepracowałyśmy, prawda? Nie może ciągle mieć ci tamtego za złe. Przecież to nie tak, że...

– Owszem, może.

Michelle wzięła ją za rękę.

– Pomogę ci, jeśli chcesz.

– Nie wiem, jak zamierzasz to zrobić.

– Jeśli ty pomożesz mnie. Uważaj, Helen. To wszystko. Uważaj, co mu mówisz. Dobrze?

– Dobrze.

Michelle zerknęła na zegarek.

– O Boże, już wpół do. Muszę lecieć do Debenhams i wrócić, zanim Roger zarządzi poszukiwania.

Zebrała torebkę i kurtkę, wstały i się uściśniły. Helen nie była do tego przyzwyczajona – nigdy nie przychodziło jej naturalnie, a ostatnimi czasy nie było nikogo, kto potrzebowałby przytulania.

– Miło było się z tobą spotkać – powiedziała Michelle.

– Z tobą też.

Helen włożyła płaszcz i patrzyła, jak kobieta idzie nawą do drzwi i wychodzi na jasne popołudniowe słońce.

HELEN

W normalnych okolicznościach poznaje się nowych sąsiadów na progu albo zamykając drzwiczki samochodu pod domem. Ona jednak pierwszy raz spotkała Billa i Jenny Walkerów na potańcówce charytatywnej w świetlicy wiejskiej w Mortehaven, któregoś lata, kiedy Arthur był w latarni. Większość tygodnia, od poniedziałku do czwartku, przepłakała w łazience, bo czuła, że tam może bezpiecznie płakać. Zwykle nie przeszkadzała jej nieobecność Arthura, pusty dom, ale wtedy jej to doskwierało. Zależało od pory roku.

Betty, żona Franka, wpadła z zapiekanką pasterską i zapytała, czy Helen byłaby tak miła, żeby pomóc w szatni podczas potańcówki. Jedna z chętnych się wykruszyła, byłyby jej bardzo wdzięczne. Jak zwykle w takich sytuacjach Helen czuła, że nie może odmówić; instynktownie zawsze chciała pomóc, nawet jeśli po wyjściu Betty zaczęła się zastanawiać, dlaczego, na litość boską, się zgodziła. Ale szatnia w świetlicy okazała się pogrążonym w półmroku miejscem, a zawieszanie kurtek i wydawanie numerków – zadaniem pracochołonnym, acz nieszkodliwym, zajmującym myśli i dającym nawet poczucie jakiegoś sensu. „Poznałaś już sąsiadów?”, spytała Betty. Nie, nie poznała. Samochód Walkerów przyjechał wczoraj, nowy zastępca głównego latarnika z rodziną, zamieszanie z dziećmi i bagażami. Helen powinna była już ich odwiedzić. Wyjdzie na nieuprzejmą. To był obowiązek pani naczelnikowej; powinna wyjść z inicjatywą, zaoferować pomoc, tak jak w stosunku do Betty, kiedy się wprowadziła.

Wiedziała, że Arthur nie ma wpływu na to, kiedy wypada mu służba, ale akurat wczorajszy dzień był jak potężny, złowrogi obelisk. Przez pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni przybliżał się ku niej od wstrętnego

horyzontu. Miała tylko chwilę, żeby spojrzeć mu w oczy, zanim zamknie swoje.

Potańcówka okazała się sukcesem. Helen siedziała wśród miękkich pachnących okryć. Wdychała woń męskiej wody kolońskiej, ciepłą i korzenną, oraz kobiecych perfum, kwiatowych z nutami seksu. W chwilach przestoju paliła papierosy, żeby powstrzymać łzy, i muskała aksamitne rękawy wiszące posłusznie w rzędach, upchane ciasno jak blaszki pod kapeluszem grzyba. Przyszedł do niej pod koniec imprezy, odebrać kurtki, które oddała do szatni jego żona.

– Ty jesteś Helen – powiedział i sam się przedstawił.

Cieszyła się, że jest tak ciemno. Bill Walker nie był taki, jak się spodziewała, chociaż z drugiej strony nie miała konkretnych oczekiwań; okazał się jednak schludniejszy i młodszy, miał długi nos i regularne rysy, przywodzące jej na myśl jednego z kardynałów Rafaela. Popatrzył na nią tak, jak już dawno nikt na nią nie patrzył, i niemal uwierzyła, że jest kimś innym, że nie przydarzyło jej się nic z rzeczy, które spotkały ją w przeszłości.

– Tamte dwa – powiedział. – To z guzikami, tak. Nie, tamta obok.

W końcu wszedł do szatni i sam pokazał, o które okrycia chodzi. Jego bliskość, z tą jasną niepooraną zmarszczkami skórą, była w niewytłumaczalny sposób krzepiąca. Musiała być od niego starsza o dwadzieścia lat, co najmniej.

Kurtki i płaszcze zebrały się wokół nich niczym gapie. Trwało to zaledwie kilka sekund, nie mogło dłużej. Ale potem odtwarzała tę scenę w pamięci tyle razy, że przecież musiało to trwać dłużej.

– Wszystko w porządku? – spytał Bill, który coś zauważył.

– Tak – odparła, bo nigdy nie mogłaby powiedzieć prawdy. Nie wiedziała, od czego zacząć, czy w ogóle powinna zaczynać, z kimś, kogo dopiero co poznała.

Jego żona wciąż siedziała przy barze, nie odeszłaby od niego sama z siebie, Bill miał po nią przyjść z kurtkami. Zatańczyli do *A Whiter Shade of Pale*, tam w szatni, jedyni ludzie na świecie. Przyciągnął ją do siebie, a może wcale nie musiał, trudno stwierdzić w tej smolistej ciemności; obejmowali się, stykając się policzkami, szumiało im w uszach, coraz intensywniej, kiedy sufit odleciał im znad głów.

26

HELEN

Nie wiem, co mnie do niego przyciągnęło. Gdyby nie pojawił się Bill, mogłoby trafić na kogoś innego. W tym momencie mojego życia to mógłby być ktokolwiek.

Wiem, że brzmi to egoistycznie, ale mam nadzieję, że mnie pan wysłucha. Jeśli ma się to znaleźć w książce, to musi pan dokładnie wszystko zapisać. Nie chcę żadnych błędów.

Czy Jenny mi uwierzy? Nie sądzę. Ale to jedyna historia, którą mogę panu opowiedzieć i mieć pewność, że jest prawdziwa. Wolę, żeby została zapisana, niż gdybym w ogóle miała jej nie opowiedzieć.

Tak poznaliśmy się z Billem. Przyciągało mnie raczej to, jak się dzięki temu czułam, niż ten konkretny mężczyzna. Przyjemnie było czuć, że ktoś mnie pożąda. To nie jest usprawiedliwienie, zrobiłam to, co zrobiłam, to była moja decyzja. Ale kiedy połączyła nas ta więź... Zastanawiam się, czy to nie jest zbyt wielkie słowo: „więź”. Czy to nie jest po prostu eufemistyczne określenie na „pociąg”? Nie powiedziałabym, że czułam do niego pociąg. Chodziło po prostu o to, że widział, jak płacę, ujrzął skrywaną część mojego ja, a skoro już do tego doszło, uznałam za logiczne, żeby zobaczył też resztę. Czułam się osamotniona i smutna. Od długiego czasu żaden mężczyzna nie trzymał mnie w objęciach, w ogóle mnie nie dotknął, a wtedy pojawił się Bill. Przy nim poczułam to wszystko, co czujemy dzięki romansom: czułam się młoda, pożądana, oczyszczona z dawnych występków, nawet jeśli ten obecnie dokonywany jest najpoważniejszym ze wszystkich.

Czy odwzajemniałam jego uczucia? Nie. Nie względem Billa. Czułam coś do osoby, która chciała być dla mnie dobra. Która mnie słuchała, kiedy mój mąż przestał.

Gdy mieszkało się w domkach, nie dało się uniknąć nawiązywania bliskich znajomości. Żyliśmy wszyscy na kupie; nawet kiedy mężowie byli na służbie, żony trzymały się razem. Nie można było po prostu stwierdzić, że dzisiaj nie ma się nastroju na kontakty towarzyskie, bo zawsze któraś akurat pielęła ogródek przed domem albo wołała przez okno, czy nie chcesz wpaść na kawę, więc jeśli się człowiek czasem nie pokazał, to zaraz ktoś walił do drzwi i pytał, czy wszystko w porządku. Niektórym może to odpowiadać, ale nie mnie. Lubię swoje drzwi wejściowe i nie bez powodu je zamykam.

Czasami kiedy Arthur był na wieży, Bill siedział w domu, i na odwrót. Tak działał grafik. Każdemu przypadało osiem tygodni na latarni, a potem cztery w domu, podzielone na czterech, wliczając Franka. Teoretycznie idealne warunki na romans. Kiedy nie miałam przy sobie męża, była szansa, że zastąpi go Bill. Mogłoby to świetnie działać... gdyby tak się to potoczyło.

Oczywiście kiedy Jenny się dowiedziała, założyła najgorsze. Nie wiem, skąd się dowiedziała. Nigdy nie mówiła, a ja nie pytałam. Pewnie już od jakiegoś czasu coś podejrzewała. Bill nawet nie próbował ukrywać swoich uczuć do mnie, chociaż szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy tak naprawdę chodziło o mnie. Myślę, że w głębi duszy Bill szukał po prostu ucieczki z życia, w którym się nie odnajdywał. Nasz „romans” to był wybór, którego mógł dokonać samodzielnie.

O tym, że wiedziała, przekonałam się w dniu ceremonii pożegnalnej. Powiedziała wtedy coś bardzo dziwnego: „Dostał to, co mu się należało”. Można uznać, że ja też.

Trident House zorganizował uroczystość, kiedy uznali mojego męża za zmarłego. Nie konsultowali się ze mną, nie prosili o pozwolenie, błogosławieństwo ani nic z tych rzeczy.

A właśnie, zrobił pan z nimi jakieś postępy? No tak, nie dziwi mnie to. Podejrzewam, że mógłby pan zadzwonić jeszcze sześć razy i nie uzyskać żadnej odpowiedzi. Będą chcieli się zdystansować od pańskiej książki, więc raczej nie udzielą komentarza. Bez urazy, ale pewnie będą umniejszać pańskie wcześniejsze publikacje. Powiedzą: co taki ktoś może wiedzieć o takich sprawach? I będą mieli rację. Ale w ciągu tych dwudziestu lat jest pan pierwszą osobą, która zapytała o moją perspektywę.

Tyłu dziennikarzy interesowało się tą sprawą, a żaden nigdy nie zapukał do moich drzwi, żebym mogła opowiedzieć o tym swoimi słowami.

Trident najchętniej wymazałby to zdarzenie z historii firmy. Z tego, co wiem, zupełnie nie angażowali się w działania po incydencie: nie udzielali wywiadów, nie ujawnili akt, nie zachowali przejrzystości w żadnym aspekcie. W dzisiejszych czasach to byłoby nie do pomyślenia – opinia publiczna domaga się informacji. Wtedy zamiatało się takie sprawy pod dywan. Ale niestety dla firmy – ludzie tak nie działają. Uczucia i wspomnienia też nie. Nie można ich schować w szafce na akta. Ludzi nie da się uciszyć, choćby nie wiem jak usilnie by się próbowało.

Nie mogę zapomnieć dnia uroczystości, choć z zupełnie niewłaściwych powodów. Było zimno – przedsiónek wiosny – i bezwietrznie; plaża w Mortehaven była gładka i brązowa, usiana kamykami, i do dziś bardzo wyraźnie widzę krawędź morza przewalającą się po brzegu; woda pienila się jak coś gnijącego, jak fermentujące piwo. Mężczyźni w mundurach stali przy tablicach pokrytych kwiatami. Fotografie Arthura i pozostałych patrzyły na nas, na ład. Symulacja pochówku, kiedy nie ma czego pochować.

Padalo i padalo. Włożyłam buty na obcasie, bo wydawało mi się (głupio), że to wyraz szacunku, więc stopy raz po raz zapadały mi się w piasek. Twarz Arthura na tablicy wcale do niego nie należała. Wie pan, jak to jest, kiedy widzi się w gazecie zdjęcie zamordowanej dziewczyny i szuka się w jej oczach wskazówki, co właściwie się jej przytrafiło, jakiegoś wrażenia, że się tego spodziewała? Kiedy tamtego dnia patrzyłam na Arthura, zrozumiałam, że to jego tajemnica i zatrzyma ją na zawsze. Krewni i znajomi namawiali nas, żebyśmy „walczyły” – o odpowiedzi i rozwiązanie – ale z definicji walki wynika, że trzeba stawić komuś albo czemuś czoło, a dla mnie to było zbyt wyczerpujące. Nie walczyłam z Trident House. Walczyłam z nim, z Arthurem. Nie chciał dopuścić mnie do swojego sekretu. Zakłada się, że po śmierci ukochanych osób trzeba szukać odpowiedzi w ich imieniu, dla nich. A co, jeśli woleliby milczenie?

Po wszystkim Jenny na mnie naskoczyła. Nie mam jej tego za złe. Chciałam jej pomóc z maluchem, bo obie dziewczynki szalały po plaży, a zauważyłam, że musiała dużo płakać i niedosypiać, tak jak ja, a ona zupełnie niespodziewanie uderzyła mnie w twarz. Najgorszy był dla mnie

widok twarzy Arthura i Billa na tych tablicach, spojrzenie Arthura zdawało się mówić: „Dzięki Bogu, że już się z tego wymiksowałem”.

W tamtej chwili zamieniłabym się z nim bez chwili namysłu, niezależnie od tego, gdzie się znajdował. Skuty łańcuchami na statku pirackim czy rozdziobany przez ptaki na brzegu w jakiejś zatoczce – wszystko brzmiało lepiej. Zazdrościłam mu prywatności. Nie jest łatwo zniknąć. Za nic nie potrafię zrozumieć, jak mu się to udało. Problem w tym, że Jenny nigdy nie wysłuchała mojej wersji. Może pan stwierdzić, że to ze mną jest problem, na pewno uznają tak pańscy czytelnicy. Nie ma nikogo bardziej znienawidzonego niż kobieta, która interesuje się cudzym mężem. Jego rola w tym układzie się nie liczy – na pewno padł ofiarą podstępu albo został uwiedziony: swoją drogą to zabawne, że mężczyźni uważają się za silniejszych we wszystkich aspektach życia, chyba że akurat im to nie pasuje, wtedy nagle nie mają nic przeciwko, żeby to kobiety wzięły na siebie odpowiedzialność, a oni są biednymi, słabymi żuczkami. Jenny nadal kochała Billa – to jej prywatna sprawa, ma do tego prawo. Bill był mężem i ojcem, a ja nie mogę mieć pojęcia o wadze tych ról, zwłaszcza drugiej z nich.

Prawda jest taka, że owszem, zatańczyłam z Billem na tamtym wieczorku charytatywnym, kiedy Arthur pracował w latarni, i zbliżyliśmy się w następnych tygodniach. Raz, u nich w domu, kiedy zrobiło mi się smutno, pocałował mnie.

To był krótki, nic nieznaczący pocałunek. Poczułam, że to zupełnie nie tak. To był moment zwrotny. Zadałam sobie pytanie, co ja właściwie robię – to nie w moim stylu, to nie ja – i czego tak naprawdę oczekiwałam po tym układzie. Przyznaję, że w dużym stopniu mi to pochlebiało. Nie mogłam zrozumieć, co może we mnie widzieć taki młody mężczyzna. Postąpiłam głupio i pożałowałam swojego błędu. Chciałabym powiedzieć, że Bill też tego żałował.

Powiedziałam mu, że to nie może pójść dalej. Myślałam, że przyzna mi rację, ale jego reakcja mnie zszokowała. Zrobił się agresywny, jednocześnie przysięgając mi wielkie oddanie. Powiedział, że mnie kocha. Wyrzucił z siebie te słowa, jakby był wściekły, że znalazł się w takim położeniu, ale nie potrafił uczynić nic, żeby je zmienić.

Po tej sytuacji robiłam wszystko, żeby go unikać. Zbywałam Jenny wymówkami i poczułam ulgę, kiedy Bill wrócił na Maiden, tak że nie

musiałam już go widywać. Na łądzie, pod nieobecność Arthura, zachowywał się groźnie. Nie mogę tego inaczej opisać. Przyłapywałam go w domu, twierdził, że przyszedł naprawić lampę, o której wspominałam Jenny, a potem orientowałam się, że brakuje mi różnych rzeczy. Bielizna i mydło, buty i biżuteria: jestem przekonana, że ukradł mi naszyjnik, zwykły łańcuszek, ale bardzo dla mnie ważny, bo dostałam go od Arthura na zaręczyny. Nie mam pomysłu, co innego mogło się z nim stać, no a oczywiście nie mogłam o tym powiedzieć Arthurowi, więc pewnie myślał, że go zgubiłam albo nie chciałam już nosić.

Bill chyba tak bardzo chciał, żebyśmy byli parą, że w jego głowie stało się to prawdą. Planował wspólne wyjazdy. Opowiadał o miejscowych atrakcjach, które pokaże mi podczas następnego pobytu na łądzie. O kolacjach, na które będzie mnie zabierał do swoich ulubionych restauracji.

Zachowywał się tak, jakbym tamtego dnia nie powiedziała mu, że chcę to skończyć – czymkolwiek „to” było: momentem intymności, bliższym poznawaniem się, niejasnym charakterem naszych spotkań, tym wszystkim, co owszem, mogło składać się na niewierność w najłagodniejszym rozumieniu tego słowa, ale z mojego punktu widzenia nie na ostateczną zdradę – ale że postanowiłam zerwać z Arthurem i zacząć od nowa z nim. Bill w ogóle nie dbał o dyskrecję, łapał mnie za rękę, kiedy Jenny była w tym samym pokoju, albo obejmował mnie w pasie, kiedy w kuchni kroiłam przyniesiony przez nią placek z owocami. Nieważne, ile razy mówiłam „nie”, nie chciał zostawić mnie w spokoju. No i te muszle! Przynosił mi te cholerne muszelki, które rzeźbił na wieży; przestawały mi się mieścić w szufladach, we wszystkich skrytkach, jakie przychodziły mi do głowy, bo byłam przerażona, że ktoś je znajdzie. Nie mogłam ich wyrzucić, żeby Jenny nie zobaczyła ich w kubie na śmieci. Czasami w ostatniej chwili dorzucała swoje szkło. Nie mogłam ryzykować.

Tkwiałam w potrzasku. Nie było żadnej ucieczki. Chyba że przyznałabym się do tej krótkiej relacji, która nas połączyła – ale to doprowadziłoby do konfrontacji „moje słowo przeciwko słowu Billa”.

Można oczywiście twierdzić, że jeden pocałunek wystarczy. Ale chciałabym, żeby Jenny wiedziała, że nie doszło między nami do niczego więcej. Nie łączyła nas miłość. Miłość jest dobra i czysta, szlachetna i łagodna. Nie rodzi się z frustracji, szantażu, nienawiści czy

niezadowolenia. Bill mnie nie kochał. Chcę to powiedzieć Jenny, próbowałam przez wiele lat; pisałam listy, jechałam się z nią spotkać, dzwoniłam, ale na próżno.

A teraz pan tu jest. Myśli pan, że chcę się dowiedzieć, co spotkało Arthura, że mam nadzieję, że trafi pan na coś, na co żadna z nas jeszcze nie wpadła. Cóż, wcale tego nie oczekuję. Dwadzieścia lat to wystarczająco dużo czasu na rozpamiętywanie rzeczy, których nie mogę zmienić. Wolałabym się teraz skupić na tym, na co mam wpływ.

Mój mąż zmarł, ale ja żyję. Jenny również. A to, co nas łączy, nie jest martwe, żyje, a w takim razie może się zmieniać, wzrastać, znaleźć jakieś wyjście. Jestem już zmęczona śmiercią i stratą. Dość ich już miałam.

Wspominałam wcześniej o ogródku. O tym, jak życie potrafi ciągle odradzać się na nowo, po kolejnych zimach. Na to właśnie mam nadzieję. Tego chcę.

JENNY

Ron musiał zostawić silnik na biegu, bo kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce, samochód podskoczył jak spłoszony królik. Dawno nie prowadziła i czuła się nieco niepewnie za kierownicą austina metro, mózg musiał przetworzyć zbyt wiele informacji. Kierunkowskaz, lusterka, sprawdzić martwe pole. Dawniej robiła to bez namysłu. Teraz jazda samochodem ją przytłaczała.

Nie czekała z radością na ten dzień – przyjęcie z okazji szóstych urodzin wnuka. Jenny nigdy nie przepadała za spotkaniami towarzyskimi, ale z Billem u boku jakoś dawała radę.

Teraz na wszystkie rodzinne imprezy chodziła sama, obracała się wśród obcych ludzi i czuła na sobie ich oceniające spojrzenia. Czy pamiętali ją sprzed lat? Ich rodzice na pewno. Ona była tą histeryczką, która rzucała się z pazurami na kamerzystów i przeklinała w telewizji. Ale Hannah powiedziała jej, że musi wyjść z domu, za długo siedziała zamknięta, zaczynała „dziwaczeć”.

Włączyła chłodzenie i pomyślała, że powietrze z wywietrzników wydziela woń ryby. Powinna częściej używać samochodu. Ale dokąd miałyby jeździć? Pomijając wizyty u dzieci i zakupy w supermarkecie. Zapisz się do Women’s Institute, sugerowała Hannah. Ale na myśl o dzierganiu kocyków w towarzystwie bandy staruszek robiło jej się zimno. Mogła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy już się zorientują, kim jest. Nieustanne plotki nad szydełkiem.

Właśnie zbierała się w sobie, żeby wyjechać z miejsca postojowego, kiedy w lusterku bocznym zauważyła jakąś kobietę idącą ulicą.

Jenny zsunęła się na fotelu kierowcy. Często jej się to zdarzało. Zawsze gdy zauważała kogoś znajomego w parku czy na zakupach, nie podchodziła

się przywitać i wyrazić przyjemne zaskoczenie, jak większość ludzi; zamiast tego chowała się za latarnią albo najbliższą półką z papierem toaletowym, czekając, aż osoba zniknie z pola widzenia.

Tym razem jednak to nie była żadna znajoma. Przynajmniej tak jej się wydawało. Niebieskie džinsy, obszerna kurtka, blond włosy zaczesane do tyłu w koczek. Jenny nie widziała wyraźnie twarzy.

Może rozpoznała tę kobietę po sylwetce, po wzroście i budowie, tak, to możliwe. Woń ryb się nasiliła. Wyłączyła chłodzenie.

Kobieta minęła samochód i zatrzymała się przed furtką Jenny. Wyjęła z kieszeni jakiś świstek i sprawdziła adres. Potem zapukała do drzwi i odczekała jakiś czas, ze dwie minuty, po czym podeszła do okna i próbowała zajrzeć do salonu. Jenny bardzo się ucieszyła, że zaciągnęła zasłony.

Znowu pukanie i dłuższa chwila czekania: widocznie ma jakąś ważną sprawę.

Skulona w fotelu Jenny wrzuciła jedynekę i odjechała, nie sprawdzwszy martwego pola.

Kiedy ona była dzieckiem, jadło się zawijaski z marmite'em i grało w gorące krzesła; teraz były dmuchane zamki i zwierzątka z balonów, trzydziestka dzieciaków ze szkoły w świetlicy wiejskiej, a potem impreza przenosiła się do szeregowca Hanny na tort wielkości gobelinu.

Jenny trzymała się na uboczu. Podczas gdy Hannah ganiała za dzieciakami, nakładała na papierowe talerze wilgotne kawałki margherity i zwiędłe słupki marchewki, które za długo leżały poza lodówką, ona unikała rozmów. Rodzice sprawiali wrażenie zmęczonych i zirytowanych, zajmowali strategiczne miejsca przy miskach chrupek serowych i zerkali na tort z motywem wojowniczych żółwi ninja, kiedy został w końcu odsłonięty i oświetlony tyloma świeczkami, że wystarczyłyby do wysłania rakiety w kosmos.

– Mamo, możesz pomóc sprzątać?

Z ulgą przyjęła zadanie opróżniania poplamionych keczupem talerzyków do czarnego worka na śmieci w kuchni. Za ścianą wybuchła jakaś dziecięca kłótnia. Słyszała płacz, pocieszenie, potem ostrożnie zamykane drzwi. Nastawiła wodę w czajniku.

Najpierw samochód z włączonym silnikiem przed domem. Teraz Michelle Davies.

Dwie dekady starsza i zmęczona życiem, ale to bez wątpienia była ona.
„Dlaczego to zrobiliście?”

Pytanie do niej albo do Billa – zresztą nieważne. Ale lepiej uważać: w poprzedni weekend Hannah przyłapała ją, jak mówiła do siebie, i zbeształa. „Tylko mi nie wyskakuj z demencją, mamó. U mnie nie ma miejsca, więc wylądujesz w domu opieki, a wiesz, że stamtąd wychodzi się tylko w jeden sposób”. Ale jeśli Jenny nie powiedziała by pewnych rzeczy na głos, to Bill by ich nie usłyszał, a ona wierzyła, że gdziekolwiek jest, jakimś sposobem je słyszy.

Kiedy wystarczająco się skupiła, stojąc przy szafkach w kuchni i wyjmując kubki na kawę, wyraźnie widziała męża; cienka strużka dymu ciągnęła się od jego niewidocznej twarzy jak z komina domu ukrytego w lesie.

Zawsze widziała Billa takim, jaki był, kiedy go straciła. Nie potrafiła zaktualizować jego wyglądu, wyobrazić go sobie starszego. Ludzka twarz zmienia się w tajemniczy, spontaniczny sposób, nie tylko za sprawą genetyki, lecz także życiowych doświadczeń. Jeśli nie wie się, co spotkało daną osobę, nie da się zrekonstruować procesu starzenia. Dla Jenny na zawsze pozostał mężczyzną, za którego wyszła, przed zniknięciem, przed poznaniem Helen Black, zanim w ogóle zobaczyli tę przekłętą Maiden Rock.

Nalała wrzątku do pełna, chociaż Hannah miała już resztkę neski, więc kawa wyszła słaba; musiała doprawić ją trzema łyżeczkami cukru.

Córka zajrzała do kuchni.

- Zaraz kroimy tort.
- Nie czuję się najlepiej, skarbie.
- Co się stało?
- Nic, boli mnie głowa. Przejdzie.

Hannah wyglądała na zaniepokojoną.

- W łazience mam paracetamol.
- Nie przejmuj się. Idź do gości. Ja sobie trochę posiedzę.

Jenny oparła się o blat, siłą woli powstrzymując łzy. Rozpacz mogły wywołać nawet najbardziej niewinne bodźce: na przykład za mało kawy w słoiku. W takich chwilach, kiedy doskwierały banalne trudności, miała wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej, odmawia jej zadośćuczynienia.

Romans Billa był gorszy niż jego zniknięcie. W tym drugim przypadku był przynajmniej ofiarą. Chociaż, jak Jenny wciąż sobie powtarzała, padł również ofiarą Helen.

Zaczął się od tamtej herbaty. Mieszając teraz kawę w kubku, podczas gdy przez ściany sączyły się kolejne powtórzenia refrenu piosenki urodzinowej, a worek ze śmieciami leżał oparty o jej nogi niczym osoba bezdomna przy wejściu do sklepu, przypomniała sobie, jak któregoś popołudnia, kiedy Bill był na łodzi, wróciła do Kapitana. Helen siedziała na kanapie w dużym pokoju, wystrojona i umalowana, Bill obejmował ją ramieniem, a herbata w filiżankach na stoliku przed nimi wystygła. Jenny potem dużo myślała o tych herbatach: że musieli długo rozmawiać i zapomnieli o picciu. Zimna herbata nie dawała jej spokoju.

Kiedy później spytała Billa, co robiła u nich Helen, zbył to jakąś lekceważącą uwagą. Zaczęła dopytywać, a wtedy on na nią nakrzyczał, że gdyby mniej czasu spędzała z butelką wina, to może sama by na to wpadła. Kąśliwa uwaga zabolą teraz równie mocno, jak gdyby wypowiedział ją przed chwilą. Przez wiele dni Jenny nie mogła na niego patrzeć ani z nim rozmawiać, a rozstanie po tych cichych dniach było wyjątkowo trudne: gdy wrócił na wieżę, nie wiedziała, co myśleć. Za każdym razem, kiedy widziała Helen, odwracała się ze strachu przed konfrontacją, a jednocześnie rozpaczliwie tej konfrontacji pragnęła.

Tymczasem piła i starała się nie martwić, ale im więcej piła, tym bardziej się przejmowała, więc tym więcej piła i tak w kółko. Jenny obiecywała sobie, że nigdy nie stanie się swoją matką. Ale proces zaczął się niepostrzeżenie, jak to zwykle bywa. Z początku piła tylko wtedy, kiedy Bill był w pracy, bo wino dotrzymywało jej towarzystwa, albo kiedy dziewczynki grały jej na nerwach, albo po narodzinach Marka, kiedy w ogóle nie spała. Wkrótce kieliszek zmienił się w butelkę.

Jenny wyszła do holu. Impreza przeniosła się na zewnątrz. Przez szyby drzwi ogrodowych zobaczyła grupkę dzieci zebranych wokół zawieszzonego

na drzewie, zdobionego frędzlami stwora, którego waliły kijami. Po jakimś czasie ze środka wypadły słodycze.

Bill zarzucał jej nieczułość. Helen przecież tyle przeszła, czy nie mogła liczyć na wsparcie przyjaciół?

Jenny nie rozumiała, dlaczego to nie ona mogła udzielać jej tego wsparcia. Dlaczego to on musiał być tym przyjacielem? Dotychczas wszystko robili razem. Nie miał przyjaciół, o których by nie wiedziała.

Od tamtej pory każdy pobyt Billa na łodzi był dla niej trudny. Kiedy wychodziła z domu, podejrzewała, że mąż wymyka się do Helen albo ona przychodzi do nich. Po powrocie do domu oglądała szklanki na wodę, żeby sprawdzić, czy są suche, i kran w łazience, który zawsze zostawiała krzywo, i węszyła w powietrzu za zapachem perfum. Helen zawsze używała tych samych, Eau Passionnée, jedyne wyrażenie po francusku, które Jenny знаła, zresztą tylko dlatego, że kiedyś zauważyła flakon na toalecie w Admirale i się psiknęła; sama nigdy się nie perfumowała, więc poczuła się jak dama. Najbardziej wstydziła się tego, że kilka tygodni później pojechała do Exeter i kupiła sobie buteleczkę. Chciała czuć się tak jak Helen. Przekonać się, jak to jest. Ale kiedy poszła na przystań odebrać Billa, powiedział: „Co to za zapach? Nie pasuje ci”, więc już nigdy ich nie użyła.

Przed domem Hanny zatrzymał się samochód. Jenny usłyszała trzaśnięcie drzwiczek. W gardle urosła jej gula paniki. Uchwyciła się poręczy przy schodach i uciekła na piętro.

Chwilę później wyjrzała przez okno z sypialni Hanny i przekonała się, że to tylko rodzic przyjechał wcześniej po dziecko, to, które płakało.

Hannah ma rację, pomyślała żałośnie. Dziwaczeję.

W pokoju córki było jak w chlewie, niezasłane łóżko, kosmetyki zięcia rozrzucone na stoliku. Bill nie był bałaganiarzem. Praca na latarniach nauczyła go pewnych standardów, na przykład zawsze zwijał skarpetki w kulkę i chował je do szuflady, zamiast rzucać wymiętolone na dywan, jak parę szczurów rozjechanych na autostradzie.

Gdyby tylko potrafiła wyrazić ból, który skłonił ją do zrobienia tej okropnej rzeczy.

Chciała nim trochę potrząsnąć. Dała mu piękne dzieci i przytulny dom, a on i tak oglądał się za płot i myślał, że takie małżeństwo, które przeszło to, co przeszło, jest od nich lepsze?

Carol podgrzała jej emocje. Przypomniała Jenny, że zupełnie sama wychowywała dzieci, najpierw dziewczynki, od kiedy Bill zaczął pracę na wieży, a potem jeszcze pojawił się Mark i też sama musiała pracować pieluchy, podgrzewać butelki, stać nad łóżeczkiem o trzeciej nad ranem, podczas gdy Maiden mrugała do niej światełkiem w ciemności.

W takie noce Jenny płakała z wściekłości. Sama nie wiedziała, co byłoby gorsze: że Bill pilnował płomienia i nie mógł iść spać tak samo jak ona, nie spał, ale nie pomagał, nie miał pojęcia, jak mało jej brakowało, żeby wyrzucić to dziecko przez okno, posłać je w tym kocyku w niebo jak kometę, czy że przeciwnie – spał. Na myśl, że on sobie smacznie śpi, chciała go zamordować. Tak samo na myśl o Helen, a im mniej spała, tym więcej myślała i tym gorsze stawały się jej myśli. Przy Marku przez pierwsze kilka miesięcy prawie w ogóle nie zmrużyła oka. Brak snu doprowadzał ją do obłądu.

To nie Helen zajmowała się rodziną, prawda? Nie ona urodziła mu dzieci i prasowała koszule. Nie przyrządzała mu domowej rolady lodowej, nie głaskała po głowie, kiedy skarżył się na „kanały”, przez które czuł się tak, jakby w żołądku miał grudy węgla.

A mimo to Helen uważała za właściwe wypisywać do niej te cholerne listy, które sprawiały, że wyłącznie ona czuła się lepiej, a nie Jenny. Kiedy zaczynała je czytać – gdy tylko widziała imię Billa na piśmie – zgniatała je w kulkę i wyrzucała.

Założę się, że wielu mężczyzn cię kochało, myślała Jenny o Helen w tamtych czasach. To niesprawiedliwe, że postanowiłaś zapragnąć go teraz, kiedy jest mój i jest wszystkim, co mam.

Koszula nocna córki leżała rzucona byle jak w nogach łóżka. Jenny usiadła i przesunęła po niej dłonią. Przypomniała sobie, jak składała koszulkę małej Hanny i wkładała pod poduszkę, jak całowała jej wilgotne czoło na dobranoc. „Zajrzysz do mnie? Zajrzyj za dwie minutki”. „Tak, kochanie, zajrzę”. „Za dwie minutki, mamusiu. Obiecujesz?”

Obietnice. Jak Bill mógł tak zaniedbać płomień ogniska domowego?

Wkrótce Hannah przekona się, że jej niewinna matka jest oszustką – przez tyle lat udawała ofiarę, choć prawda była zupełnie inna. Odetnie się od Jenny, z zimną krwią i na zawsze, tak jak Jenny odcięła się od swojej matki.

– Mamo? – Hannah stanęła w drzwiach. Jenny aż podskoczyła.

- Wystraszyłaś mnie.
- Nie wiedziałam, że tu jesteś. Jak głowa?
- Co?
- Bolała cię.
- Aaa. Lepiej.
- Goście wychodzą, dzięki Bogu. – Przez ramię miała przerzuconą ścierkę z jakąś brudną smugą. – Greg rozdaje pamiątkowe prezenty. Schodzisz?

Jenny odwróciła wzrok. Próbowwała powstrzymać łzy, ale nie miała szans.

Chciała tylko trochę nastraszyć męża. Nie zamierzała stracić go na zawsze.

- Co się dzieje? – Hannah weszła do sypialni. – Mamo... Co jest?
- Jenny położyła sobie koszulę nocną na kolanach.
- Muszę ci coś powiedzieć.

Trident House
88 North Fields
London

Pani Michelle Davies
8 Church Road
Towcester
Northants

12 sierpnia 1992 r.

W SPRAWIE: ROCZNE ŚWIADCZENIE PIENIĘŻNE

Droga Pani Davies,

przesyłamy czek z zasiłkiem żałobnym za kolejny okres roczny. Mamy nadzieję, że suma zaspokoi Pani potrzeby.

Uwaga: docierają do nas informacje o zainteresowaniu osób trzecich historią Maiden Rock. Nie musimy chyba Pani przypominać, że nasze stanowisko się nie zmieniło: ani nasza firma, ani nikt z osób powiązanych ze zniknięciem nie ma żadnej dodatkowej wiedzy. Sprawa została zamknięta i nie podlega weryfikacji.

Z poważaniem,

[podpis]
The Trident House Fellowship

MICHELLE

Pierwszy raz zauważyła tego ptaka tydzień temu, po tym, jak pojechała odwiedzić Jenny. Wyjazd nie przyniósł żadnych rezultatów. Przez całą podróż powrotną zastanawiała się, jakie jeszcze kłamstwa będzie musiała wciskać Rogerowi, zdenerwowanemu, że musi wziąć wolne z pracy, żeby popilnować dziewczynek. Wymyśliła już chorą koleżankę, której nie zostało wiele czasu.

Pewnego popołudnia siedział na trawniku, kiedy składała krzesła ogrodowe, i od tej pory ciągle pojawiał się w różnych miejscach – na parapecie, kiedy przyrządzała śniadanie, pod dębem albo na domku dla świnek morskich – i gapił się na nią koralikiem oka. Zawsze był sam.

– Kto ty jesteś? – spytała go któregoś dnia. – Idź sobie.

Zaczęła się bać tego widoku, nawet jeśli sporo czasu mijało pomiędzy kolejnymi wizytami ptaka – to było wręcz gorsze, bo myślała, że już go nie ma, a on nagle pojawiał się znowu, kiedy najmniej się tego spodziewała, jak kuksaniec w zebra tuż przed zaśnięciem.

W niedzielę po południu Roger zabrał dziewczynki na dwór. Michelle siedziała na kanapie, czytała „Woman’s Weekender” i właśnie wciągała się w historię małżeństwa wykiwanego przez kredytodawców hipotecznych, kiedy kącikiem oka zarejestrowała coś białego. Ptak znowu wylądował na trawie, pióra jeszcze miał nastroszone od lotu. Podreptał w kółko, dochodząc do siebie, ale kiedy ją zauważył, zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo.

– Sio! – powiedziała, rozsuwając szyby werandy, ale ptak ani drgnął, dopóki nie wyszła z domu i nie ruszyła w jego stronę, zbliżając się zaledwie na metr. Dopiero wtedy odleciał i usiadł na gałęzi nad jej głową. – Daj mi spokój – rzuciła. Po powrocie do domu zaciągnęła zasłony i próbowała

wrócić do lektury magazynu, ale wiedziała, że ptak nadal tam jest, wiedziała, nawet jeśli go nie widziała, że siedzi tam na drzewie i się gapi.

Kiedy wrócił Roger, okna nadal były zasłonięte.

– Co tu się wyrabia, do cholery?

Odparła, że nic takiego, po prostu ma migrenę.

Następnego ranka ptak czekał za oknem sypialni. Roger już wyszedł do pracy. Ucieszyła się, że nie może zobaczyć, jak otwiera okno i oblewa ptaka kubkiem wody, dusząc w gardle jęk; odleciał z trzepotem skrzydeł, a jej starsza córka wpadła do sypialni z buzią pełną pasty do zębów i zapytała:

– Mamusiu, co robisz? Wyglądasz jak klaun.

Michelle spojrzała w lustro i zaskoczyło ją własne odbicie: potargane włosy, wczorajszy makijaż zaschnięty w czarnych grudkach.

– Zbieraj się – powiedziała. – Zaraz wychodzimy.

W samochodzie w radiu leciało *Fire and Rain* Jamesa Taylora. Michelle przypomniał się wieczór, kiedy poznała Vinny'ego, jego wargi, kiedy palił.

Po odwiezieniu obu dziewczynek pojechała do Sainsbury's, chociaż nie potrzebowała niczego ze sklepu. Oparła głowę na kierownicy samochodu.

Piosenka sprawiała jej ból.

Luty 1972 roku. Poszła na tamtą imprezę tylko dlatego, że Erica ją zmusiła. Nie miała się w co ubrać, więc wygrzebała z kosza na brudy dzwony i spryskała je obficie Rive Gauche mamy. Tydzień wcześniej chłopak ją rzucił i nie miała nastroju. „Chodź, będzie fajnie”, namawiała Erica. Po przyjeździe na miejsce pomyślała, że naoglądała się już zbyt wielu takich scen. Jakaś dziewczyna wymiotowała do donicy przed domem, koniec warkocza ciągle wpadał jej do ust.

– To jest Vinny.

Michelle słyszała już o kuzynie Eriki z kryminału. Zastanawiała się, czemu nie słuchała uważniej. Vinny przewyższał wszystkich o głowę, miał ciemne włosy i nieco krzywe zęby. Mogła na niego patrzeć tylko wtedy, kiedy on nie patrzył na nią. Kiedy ich wzrok się spotykał, przebiegał przez nią dreszcz upokorzenia.

– Michelle... – powiedział, kiedy Erica odeszła. – Jak w tym kawałku Beatlesów.

– Lubisz ich?

– Wolę raczej Stonesów.

– Nigdy nie lubiłam tego imienia – przyznała Michelle. – Przywodzi na myśl morze. Michelle, *shell*, czyli muszla. Boję się morza. Chyba dlatego że jest takie głębokie. – Za dużo gadała.

Vinny miał ładny uśmiech, ciepły i szczery, który odbijał się także w jego oczach.

– Chcesz ze mną poświętować? – zapytał.

– A co świętujesz?

Złapał butelkę babycham.

– Chodź.

Na schodach przed domem powietrze było świeższe – na szczęście dziewczyna z warkoczami już sobie poszła.

– Dostałem dzisiaj pracę – oznajmił. – Jako latarnik morski.

Mimo półmroku widziała jego rzęsy.

– Nie znam żadnego latarnika.

– Teraz już znasz.

– A ja dopiero co gadałam o morzu.

– Dlatego wiedziałem, że to z tobą powinienem to oblać.

Uśmiechnęła się. Gruszkowy cydr był słodki.

– Masz papierosa? – spytała.

Vinny pogrzebał w kieszeni.

– To trawa.

Kiedy zapalił zapałkę, zobaczyła wewnątrz jego dłoni, które wydało jej się nagle bardzo intymną częścią ciała.

– To nie brzmi jak prawdziwa praca – stwierdziła. Chciała zostać z nim na dworze.

– A co to jest prawdziwa praca?

– Nie wiem. – Podała mu skręta. – Taka, w której człowiek nie czuje się samotny.

– Nie będę bardziej samotny niż teraz.

– A teraz czujesz się samotny?

Uśmiechnął się.

– Teraz raczej nie.

Michelle pomyślała, że zawsze będzie miała w sobie to coś, co przyciąga ją do nieodpowiednich facetów. Może każda kobieta tak ma.

Na parkingu przed Sainsbury's zatrąbił za nią klakson volkswagena. Kierowczyni opuściła szybę.

– Wyjeżdża pani? – spytała zniecierpliwiona. – Mam tu dwójkę maluchów.

Michelle przypomniała sobie, że zaparkowała na miejscu dla matek z dziećmi.

– Przepraszam. Tak, już wyjeżdżam.

Cofnęła i wyjechała z parkingu pod prąd, jakiś rowerzysta zwyzywał ją od ślepych krów. Wrzucając lewy kierunkowskaz przed wjazdem na rondo, znowu zobaczyła ptaka – siedział na wysepce na środku, jak zwykle sam, i wbijał w nią ślepie.

Coś obudziło ją w nocy. Było jej zimno w palce u stóp. Druga trzydzieści trzy.

Krzepiła ją obecność Rogera, jego mięsiste plecy unosiły się i opadały w rytm chrapania. Wstała i włożyła szlafrok, sztywny i szorstki w dotyku od przesuszenia na słońcu.

W gabinecie Rogera na parterze sięgnęła po teczkę schowaną pod biurkiem. Roger namawiał ją, żeby wyrzuciła te papiery: „Po co chcesz trzymać te cholerne szpargały?”. Mówił, że to śmieci, że tylko zabierają miejsce, choć jakoś nie wysuwał tego argumentu pod adresem rozmaitych chromowanych „odstresowujących” rozrzuconych po fornirowanym blacie.

Michelle usiadła w fotelu męża i otworzyła teczkę. Listy od Tridentu, wszystkie zawierające jakąś wariację na temat: „Najszczęśliwsza kondolencja... Szok i niedowierzanie... Jeśli możemy cokolwiek zrobić...”. Potem zasiłek żałobny, w rzeczywistości łapówka: zapłata za milczenie.

W końcu werdykt: „Zbadaliśmy sprawę w miarę naszych możliwości... Pobyty w więzieniu zmienia ludzi... Izolacja... Nie najlepsze miejsce dla Vincenta, w jego stanie umysłu”.

W jakim stanie? Do dziś nie spotkała jeszcze nikogo, kto miałby umysł bardziej błyskotliwy niż Vinny.

„Przesłuchania, 1973”.

Michelle nachyliła się w mdłym świetle górnej lampy i przesunęła paznokciem po krawędzi teczki. Przez całe dochodzenie Helen Black upierała się, żeby przekazywano jej kopie wszystkich dokumentów. Trident nie miał wyjścia: ostatnie, czego było im trzeba, to nagłośnienie sprawy w prasie przez pogrążoną w żałobie wdowę.

Teraz po raz kolejny przeczytała wszystkie transkrypcje, słowa wypowiedziane dwadzieścia lat temu, ale nadal żywe. Choć знаła ten tekst prawie na pamięć, bolała ją głowa, a jeszcze bardziej serce.

Żałowała, że to nie ona rozmawiała z nimi o Vinnym. Zwrócili się jednak do Pearl, ciotki, która go wychowała. Michelle mogłaby im opowiedzieć, jaki Vinny był naprawdę, a nie ten stek kłamstw. Ciotka przedstawiła go jako łobuza z marginesu społecznego. Możliwość udokumentowania tych wszystkich kochanych cech jego charakteru byłaby dla niej bardzo ważna.

Mogła zbagatelizować większość zeznań Pearl, ale jeden fragment sprawiał jej trudność. Właśnie do niego dotarła i zatrzymała się na dłużej, wciąż od nowa analizując słowa, aż straciły sens. Martwiły ją uwagi Mike'a Sennera. Od początku tak było. Rybak twierdził, że był na wieży na tydzień przed odkryciem zniknięcia. Podobno popłynął napełnić zbiorniki na wodę, rozmawiał z Billem i Vince'em. Powiedzieli mu o niespodziewanym gościu.

Dlaczego śledczy nie pociągnęli tego wątku? Pasował do sprawy. I na pewno wyjaśniłby, co tak naprawdę się stało.

Zegarek na biurku wskazywał za pięć czwartą. Powieki zaczęły jej ciążyć. Wkrótce wszędzie słońce.

Wróciła na piętro i wślizgnęła się do łóżka, ostrożnie, żeby nie obudzić męża. Po ścianie przemknął jakiś cień, palce drzew sięgały przez zasłony. Czują ciężar mężczyzny, którego kiedyś kochała, którego nadal kochała, jego duch siedział przy niej, wierny jak pies, stopniowo robił się coraz lżejszy i zniknął, kiedy zapadła w sen.

VII

1972

ARTHUR Łódka

Helen!

Nigdy do Ciebie nie piszę. Nie potrafię. Listy z latarni morskich – chyba czytałaś kiedyś taką książkę? Jakiś romans, który znalazłaś w poczekalni na dworcu, dawno temu, zanim sami zaczęliśmy tak żyć. Latarnicy piszący do swoich dziewczyn. Rozłąka sprawiająca, że kochamy mocniej. A to nie tak. Kiedy skończyłaś czytać, stwierdziłaś: „Wątpię, żeby tak było”. I miałaś rację, tak nie jest, nie w naszym przypadku. Wolałabyś, żebym pisał? Czy to by Cię powstrzymało? Zwykle bardzo trudno wyrazić mi to, co myślę i czuję. A chciałbym Ci powiedzieć, Kochanie. Tak wiele chciałbym Ci powiedzieć.

Pocztówki niedokończone i nigdy niewysłane. Rwę je na kawałki i wrzucam do morza, żeby zobaczyć, jak odpływają. W innym życiu, w którym dopisało mi szczęście, widzę, jak te fragmenty wypływają na brzeg. Ona je znajdzie, zbierze, złoży z powrotem w całość. I wszystko stanie się jasne.

Trzydziesty szósty dzień na wieży

– Co ci jest? – pyta Bill Vince’a przy środowym obiedzie, rosole drobiowym ze starym chlebem, który zaczyna twardnieć i pleśnieć. Zupa jest z puszki, na wierzchu zrobiła się galareta, ale po podgrzaniu i zagęszczeniu wyszła zjadliwa. – Fatalnie wyglądasz.

– Chyba coś zjadłem. Czuję się, jakby ktoś mnie wyrzygał.

Bill zaciąga się papierosem i szczyrzy do mnie zęby, jakby to wszystko go bawiło.

– Co? – pytam.

– Nic. Chryste, rozchmurz się trochę.

Vince miesza zupę wyraźnie bez apetytu. Trudno mu się dziwić – sam marzę o świeżym mięsie, czymkolwiek świeżym. Na skałach na północy hodowaliśmy kury – dobre znosiły nam jajka przez cały pobyt, a te gorsze kończyły w potrawce. Przeglądaliśmy stadko i liczyliśmy na to, że przynajmniej jeden kurczak zostanie podziobany, żebyśmy mieli czym napęścić żołądki.

– Flaki mnie bolą – skarży się Vince. – Jakby mi je wywaliło na lewą stronę.

– To musimy cię odstawić na ląd, zanim pogoda się zmieni, co, Arthur?

Drapię się po brodzie, przesuwam paznokciem kciuka po ostrych włoskach. Widzę Helen, patrzy na mnie z czułością, a może z czymś, co błędnie interpretowałem jako czułość, a w rzeczywistości było raczej pogardą. „Skąd ci się wzięła ta broda? Arthur Black, którego znam od tylu lat, nigdy nie miał brody, to ci nie pasuje, nie, zupełnie nie w twoim stylu”.

Ale przecież był czas, kiedy mnie nie znała, i może jednak mi to pasuje.

– Ale zostalibyśmy wtedy sami, Bill.

Strzepuje popiół do miski po zupie.

– Nie tak długo – odpowiada. – Przywieźliby kogoś na zastępstwo.

Patrząc teraz na mojego pomocnika, czuję, że chciałbym zmieść ze stołu wszystkie talerze i kubki, aż latałyby w powietrzu, rzucić się na niego i zmyć mu ten kretyński uśmiech ze zdradzieckiej mordy.

– Masz rację – mówię. – Nie tak długo.

Vince patrzy to na jednego z nas, to na drugiego.

– Co o tym sądzisz? – pytam go.

– Nic mi nie będzie – mówi, odsuwając zupę. – Lepiej nie ściągać tu jakiegoś biednego drania zaraz przed Gwiazdką.

– Nie zastąpię cię, kurwa, na zmianie, jeśli to próbujesz ugrać.

– Dzięki za współczucie, stary.

– Współczucie to możesz dostać na brzegu, od doktora.

– Można by pomyśleć, że chcesz się mnie pozbyć, bucu.

Bill wzrusza ramionami.

– Po prostu nie chcę się zarazić żadnym syfem. Nocnik już i tak ledwo wyrabia.

Vince chowa twarz w dłoniach.

- Może się strułem czymś, co ugotowałem – jęczy.
- Nie zdziwiłbym się... – kwituje Bill.
- Ale wtedy wszyscy powinniśmy chorować...
- I niedługo pewnie będziemy, psiakrew.
- Odczekam do jutra – decyduje Vince. – Zobaczę, czy mi przejdzie.
- Wezmę twoją zmianę – mówię. – Kładź się do łóżka.

Po jego wyjściu Bill zwraca się do mnie:

- Wezwij łódkę, Arthur. Strasznie kiepsko wygląda.
- Decyzja należy do mnie. Jutro mu przejdzie.
- A jeśli nie?
- To zadzwonimy.
- A co, jak będzie cholerny sztorm?
- Nie będzie.
- Prognozy twierdzą inaczej – odparowuje Bill.

Zapalam papierosa.

- Meteorolodzy nie zawsze mają rację.
- A ty tak?

Wtedy na północy, kiedy przyszła pora na te kury, tamtejszy główny latarnik pokazał mi, jak to załatwić. Przytrzymał ptaka do góry nogami i kazał mi poderżnąć mu gardło. Jedno czyste cięcie, od lewej do prawej.

- Do czego pijesz, Bill?

Patrzy na mnie przez chwilę.

– Chuj z tym – rzuca w końcu. – Ty jesteś głównym, nie ja. Rób sobie, co chcesz.

Na Flamborough Head zbierałem dolomity. Tamtejszy główny latarnik wziął mnie na stronę któregoś spokojnego dnia i powiedział: „Masz tu pensa, chłopcze, i trochę octu, zobacz, co ci z tego wyjdzie”. Węglan wapnia w kamieniach syczał pod wpływem kwasu; nauczyłem się klasyfikować twardość skał na skali od jednego do dziesięciu, najtwardsze drapiąc monetą. Szef dał mi swój zeszyt ze wszystkimi zapiskami – on już wtedy przerzucił się na malowanie i w ten sposób dawał mi do

zrozumienia: teraz to twoja działka, zajmij się tym przez jakiś czas, a potem podaj dalej.

Helen uważa to hobby za niezdrowe, makabryczne. Ja uważam wręcz przeciwnie. Kiedy dotyka się skały, która liczy tysiące lat, to jakby uściskać dłoń historii.

Twierdzi też, że swobodniej czuję się na wieży niż na lądzie, i może coś w tym jest. Życie na ziemi jakoś mi nie pasuje. Wytrąca mnie z równowagi ta ciągła niestałość. Telefony dzwonią niespodziewanie. W sklepie sprzedają dwa rodzaje mleka i nie mogę się zdecydować, które wybrać. Ludzie ze szczegółami opowiadają mi, co u nich słychać, podczas zakupów czy na przystanku autobusowym: „Dzień dobry, Arthur, już wróciłeś? A wydaje mi się, że widziałam cię wczoraj. Helen ci mówiła, że Stanowi Laury wreszcie usunęli kamienie z pęcherza?”. Wspominają o planach na przyszły tydzień albo jakiś dzień w lipcu, kiedy wiem, że mnie nie będzie, ale kiwam głową potakująco, świadomy, że nie robi mi to żadnej różnicy. W tym sensie życie na lądzie jest dla mnie jak dom tymczasowy, niby tu jestem, ale mnie nie ma, jakbym przyszedł na imprezę pełną ludzi, których nigdy nie spotkałem, ubrany niezgodnie z konwencją, i musiał wyjść przed północą.

Na lądzie muszę udawać człowieka, którym nie jestem, uczestniczyć w czymś, czego nie jestem częścią. Trudno wytłumaczyć to normalnym ludziom. Nie zainteresowałyby ich opowieść o nieskończeniu cichym spokoju porannej zmiany ani o tym, że przyrządzenie dobrego duszonego mięsa potrafi zająć myśli na cały dzień, a nawet na dwa. Świat w latarni jest mały. Życie toczy się powoli. Inni ludzie tego właśnie nie potrafią: nie potrafią robić rzeczy powoli, z uważnością i namysłem.

Tutaj mój mózg pracuje zupełnie inaczej. Na lądzie jakby usypiał, nie jest tak sprawny jak tutaj. Na przykład kiedy mam płynąć łódką ze zmianą, wiem dokładnie, ile powinien ważyć mój tobołek ze wszystkimi drobiazgami – kapcie, slipy, ręczniki, grzebień, chusteczki do nosa, myjka do twarzy, spodnie robocze, wygodne spodnie, pulowery, kosmetyczka, fajki, mydło do golenia. To ma związek z moim życiem na latarni, więc znam ciężar każdego z tych przedmiotów razem i z osobna, a jeśli czegoś brakuje, to potrafię bez dłuższego namysłu stwierdzić czego. Teraz przed wyjazdem zatrzymałem Helen na pirsie, bo przypomniałem sobie, że zostawiłem nożyczki do paznokci w szafce w łazience. W zwyczajnym

życiu tracę całą tę bystrość umysłu. Za dużo rzeczy, którymi trzeba się przejmować, a zresztą i tak bez sensu, bo wszystko ciągle się zmienia. Może się wydawać, że wieża wymaga ode mnie mniej wysiłku albo że przechodzę tu w stan uśpienia, ale jest wręcz przeciwnie.

Moją konsternację na łądzie dodatkowo pogłębia zachowanie Helen. W niektóre wieczory chce ze mną rozmawiać, w inne nie. Czasem gdzieś wychodzi, a ja nie wiem gdzie.

Chociaż teraz mogę się domyślić gdzie. Może to wcale nie ogranicza się do Billa. Może Helen świetnie się bawi za moimi plecami, robi ze mnie głupca, który nie potrafi utrzymać przy sobie żony.

Myśli o nich razem nie dają mi spać. Jak ona mogła? A on, którego od początku wziąłem pod swoje skrzydła, wszystkiego nauczyłem i okazałem mu przyjaźń; uspokajałem po przeprawie na latarnię, bo bał się i dokuczała mu choroba morska, a on przez cały ten czas – jak długo? – nie był człowiekiem, za którego go uważałem.

Myśli o tobie nie dają mi spać.

Sen jest schronieniem, ale nie chce udzielić mi azylu. Leżę w łóżku, robi mi się gorąco, a potem zimno, na zmianę pocę się i dostaję dreszczy, jest noc i jest świt, a ja nie pamiętam czasu pomiędzy.

Padł nam jeden generator. Łączę się przez radio z lądem, żeby coś z tym zrobili, i mówią, że kogoś przyślą. Ale wcale go tu nie chcę. Nie chcę nikogo nowego. Nikogo.

O czwartej nad morzem rozpościera się już sztywna mgła: przegapili szansę. Wychodzę na galerię załadować działko. Na dworze jest mroźnie, panuje nienaturalna cisza.

Na galerii jest jakiś ślad, pojedynczy odcisk buta.

Niewielki. Mrugam. Zniknął.

Tak to jest z mgłą. Sprawia, że wszystko staje się stłumione i nieruchome. Nie byłbym pierwszym latarnikiem, który widzi bezpośredni związek między samopoczuciem a żywiołami, bo stają się one naszymi towarzyszami, równie bliskimi jak koledzy z latarni, ale akurat mgła ma w sobie coś szczególnego. Dławi światło i dźwięk, cały świat się kurczy, aż pozostaje już tylko ten punkcik, w którym jesteś.

Grudniowe słońce jest słabe nawet w najpogodniejsze dni. Teraz ma kolor cytryny, trochę jak śmietana, która zaraz skwaśnieje. Na lądzie rodziny ubierają choinki, dekorują domy świeczkami i kokardami. Dawniej z Helen też się w to bawiliśmy, ale teraz już nam się nie chce. Zawsze ustawiamy świąteczny świecznik z dzwonekami, bo Helen miała taki w dzieciństwie, i wieszamy lametę na lustrze. Rzadko jestem w domu na Gwiazdkę. Nie ma sensu, żeby świętowała sama.

Wpisuję do dziennika pogodowego M i P – P jak „ponuro” – sprawdzam temperaturę i notuję widoczność, ledwie na odległość rzutu kamieniem z wieży.

Poświęcam na to dużo czasu, więcej niż pozostali. Oni wpisują niewiele – daty, symbole, zgodnie z przepisami co trzy godziny, ale nic tak naprawdę od siebie. Nie wiem, dlaczego piszę ani co właściwie piszę. Może piszę do ciebie. To ta mgła albo te długie godziny, albo nieskończoność tego wszystkiego.

Na zewnątrz znajduję pióro, pozostałość po tym, jak Vince sprzątał te swoje ptaki. Vince powtarza: „Przestań tak mówić, to nie są moje ptaki, do jasnej cholery”, ale ja tak o nich myślę, bo przecież to on je znalazł. Trzymam pióro, stabilizuję je i wypuszczam. Przez chwilę unosi się poziomo, podtrzymywane przez zsiadłe powietrze, a potem znika. Nie spada, nie odlatuje jak na wietrze. Rozpływa się bez śladu.

Kiedy wstaję, zauważam jakiś kształt na morzu, daleko, wynurza się z mgły. Czyli Trident jednak kogoś przysłał. Tyle że łódka nadpływa nie z tego kierunku, tylko z otwartego morza. Czyli to nie może być konserwator. Mrużę oczy, niepewny, czy to wzrok płata mi figle we mgle, ale lornetka potwierdza, że do wieży szybko zbliża się łódź. Bez chwili namysłu naciskam dźwignię, żeby odpalić armatkę. Rozlega się ogłuszający huk, dym się rozwiewa. Zegar jest ustawiony na pięć minut odstępu, ale od razu wypalam jeszcze raz, po czym przeładowuję działko.

Załoga łodzi jakby nie słyszała. Płyną szybko w kierunku latarni, nieświadomi eksplozji, a także mojego wymachiwania rękami i ostrzegawczych okrzyków, żeby uważali.

Przez lornetkę zaczynam wreszcie dostrzegać niewyraźny kształt. Wysoki maszt, ale sama łódka jest niewielka. Widzę kapitana i dochodzę do wniosku, że skoro ja go widzę, to on mnie też musi, więc znowu krzyczę:

– Ostro na sterburtę, ostro na sterburtę!

Działo znowu wystrzela. Dlaczego on się zbliża? Nie wykrywa mojej latarni?

Dopiero teraz dostrzegam podarty żagiel, nieruchomy jak skarpetka susząca się na sznurku w bezwietrzny dzień. Potrzebuje pomocy, nie chce nas opływać. Wołam, że przygotuję podciągarkę, ale on nie odpowiada, więc używam chorągiewek semaforowych. W końcu facet podnosi rękę.

– Hej! – wołam. – Widzę was!

Trzyma rękę w górze, ze złączonymi palcami, bardziej jak wiosło niż dłoń. Nie tylko stateczek jest mały – kapitan też.

– Hej – powtarzam, tym razem normalnym głosem.

Łódka skręca, ale osoba na pokładzie zaczyna machać. To nie wołanie o pomoc, a pozdrowienie. Mija wieżę. Patrzę, jak odpływa, mgła połyka go w kilka sekund. Nie ma go.

31

BILL Zaraza

Pięćdziesiąty trzeci dzień na wieży

Sid przyjeżdża w czwartek. Ledwie zdążyliśmy posprzątać po śniadaniu, a tu Arthur daje znać, że płynie bączek z mechanikiem, który ma naprawić generator. Arthur wygląda na zaskoczonego, jakby się tego nie spodziewał. Nadal utrzymuje się gęsta mgła. Nie sądziłem, że Trident kogoś wyśle. Dlaczego Arthur tego nie kwestionuje? W tym tygodniu jego broda jakby pociemniała, oczy jeszcze bardziej. Niektórzy latarnicy siedzą na wieżach tak długo, że zaczynają słyszeć śpiew syren.

Po długich minutach porozumiewania się krzykiem w pochmurnym mroku w końcu udaje się naprowadzić łódkę na pozycję, a przybysza zapiąć w uprzęży. Szypra nie znam – jest zakutany, zydwestka zasłania mu twarz, ale dobrze się spisuje, utrzymując napiętą linę i łódkę w stałej, bezpiecznej odległości, co jest niemałym wyczynem, bo morze wokół wieży znacząco się obniżyło, jakby ktoś wyjął korek z wanny. Woda odsłoniła skały, zimne bryły węgla, z którymi człowiek nie ma nic wspólnego. Tak jak ocean, jak morze. Nie ma żadnego uczucia, absolutnie żadnej więzi. Jeśli do tego sprowadza się życie, to ma to dla mnie sens. Nie ma nieba i piekła, dobra ani zła, bo ich to nie obchodzi.

– Miło poznać – mówi mechanik. – Sid jestem.

Wyciąga rękę. Jest wyższy ode mnie i od Arthura, zbudowany jak bokser. Przysięgam, że gdyby ci z zarządu Tridentu musieli kiedyś spędzić więcej niż jedną noc w latarni morskiej, przestaliby zatrudniać ludzi, którzy zajmują miejsce za dwoje. Sid jest też starszy niż średnia. Na ramieniu ma tatuaż, ludzką czaszkę w szczękach wilka, a włosy jasne i gęste.

– Skąd jesteś? – pyta Arthur, kiedy siadamy już w trójkę w kuchni, paląc papierosy i grzejąc dłonie na kubkach z herbatą.

– Stąd i stamtąd. – Sid potrząsa pustą paczką, po czym podwędza fajkę Arthurowi. – Nigdy nie zostaje w jednym miejscu. Mówili mi, że dobrze się nadam na latarnie, tak jak wy, no bo ciągle gdzieś człowieka przenoszą i tak dalej. Ale nieee, nie dałbym rady. Za ciasno.

Sid rozgląda się wokół, jakby nigdy wcześniej nie był na wieży, jakby bawiły go te małe stoliki, krzeselka i ludziki żyjące w małym wnętrzu.

Zwykle kiedy pojawiają się ludzie z zewnątrz, wiedzą, że nie są u siebie. Wkraczają do naszego świata, więc muszą się pilnować, tak jak kiedy na ładzie ktoś ma awarię w domu i przychodzi hydraulik. Ale Sid ma w sobie coś nienaturalnego. Nie potrafię tego nazwać. Głos ma wysoki jak na faceta, i to tak potężnego – niezupełnie damski, ale zbliżony. Nie pasuje do niego, jakby do niego nie należał, tym bardziej że akcent ma mocny, z północy, przypomina mi dziadka, który miał pięści jak szynki i nos jak zniekształcona bulwa.

Przypomina mi kogoś. Przypomina mi coś, co mi się kiedyś przyśniło.

– Ja tam potrzebuję dużo miejsca – mówi Sid. – Raz na jakiś czas mogę zajrzeć na chwilę, ale nie dałbym rady tu mieszkać. Macie ogień? Dzięki. Kurwa, musicie tu palić jak smoki; ja palę tylko wtedy, kiedy mi się nudzi. Dlaczego nie macie płynu do naczyń, co? Myślałem, że w tych latarniach macie bzika na punkcie zmywania. A nie macie zapasu.

Główny latarnik marszczy brwi.

– Czekamy na akceptację Tridentu.

– Było powiedzieć. Mogłem wam przywieźć. Kupiłbym butelkę w Sparze, mielibyście prezent świąteczny. Żaden problem.

– Mydło daje radę.

– Nie macie dość? Siedzieć tak cały dzień i się opierdalać?

– Coś jednak robimy – oponuje Arthur.

– No wiem, ale i tak nudy.

– Można się przyzwyczaić.

– Ja tam bym się nie chciał do tego przyzwyczajać. W sumie tego najbardziej bym się bał. – Sid wydmuchuje dym w kierunku rury z obciążnikami. – Pomyśl sobie, że musiałbyś dzień i noc podciągać to badziewie w górę i opuszczać. Trochę zajmuje miejsca, co?

Arthur przyznaje mu rację i opowiada o łańcuchach z ciężarkami znajdującymi się w środku, jak dyżurny musiał wyciągać je na samą górę

do laterny, żeby obrócić soczewki, po czym znowu je spuścić. Co czterdzieści minut, jak w zegarku. Teraz maszyna linowa jest obsługiwana elektrycznie, ale myślę, że Arthurowi sprawiałoby to przyjemność, to w jego stylu: nie wychylać się, robić swoje, jak mój tata i jego tata. To jeden z powodów, dla których Arthur jest pupilkiem Tridentu. Godny zaufania weteran z długim stażem, który nigdy nie wyszedł przed szereg choćby na pół kroku. Arthur stanowi żywy dowód, że życie na wieży działa. Można to przeżyć, a nawet całkiem nieźle żyć. Każdy latarnik, z którym się zetknąłem, opowiada, że chciałby się od niego uczyć. Traktują go jak Świętego Graala, którego może pewnego dnia będzie im dane dotknąć.

Ale on wcale taki nie jest, kiedy już się wie. Dlatego nie wierzę Helen, choć powtarza, że to był błąd.

– Rak to jest poważna sprawa – mówi Sid, gasząc niedopałek. – Niezła heca. Wiecie, że miałem to trzy razy? Mnie to się kule nie imają. Chyba jest we mnie coś z kota, że tyle mam żyć. Jeszcze herbaty? Dzięki, dwie łyżeczki, nie żałuj słodkiego, stary; tak jest, dwie, w porządku. Nie wiem, po co się bawię w te małe chałturki, no ale cóż, trzeba jakoś zarobić uczciwą pracą. Pokażcie mi kogoś, kto tyle razy miał raka, to naprawdę może człowieka wymęczyć. Psy też dostają raka. Nie miałem pojęcia, ale pies znajomka miał, no ale nie leczyli go ani nic, bo to pies, więc zdechł. Gdzie macie trzeciego?

– Trzeciego? – powtarza Arthur.

– No trzeciego latarnika.

– Śpi.

– O tej porze? Jasny gwint, co to, facet ma wakacje?

– Chory jest.

– Trochę chory i od razu się położył do wyra? Słabiak z niego. Powiedzcie mu, że ja trzy razy miałem raka, ciekawe, co on na to powie. Nawet trochę chciałbym znowu dostać. To już dla mnie taka gra. Wygląda na to, że wygrywam, no to jeszcze jedno rozdanie i zobaczymy, ile razy dam radę zgarnąć pulę. Te szpitale to ciężka przeprawa. Mówią, że jestem jak zaraza, ciągle do nich wracam.

– Moja matka była z Yorkshire. – To pierwsze słowa, jakie do niego wypowiedziałem.

– Taaa? – Zwraca się do mnie. Srebrne oczy. – A babunia skąd?

– Słucham?

– Nie obchodzi mnie twoja historia rodzinna.

– Strzelałem z tym akcentem.

– No to trafiłeś jak kulą w płot. Mówiłem, że jestem stąd i zowąd. Dzięki temu można się naoglądać wszystkich występów w tym cyrku, co go nazywają życiem. Słyszeliście kiedyś o białym gawronie? Jeden mój znajomek mówi, że raz jednego widział, na Maiden Rock. Na pewno na Maiden, niech skonam, na sto procent. Nie żadna mewa, chłopak się na tym zna, to był biały gawron. Wyszedł sobie na galerię, a ten cholernik pojawia się znikąd i siada koło niego, gapi się tym czarnym ślepiem. Cały był na biało, zajebiście wielki biały gawron.

– Nie widujemy tutaj gawronów – mówi Arthur.

– Tego raz ktoś widział. No ale to było wieki temu, prawda. Mam problem z ptakami, nienawidzę cholerników. Wyglądają jakoś tak prehistorycznie, co nie? Te dzioby, szpony i machanie skrzydłami. Próbowaliście kiedyś pomóc takiemu ptakowi, jak wpadnie w kłopoty? Drze się toto na człowieka, skrzeczy, poważnie, można ducha wyzionąć.

W końcu sprowadzam Sida na dół do generatora. Patrzą na tył jego głowy, kiedy idziemy po schodach – jeden zakręt do oleju, jeden do parafiny, jeden do magazynu. Jego włosy mają dziwaczny kolor, prawie białe, ale nie do końca, i nie jest to siwizna, która przychodzi z wiekiem. W ciemnym zakamarku mojego mózgu drży jakaś znajoma struna, ale ucieka mi, kiedy próbuję do niej sięgnąć.

Mechanik jest tak potężny, że nie wyobrażam sobie, jak mamy się tam zmieścić z tymi wszystkimi akumulatorami i ściśniętą maszyną, ale się mieścimy. Arthur mówi, że mam z nim zostać. Nie chcę. Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy, jakby znał każdą myśl, która kiedykolwiek przemknęła mi przez głowę.

– Co to za szyper?

Sid bierze się do wypuszczania paliwa.

– Że co?

– Szyper, który cię tu przywiózł. Nie znam go.

– Ja też go nie znam, kolego.

- Zwykle przyplýwa Jory. Jego najczęściej tu widzujemy.
 - Najmocniej przepraszam za rozczarowanie. – Na dole jest ciemno, gęsto od cieni. – Pewnie liczyliście na coś ekstra? Bo zaraz Gwiazdka.
 - Czasem się zdarza.
 - Taaa, wy latarnicy to się uważacie za jakichś braci ubogich.
 - Nie powiedziałbym tak.
 - Słyszałem, że dzieciory ze szkoły przysyłają wam prezenty. – Palce Sida poruszają się sprawnie; nie zwraca uwagi na to, co robi, pracuje od niechcenia, jak ktoś, kto miesza w garnku, jednocześnie wisząc na telefonie. – I Kościół też. Nie dowodzicie plutonem w Wietnamie, nie użalajcie się nad sobą za bardzo.
 - Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc.
 - Jak dla mnie to przegięcie. A wiesz, co jeszcze ci powiem, Bill? Zapalenie ścięgien to dopiero jest słabe. Miałeś to kiedyś? No to możesz dziękować losowi. Obudziłem się, a tu cała ręka zajęta, nie mogłem jej ruszyć nawet o kawałek. Nie tylko dłoń, ale nadgarstek też, aż do łokcia, całkiem bez czucia, równie dobrze mógłbym tam mieć worek ziemniaków. Lekarz mi powiedział...
 - Ten od raka?
 - Nie, inny. No i mówi mi ten lekarz: Sidney, masz zapalenie ścięgien. A ja na to, że co mam? On mi na to, że coś tam w środku puchnie i uciska nerw, co idzie do dłoni, no i trzeba czekać, aż się poprawi, bo nic się nie da zrobić. – Wzrusza ramionami, aż trzaska mu w stawach. – Oczywiście nie mogłem pracować i to było najgorsze, chociaż nie takie złe jak rak, to dopiero było coś, ale okazało się, że konował miał rację i zapalenie samo przeszło. Złapało mnie z zaskoczenia. Trochę jak ten biały gawron, co go tu macie.
 - Nie ma tu żadnego białego gawrona.
 - Jak tam sobie chcesz. Mój znajomek wie, co mówi.
 - Jak się nazywa ten znajomy? Może go znam.
- Sid wymontowuje gaźnik.
- Żonę masz, Bill?
 - Tak.
 - Jenny jej było, nie?

– Skąd wiesz, jak ma na imię?

Wykręca komorę pływakową.

– Przypomina mi oślicę.

– Przekażę jej twoje słowa.

– No to jak wam leci? Z Jenny? Słyszałem, że chleje.

Nozdrza wypełnia mi woń paliwa.

– Słucham?

– Chodzą takie ploty. – Patrzy tymi dziwnymi oczami. – Na brzegu znaczy. Ludzie gadają.

– Nie twój zakichany interes.

– Dobrze gadasz. Muszę pilnować tego mojego nochala. Tak mnie to tylko zastanawia, czemu facet i babka chcą ze sobą być przez całe życie, wiesz? Fascynuje mnie to, jak mówią. Sam nie mam starej, jakoś nigdy nie chciałem. Chyba nie ma nic gorszego.

Muszę się odezwać albo go walnę. Otworzyć usta, żeby nie zacisnąć pięści. Mój ojciec mówił: „Ty jesteś tym chłopakiem, którego biją, Bill, a nie tym, który bije”.

– Straszny syf, co nie? – Sid sięga po drucianą szczotkę. – Być tak uwiązanym przez cały czas. Życie długo trwa. Zawracanie dupy, to nie dla mnie. Trochę ze mnie samotnik.

– W tej robocie ma się dużo czasu dla siebie.

– To dobrze ci się trafiło, co, Bill?

Głowa mnie boli.

– Przepraszam – mówi. – Tak mnie to ciekawi. Ludzie przychodzą do mnie z problemami.

– Ja nie mam problemów.

Sid wygląda teraz młodziej niż na górze. Wybiera osad z komory gładkimi dłońmi, nie pasują do mężczyzny, który żyje z pracy rąk. Nie mogę przestać myśleć o jego zębach, które odsłonił w uśmiechu – jaskrawobiałych, o ostrych kłach. Czuję ucisk w piersi, jakbym połknął worek piasku.

– Tak se tłumacz, kolego – odpowiada. – Nie zgadniesz, czego się miałem, zanim zacząłem robić w tym interesie. No strzelaj. Na pewno nie trafisz.

– Nie trafię.

– Dałem ci już odpowiedź. – Czyści dyszę. – Ludzie przychodzili do mnie z problemami. Raz w tygodniu. W niedzielę. O cholera, nie jesteś pobożnisiem, co?

– Byłeś księdzem?

– No co, nie wyglądam na świątobliwego męża?

– Nie.

– Stare dzieje. Podaj mi śrubokręt, co?

– Dlaczego?

– Muszę przykręcić.

– Dlaczego księdzem?

– Powiedziałem ci, żebyś zrzucił, co ci tam leży na sercu.

– Nic mi nie leży na sercu.

Wyciera nos wytatuowanym przedramieniem.

– A co z tym workiem?

– Z jakim workiem?

– Powiedziałeś coś, że czujesz się, jakbyś miał na piersi worek piasku, bo tyle rzeczy chowasz w środku.

Przyglądam mu się. Bliżej.

– Nie kochasz swojej żony Jenny Oślicy, ale naczelnikową byś nie pogardził. – Sid obraca śrubokręt w dłoniach. – Tak jest, nie pogardziłbyś. Kochasz ją od lat, od kiedy tu przyjechałeś i twoja żona zaczęła przy niej wyglądać byle jak. Czujesz do Helen tak dużo, że nawet nie możesz na nią normalnie patrzeć. Nie możesz jej dotknąć, nawet żeby pomóc z zakupami, bo się martwisz, że on zauważy i się zorientuje. No to powiem ci, że on już wie. Wie, czego chcesz, jak bardzo na nią lecisz. Zdziwko? Pewnie, że wie, kretynie. Myślisz sobie, że jest stary i zgrzybiały, co taki dziad może ci zrobić? Wolałbym się nie przekonać. On nie ma nic do stracenia.

– Nie wiem, kto ty jesteś, do cholery...

– Pewnie, że wiesz. Dokładnie wiesz.

Sid stuka opuszką palca wskazującego o opuszkę kciuka. Rozlega się odgłos jakby nawiązania połączenia na starej linii telefonicznej.

– Przegapiłeś swoje okienko z Helen – mówi. – Po tym, co ich spotkało, już się do niczego nie nadaje, co? Nigdy się jej nie poprawi, a ty z nią

wtedy nie byłeś. A on tak.

– Nie mów już nigdy nic o Helen – ostrzegam go. – Nie znasz jej.

– Ty też nie, popaprańcu. Ale ja cię znam. Oj tak, znam was wszystkich. Wystarczająco dobrze, a to prawie jak ucztą. – Wyciera ręce i znowu się uśmiecha, odsłaniając trzonowce. – No dobra, to co dostanę na kolację? Od stu lat nie jadłem porządnego domowego żarła.

VINCE Puk-puk

Osiemnasty dzień na wieży

Ktoś przychodzi do łóżka, ale to nie znaczy, że jest noc. Jest ciemno, ale to nie oznacza nocy. A może faktycznie jest noc, zawsze jest taka szansa. Odłamki wydarzeń i dźwięków należących do prawdziwego świata: para znad kubka z herbatą albo stołówkowy smród ravioli Heinza z puszki. Nie ma dokąd pójść, nie ma gdzie być, można tylko tkwić w tym samym miejscu, żołądek się wywraca, żołądek jak sieć pełna krabów, obawa i oczekiwanie, i powtarzające się dni. W pierdłu widziałem światło dnia przez wąską szparę; nie chcą człowieka rozpieszczać zbyt dużą ilością światła, bo światło to luksus dla kogoś, w czyjej piersi bije czarne serce. Ale kiedy nie było chmur, dostrzegałem gwiazdy, pięć, może sześć, wydawały mi się wtedy najpiękniejsze na świecie, teraz zresztą nadal tak jest. Na górnej pryczy leżał jakiś zbir, chrapał albo drapał się po jajach, a ja gapiłem się na te gwiazdy, dopóki nie usnąłem.

Tamci mają gorzej. Muszą zastąpić mnie na zmianie, a do tego jeszcze po mnie sprzątać. Ja tam jestem przyzwyczajony do srania i rzygania do wiadra. Bill i szef przyzwyczaili się raczej do eleganckiej zastawy i porcelanowych kłopów, czy z czego tam robi się kłopy. Chorowanie tutaj czy w pierdłu – nie ma różnicy.

Wchodzi główny latarnik. Przyklęka, wyjmuje pudełko ze swojej szafki. Słyszę obijające się o siebie kamyki, puk-puk, ciche, chłodne, stałe. Czas płynie.

– Mówiłam ci, że umiem wróżyć z ręki? – zagadnęła mnie Michelle, która właśnie skończyła pracę. Umówiliśmy się na Charing Cross; wyszła

z zatłoczonej stacji, z parasolką przewieszoną przez rękę jak upolowana zwierzyna, pomachała i uśmiechnęła się do mnie. Pomyślałem sobie: jak, do cholery, udało mi się ją zdobyć?

– Chyba nie kręcą cię te pierdoły?

– Co masz na myśli?

– Nieboszczyki. Wiara, że kiedyś już żyłaś.

– Nie wiem, co myślę o tych rzeczach. – Przeszliśmy nad Trafalgar Square. Szare gołębie na szarej kolumnie. – Babcia nauczyła mnie wróżyć z ręki.

– Tak?

– I tarota.

– W sensie tych kart z kozłami do góry nogami?

– Nikt ci nigdy nie wróżył?

– No pewnie, ja pierdolę!

– Mogę ci powróżyc.

Nie powróżyla. Poszliśmy do jej kawalerki przy Stratford Road i się ruchaliśmy. Kiedy obudziłem się rano, trzymała moją dłoń i przyglądała się jej wnętrzu.

– Co tam? – spytałem.

– Nie masz linii losu.

– A powinienem?

Przytaknęła. Stwierdziłem, że o ile mam linię serca, to mi nie przeszkadza. Linię serca akurat masz, przyznała.

Pół sen, pół jawa, tonę w półświecie. Wczoraj słyszałem głos głównego latarnika, rozmawiał przez radio. Na pewno wzywa lekarza, prawda? Arthur się mną zaopiekuje.

Puk-puk.

Kto tam?

Mężczyzna płynie po mnie przez morze. Białe włosy, biała skóra; ociekające wodą stopy na odsadzce, dłonie na szczeblach psich schodków. Jest już przy wejściu do latarni. Teraz przy drzwiach.

Obiecałem Michelle, że to już koniec. W liście przyrzekłem, że nie będzie już więcej awantur. Koniec zagrożenia. Zaufaj mi.

W więźniu siedział taki jeden typek, dużo grał w szachy i to od niego się nauczyłem; mówił, że to jest tak, jakby być jedną z bierek, tych dużych, na przykład konikiem. Kiedy postawi się go na szachownicy, staje się skoczkiem, elementem gry, może zostać wykorzystany na wiele sposobów. Ale kiedy się go zdejmie z planszy, jest po prostu konikiem, nie ma sensu inaczej go nazywać, nie może zostać zablokowany, zбитy ani rozgrywany; w ogóle nie stanowi już części gry.

Raz na jakiś czas trzeba samemu zejść z planszy. Wrócić do tego, kim się jest naprawdę – do autentycznego ja, kiedy jest się samemu i nic się nie udaje. Na latarni morskiej da się to zrobić. Nikt nie ciągnie w jedną stronę ani nie pcha w drugą.

Kiedy po mnie przyjdą, wtedy się przekonam. Z jakiej gliny jestem ulepiony. Na co jestem gotowy.

Moja tajemnica pod zlewem w kuchni. Tak jak główny latarnik z tymi swoimi kamieniami, prywatna przyjemność. Wyobrażam sobie ciężar pistoletu, jego krągłości tak gładkie jak jej.

Od wielu godzin jakbym pływał. Jak przez mgłę rejestruję wejście szefa do sypialni, skrzywienie łóżka i świst zasłanki w głębokiej, bezdennej ciemności, a potem szept:

– Słyszysz mnie, Vince? Już niedługo, wytrzymaj.

Dryfuję w tej ciemności, moje myśli wznoszą się do szczytu wieży, część nieba czy część morza, albo gubię się gdzieś na lądzie, poszukując tego nieznanego, nieosiągalnego światła, czując, że umarłem.

Dzień dziewiętnasty

Wspomnienie – jakiś dzień wśród miliona dni, kiedy skończyły nam się fajki. Poklepywanie kieszeni jak policzka z obwisłą skórą, zrozumienie, że wszystkie już wypaliliśmy, szlag. Trzech latarników uganiania się z jednego piętra na drugie, przeszukują kieszenie kurtek i koszul, każdy zakamarek, w którym można było kiedyś schować awaryjną fajkę na czarną godzinę. Przetrzęsają każde pudełko i puszkę, pamiętając, że kiedyś kumpel mnie poczęstował, a ja schowałem, ale nie pamiętam gdzie. Misja odzyskiwania niedopałków z koszy, wygrzebywania z nich resztek tytoniu i skręcania w coś nadającego się do palenia. Jeden mach albo dwa, ale warto.

W latarni morskiej palenie to coś więcej niż nałóg. Dwie i pół minuty przebywania w czasie, w którym jesteś. Spokojne serce, spokojna dusza. A co potem? Czekanie na przepływającą łódkę, przekazanie zamówienia załodze, ale to może zająć długie dni, godziny rozciągają się bez końca, a morze się z nas natrzęsa, z małych ludzików o małych pragnieniach.

Wtedy Arthur znalazł paczkę. Bill na jego miejscu wziąłby ją dla siebie. Fajki to nie puszki sardynek, nie trzeba się nimi dzielić. Ale szef rozkładał po jednej przy nakryciu każdego z nas – jedna dziennie, po równo dla niego i dla nas, i ta jedna fajka dziennie była wyczekiwana niczym bóstwo. Nasza trójka paląca w milczeniu po kolacji, ciepły trzask papieru, miękkie „cmok” naszych warg. Nic nigdy nie smakowało tak dobrze.

Ze snu wyrywa mnie koszmar, a może to wina pościeli, mokrej od potu, splątanej między nogami. Wspinałem się, potem mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa, spadłem i się obudziłem.

Ktoś jeszcze, puk-puk – rozmowy w tle, w pewnej odległości, nie potrafię stwierdzić, na dole czy na górze, ale jest tu ktoś jeszcze, bo Bill i Arthur używają bardziej eleganckich głosów, mówią wyraźniej zamiast jak zwykle tylko warczeć i bluzgać.

Próbuję usiąść. Plecy odklejają mi się od pomiętego prześcieradła. Krew gwałtownie napływa mi do głowy. Boli. Kładę się z powrotem.

W brzuchu pustka, ale na myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Na myśl o czekoladkach od żony Billa robi mi się niedobrze. Bolą mnie stawy w całym ciele, stawy kuliste, te miejsca, w których okrągłe rzeczy wchodzą w okrągłe dziury. Na podłodze stoi wiadro. Nie wiem, kiedy ostatnio z niego korzystałem ani czy zostało opróżnione.

Sprawdzili lekarza, to na pewno to. Potrzebuję doktora. Ale to nie lekarz, to nikt; śni mi się, że wychodzę na galerię zaczerpnąć świeżego powietrza, pozwolić wiatrowi wywiać ze mnie chorobę, ale nigdy tam nie dotrę, nigdy nie wstanę, dręczy mnie pragnienie, tak jak pragnie się pić, potrzeba, żeby się stąd wydostać, jak woda, którą muszę wypić, bo inaczej umrę. Co jeśli umrę?

Kiedy znowu się budzę, jest lodowato. Ściana jest lodowato wilgotna. Naciągam na siebie pościel i koc, one też są lodowate.

Słone sny, w których brodę po kolana, powlekające mój język gorzkim płynem. Znowu tam jestem, idę, przed sobą widzę blok mieszkalny. Widziałem go nie takim, jaki był w rzeczywistości, ale zmienionym. Skrzywionym. Za mną idzie mój kumpel Reg i inni: nie widziałem ich, ale czułem ich obecność, słyszałem szelest ich kurtek w rytm kroków...

„Wracajmy. Nie róbmy tego”.

Ale sen trwał dalej, jakby tego nie usłyszał, a pies zaczął szczekać. Zobaczyłem jego zęby. Czarne, poznaczone żyłami dziąsła i parch, który się sącył, kiedy zwierzę warczało.

„Krew i sierść, przenikliwy wrzask dziecka i mój przyjaciel w moich ramionach, całkiem zimny”.

Okno sypialni jest nieprzeziernym kwadratem. Myślę o literze M jak mgła.

Trzy głosy.

Potrzebuję wody. Spodziewam się, że pójde do kuchni i zobaczę tam siebie, z pozostałą dwójką, siedzimy przy stole z szefem i Billem, gramy w karty, palimy papierosy i okazuje się, że to swój głos słyszałem, a ta wersja mnie, która stoi, ten, który to myśli, w ogóle nie bierze w tym udziału. Jest niewidzialny. Martwy. Umarł gdzieś w swoich snach.

Ale kiedy schodzę, to nie siebie widzę.

Widzę potężnego faceta o srebrnych włosach.

– Czas najwyższy – mówi Arthur.

Potężny facet o srebrnych włosach nic nie mówi, ale patrzy na mnie i się uśmiecha.

VIII

Przesłuchania, 1973

HELEN

– *Zniosę to. Cokolwiek się okaże. Jeśli nie żyją, zniosę to. Zniosę wszystko, tylko nie niewiedzę. Powiedzielibyście nam, prawda? Gdybyście się dowiedzieli, tobyście nam powiedzieli?*

– *Wiemy, że to dla ciebie bardzo trudna sytuacja, Helen.*

Wolałaby, żeby tak nie mówili. Nie mogli sobie wyobrazić, jak ona się teraz czuła. Myśl, że już nigdy nie zobaczy Arthura, była obca, jak bezdenna przepaść, książka złożona z niezadrukowanych kartek, wypadnięcie z pociągu, schodek, który powinien być w ciemności, ale stopa natrafia na pustkę.

Drugi stycznia. Wtorek rano. Jedenasta czterdzieści pięć.

Zaginęli cztery dni temu. Kiedy Helen widziała Maiden Rock przez okno salonu, ogarniało ją przedziwne wrażenie, jakby patrzyła na samochód jadący bez kierowcy.

– *Ma pani jakiś pogląd na to, co stało się z pani mężem?*

Śledczy siedzieli naprzeciwko niej, doręczyciele złych wieści, żadnych wieści, niczego. Chwilami wydawało jej się to niewiarygodne, niczym jakaś misternie skonstruowana gra stworzona złośliwie czy z nudów, żeby trochę zamieszać w życiu na łądzie, żeby sprawdzić, jak dużo czasu będzie musiało minąć, zanim ci niezgrabni ludzie ich odnajdą, sprytne jaszczurki przyklejone do skały.

– *Nie wiem. To nie ma sensu. Ludzie tak po prostu nie znikają, prawda?*

– *Raczej nie.*

– *Myślicie, że nie żyją.*

– *Jest jeszcze za wcześnie, żeby wyciągać wnioski.*

– *Ale tak myślicie. Może nie? Bo ja tak.*

– *Cofnijmy się nieco, jeśli pani pozwoli. Ostatni komunikat, jaki otrzymaliśmy od Arthura, to odwołanie prośby o przysłanie mechanika do naprawy generatora.*

– *Tak.*

– *Jak pani myśli, dlaczego Arthur odwołał tę prośbę?*

– *Generator został naprawiony.*

– *Ale Trident nikogo nie wysłał.*

– *Widocznie któryś z nich go naprawił. Może Arthur. Albo Bill.*

Mężczyzna zapisywał notatki. Zbyt wiele pytań – marnowanie czasu, kiedy zadają je ludzie, którzy nie mają bladego pojęcia o latarniach, o tym, jaką ma się relację z latarnią morską, kiedy jest się z latarnikiem.

– *Czy Arthur zachowywał się w jakimkolwiek sensie nietypowo, kiedy ostatni raz się widzieliście?*

– *Nie.*

– *Wspominał o jakichś osobach? Pojawiło się jakieś nowe albo nietypowe nazwisko?*

– *Nie wydaje mi się.*

– *Chcemy wykluczyć możliwość, że Arthura i pozostałych zgarnęły z wieży jakieś osoby trzecie. Ktoś z łódki. Czy on zrobiłby coś takiego?*

Helen pokręciła głową. Arthur był rozsądnym pragmatykiem, umysł miał zorganizowany jak katalog. Podczas ich pierwszego wyjścia jako pary podał jej nazwy gwiazd. Nie chodziło o romantyzm, po prostu je znał. Betelgeza. Kasjopeja. Słowa jak marmurki w szklanej misce. Rozkładał zegary na części i składał je z powrotem, żeby się dowiedzieć, jak się rozmontowują i jak działają, podziwiał elegancki mechanizm. Układał puzzle pełne nieba i morza, bo jako latarnik nauczył się dostrzegać szczegóły i różnice w miejscach, gdzie ona widziała tylko szarość. Zawsze uważała, że miał najdoskonalsze ramiona, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny, może dziwny obiekt pożądania, ale tak już miała. Wcześniej spotykała się z mężczyzną praktycznie pozbawionym barków, wyglądał tak, jakby w każdej chwili mogły mu opaść ubrania, niczym koszula na zbyt małym wieszaku. Tymczasem na ramionach Arthura można by spokojnie ustawić dwa ciężkie kosze. W tamtej chwili poczuła, że jest gotowa wyjść za mąż i założyć rodzinę.

– *Czy Arthur miał w ogóle depresję?*

– Jak to „w ogóle”? Albo się ma, albo się nie ma.

– Wspominał, że czuje się przygnębiony? Zauważyła pani u niego brak apetytu? Może spał więcej niż zwykle albo przestał utrzymywać kontakty towarzyskie?

– Arthur nigdy nie był zbyt towarzyski.

– Czyli mógł cierpieć na depresję.

– Nie sądzę. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Helen przypomniało się, jak zaledwie kilka tygodni temu jej mąż stał w tej kuchni, przy kuchence, właśnie tutaj, tuż obok, plecami do niej, i wspomnienie to wydawało się tak bliskie, jakby mogła go dotknąć. Posmarował kromkę chleba dżemem, ją zirytowało, że zamiast od razu zjeść kanapkę, umył nóż i odłożył go na suszarkę, i dopiero potem usiadł. Nic wtedy nie powiedziała, bo długi staż małżeński nauczył ją, że jeśli nie ma się do powiedzenia niczego miłego, to lepiej milczeć. Pod jego nieobecność mogła sobie robić wszystko po swojemu, a kiedy wracał, mogła czuć irytację i nie komentować, bo przez większość czasu na tym właśnie polegało małżeństwo.

– Czy mogę spytać, czym się pani zajmowała, zanim zgłosiliście się do Tridentu?

– Pracowałam w Londynie jako sprzedawczyni.

– To chyba musiała być spora zmiana stylu życia?

– Pewnie tak. Byłam związana z firmą przez ponad pół życia, ale nadal zdarza mi się myśleć o tamtych czasach, o tym, jak inaczej teraz mi się żyje i od jak dawna to trwa.

– Nie przeszkadza pani, że mieszka tu sama? To bardzo odizolowane miejsce.

– Nie myślę o tym zbyt wiele.

– Do Mortehaven jest ile, sześć kilometrów, siedem?

– Arthur mówił, że to trochę tak, jakby Trident nie chciał nas wypuścić.

– Izolacja może szkodzić. Bierzemy pod uwagę, że odbija się nie tylko na pracownikach, lecz także na ich rodzinach. Skoro Arthur miał depresję...

– Nie powiedziałam tego.

– Ale to miałoby sens.

– Dlaczego?

Śledczy obrzucili ją współczującym spojrzeniem.

– *Odosobnienie bywa bardzo destrukcyjne. Zwłaszcza jeśli dana osoba jest w słabszym stanie.*

– *Co państwo sugerują?*

– *Jest za wcześnie na jakiegokolwiek sugestie. Rozważamy różne możliwości.*

Ona już je rozważyła. Bill powiedział Arthurowi. Fałszywie przedstawił uczucia Helen i czas trwania całej sytuacji: uczeń w podkolanówkach wsadzający kij w mrowisko. Na myśl, że Arthur uwierzył w te kłamstwa, coś w niej pękało.

– *Skutki izolacji mogą być poważne. To nie jest naturalny stan człowieka. Słyszała pani może, żeby pan Walker się na to skarżył? Albo pan Bourne?*

– *Nie znam ich za dobrze.*

– *Jako sąsiadka pana Walkera musiała chyba pani go poznać bliżej.*

– *Nie bardzo.*

– *A przyjaźni się pani z jego żoną, panią Jenny? Jak długo tu mieszkają?*

– *Parę lat.*

– *Przez ten czas nigdy nie było żadnych kłótni, konfliktów?*

– *Nie.*

– *Domyślam się, że wzajemnie się panie wspierały.*

Helen wbiła wzrok w ceratę na stole. Dostała ją w zeszłym roku na urodziny od Jenny – łososiowe pejzaże wiejskie z Devonu poprzetykane przepisami na zupy i zapiekanki z sercówek. Jenny była zapaloną kucharką. Przyrządzała tłuste terriny i biszkopty polane melasą; przysmaki, które Bill mógł zabrać na wieżę. Jenny szczyciła się, że jest świetną kucharką, gospodynią i matką – czyli wszystkim, czym Helen nie była.

Kiedy Bill pracował, zapraszała czasem Helen na domowy obiad. Helen niechętnie przyjmowała te zaproszenia. Podczas posiłku rozmawiała z maluchami, podczas gdy Jenny nakładała kolejne chochle jedzenia, obficie polewała wino, a potem sprzątała ze stołu, rozpoczynając dziesiątki dialogów, ale żadnego nie kończąc. Helen zawsze się upierała, żeby pozmywać, i w tym układzie dwóch kobiet przy zlewie – jedna zmywa, druga wyciera, radio mruczy w tle – było coś, co rodziło więź i zaufanie.

„Wybacz mi, Jenny. Byłam samotna, czułam się opuszczona”.

– Oczywiście jako samotna matka pani Walker zostanie zabezpieczona. Pani również, pani Helen. Trident House chce to podkreślić. Niezależnie od wszystkiego zaopiekujemy się paniami.

– Może nie będzie to konieczne. Mogą przecież jeszcze wrócić.

Ale to już się stało. W sobotę rano, kiedy ludzie z Tridenta podjechali dwoma vauxhallami victor, sunąc wolno krętą dróżką do osiedla domków. Jenny z dziećmi czekała na powrót Billa. Funkcjonariusze podeszli do drzwi i Helen, która obserwowała ich okno, od razu się domyśliła. Szttywne ramiona, schylone głowy, czapki zdjęte sumiennie w chwili otwarcia drzwi. Jenny osunęła się na próg.

Helen wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek czuje, że ulatuje z niego całe życie, ale jeszcze nigdy nie widziała tego u innej osoby. Przekonała się, że nie może tego zobaczyć, bo ból Jenny zmusił ją, żeby w ostatniej chwili odwróciła wzrok, jak kiedy mija się miejsce wypadku i czuje, że powinno się zapewnić ofiarom prywatność.

Bill musiał dostać zawału, pomyślała, albo wyleciał za burtę łodzi i utonął. Bez problemu przyjęła taką wersję. Pierwszą, samolubną emocją, jaka ją ogarnęła, była ulga.

Kiedy funkcjonariusze spojrzeli w stronę jej domku, nastąpiła chwila, w której wszystko wokół niej zamarło: tykanie zegara, szum lodówki, bulgot gotującej się wody w czajniku. Potem, kiedy jej powiedziano, jakaś część niej zaczęła się zastanawiać, czy ściągnęła to myślami, pragnęła jakiejś zmiany i ta oto nastąpiła.

– Wszystko w porządku? Możemy kontynuować?

– Przepraszam na chwilę, muszę się przewietrzyć.

Na zewnątrz zawodził wiatr, brązowe morze burzyło się w drobne falki i pienne białe grzywacze. Po niebie sunęły chmury. Helen nie miała na sobie kurtki, ale dojmujące zimno, wiatr szarpiący sukienkę zdawały się czymś koniecznym. Na horyzoncie dostrzegła pionowy zarys Maiden, obecnie obsadzonej załogą awaryjną. Trident uznał, że zakwaterowanie ich w miejscu, skąd dało się dostrzec kawałek tej paskudnej latarni, pozwoli im poczuć się bliżej mężów, ale to tylko pogarszało sprawę. Bo mężowie nie widzieli ich. Z punktu widzenia Arthura życie na brzegu przestawało istnieć, ale ona ciągle mogła na niego patrzeć i sprawiało jej to ból każdego dnia. Wolałaby nie widzieć jej wcale.

Wróć do mnie, pomyślała.

Wieża patrzyła jej w twarz, nieugięta. Wszystkie wieże są dumne, ale Maiden szczególnie. Chełpiła się, że odebrała jej Arthura. To była jego kryjówka, z dala od niej, a Maiden się to podobało. Helen myślała o kamieniach, które zbierał, stacjonując na wyspach, uważnie notował podobieństwa i różnice, a ona chciała go uderzyć i wrzasnąć: Spójrz na mnie, idioto, to na mnie patrz; nie widzisz, jak bardzo cię potrzebuję?

Nie pamiętała, kiedy zaczęła go kochać, bo miała wrażenie, że kochała go przez całe swoje życie, nie dało się wyodrębnić początku ani końca. W końcu jednak to Maiden, sama latarnia, zaoferowała mu ukojenie, którego ona nie potrafiła mu dać. Po trudnym doświadczeniu, któremu próbowali wspólnie stawić czoło, ale jej już potem nic nie zostało.

Łzy, choć gorące, zamarzały jej w oczach. Powtarzała sobie, że przeżyła gorsze rzeczy, ale w tej cichej chwili szloch wcale tak nie czuła.

Próby wytłumaczenia tego tamtym ludziom w środku nie miały żadnego sensu. Jak mogliby dostrzec fundamentalny żal, jaki miała do męża, gorzki wyrzut, którego nigdy nie udało jej się ubrać w słowa, żeby z nim porozmawiać, bo jego milczenie jeszcze silniej by ją zakneblowało. Że nie tylko ona się rozglądała. Że była inna kobieta. Miłość, z którą nie miała szans konkurować, której nie dorastała do pięt. Która zabrała jej Arthura, o której myślał, kiedy byli razem, i tęsknił do niej, kiedy się dotykali.

JENNY

– *Zaproponowałabym herbatę, ale nie mam mleka. A nie mogę iść do sklepu, bo nie zamierzam opuszczać tego domu ani na chwilę, dopóki Bill nie wróci. Nie wyjdę, dopóki on nie stanie w drzwiach i przekonamy się, że to wszystko wielka pomyłka, bo on lada chwila wróci do domu, mówię wam, a ja muszę tu na niego czekać.*

Jenny opadła plecami na oparcie i próbowała opanować drżenie. Przesłuchanie nie odpowiadało jej wyobrażeniom, zbudowanym na bazie seriali kryminalnych. Przede wszystkim nie byli w komisariacie. Siedzieli w jej domu, w Kapitanie, w powietrzu unosił się nikły zapach pasztecików. Przez cały poranek patrzyła, jak obcy ludzie wchodzą do domku, granice zwykle oddzielające prywatne od publicznego – drzwi frontowe, próg jej sypialni – zostały nonszalancko przekroczone. Śledczy okazywali współczucie, ale uznali, że wypada w takiej chwili jeść, że można wnieść do jej domu szeleszczące papierowe gniazda upstrzone okruchami ciasta i kawałkami gorącego mięsa.

– *Dziękujemy, że zgodziłaś się z nami porozmawiać, Jenny.*

Mały zaczął płakać. Jej siostra przebiegła szybko przez hol, żeby się nim zająć. Otworzyły się drzwi wejściowe. Wzdrygnęła się: to Bill. Nie, to nie on.

– *Nie mam nic przeciwko rozmawianiu z wami, tylko przestańcie się zachowywać, jakby on odszedł. Jakby nie żył. On nie umarł. Po prostu musimy jeszcze trochę dłużej poczekać, to wszystko.*

Papierowe serpentyny zwisały smętnie pod sufitem w salonie, zmęczone zmuszaniem się do uśmiechu od dwunastego grudnia. Aniołek na czubku choinki przymknął jedno oko, nie chciał patrzeć. Pokłócili się, bo on nie chciał aniołka, chciał gwiazdę, a ona na niego naskoczyła, bo wiecznie ją

tylko krytykował, cokolwiek zrobiła, jakkolwiek mocno się starała, czy on nie mógł po prostu jej ustąpić? Wiedział, jak ważne jest dla niej Boże Narodzenie. Jenny dekorowała dom każdego roku, nieważne, czy Bill był na miejscu. W poranek pierwszego dnia świąt wyobrażała go sobie na Maiden z kartkami i prezentami, które zapakowała w listopadzie, gotowymi, by je otworzyć. Dzieci wyśpiewywały kolędy na cały głos, stojąc na stole w ogródku, żeby tata usłyszał. Jeśli wiatr wiał w dobrą stronę, to może się udawało.

– *Jak pani myśli, gdzie jest Bill?*

Mężczyzna mówił głosem łagodnym, jakby zamierzał zrobić jej coś, co będzie bolało.

– *Myślę, że siedzi teraz na jakiejś łódce, cały, zdrowy i bezpieczny.*

– *W przypadku zaginięcia pierwsza doba jest krytyczna. Właśnie minęła czwarta...*

– *On żyje.*

– *Sądzi pani, że mąż i jego koledzy uciekli z wieży?*

– *Tak. Coś tam weszło i ich zabrało.*

– *Na przykład ta osoba, o której wspomina Mike Senner?*

Kobieta miała okrągłą twarz i ciężkie powieki, a do tego wyglądała jednocześnie na czujną i znudzoną, jak sowa w minizoo, na której goście nie robią już żadnego wrażenia.

– *Tam była zła atmosfera. Bill często o tym wspominał.*

– *Nie dogadywali się we trzech?*

– *Nie, to była kwestia samego miejsca. Jakby wydarzyły się tam złe rzeczy.*

– *Bill zrobił coś złego? Czy któryś z pozostałych?*

Jenny przełknęła ślinę. Bolało ją gardło. Wszyscy zakładali, że Mike Senner kłamie, może faktycznie. Wszyscy wiedzieli, że Mike lubi konfabulować, żeby zwrócić na siebie uwagę, a zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nikt nie mógł przybić do Maiden Rock bez wiedzy Tridentu. Ale wydawał się przekonany o swojej racji. Przysięgał, że on widział ich jako ostatni. Bill mu powiedział, że przyplłynął do nich jakiś człowiek. Czy to nie było ważne? Nie miało żadnego znaczenia?

Jeśli przyzna, że wierzy w historię Mike'a, zwróci na siebie uwagę. Zaczną jej grzebać w szafkach, w śmieciach. W rachunkach za chemię gospodarczą.

– *Nie o to mi chodzi. Czasem coś może utknąć. Zostać uwięzione. W latarni jest ciasno, nie dość miejsca. Wszystko na kupie.*

– *Mówi pani o duchach?*

– *Nie w sensie białego prześcieradła z dziurami na oczy. Tak jak mówiłam, to kwestia atmosfery, złej atmosfery. Niektóre latarnie tak mają. Spójrzcie choćby na Smalls.*

– *Smalls? O co chodzi?*

Bill opowiadał jej, co w ubiegłym wieku wydarzyło się na latarni Smalls, przy wybrzeżu Walii. W tamtych czasach stacje obsługiwało na cztery ręce, było tylko dwóch latarników naraz, no i po kilku tygodniach od zmiany jeden zginął w wypadku. Wszyscy widzieli, że tamta dwójka się nie dogaduje, więc ten, który został, obawiał się, że jeśli pozbędzie się ciała, ktoś zarzuci mu morderstwo. Postanowił więc siedzieć spokojnie i czekać na kolejną łódkę z dostawą. Problem w tym, że po jakimś czasie zrobił się smród nie do wytrzymania. Mógł co najwyżej zbudować trumnę i zwiesić ją z latarny, ale przy pierwszym podmuchu wiatru wieko odskoczyło i gnijące zwłoki wisiały, majtając rękami na wszystkie strony. Każdy poryw wiatru sprawiał, że ramię nieboszczyka uderzało w szczyt wieży.

Bill mówił, że musiało to wyglądać tak, jakby tamten człowiek kogoś przywoływał. Martwy namawiający żywego, żeby do niego dołączył, „no chodź”. Latarnikowi zaczęło to oddziaływać na psychikę. Postradał zmysły. Statki mijaly latarnię w zwykłej odległości; widziały, że ktoś macha, ale nie wyglądało na to, żeby działo się coś złego, więc nie podpływały. W końcu latarnik, który przeżył, skończył gorzej niż ten zmarły. Dzień i noc musiał słuchać stukania w okno, dobijania się, żeby otworzyć. Kiedy w końcu wrócił na ląd, był wrakiem człowieka, dręczonym przez nocne koszmary i upiorny świst wiatru.

Sowa usiadła jakby nieco prościej, ale na jej twarzy utrzymywał się ten sam nijaki łagodny wyraz.

– *Ciekawa historia.*

– *Dla pani to po prostu jakaś historyjka?*

Jenny musiała wyglądać jak wariatka – włosy nieczesane od soboty, wczorajsze ubranie, zresztą miała na sobie koszulę Billa. Pachniała nim. Korą i potem.

– *Pani sąsiadka Helen twierdzi, że utonęli.*

– *Nie dziwi mnie to. To kłamczucha. Przekonacie się.*

– *Kłamczucha?*

– *Skandal, że powiedziała coś takiego. Jest żoną głównego latarnika, powinna być lojalna. A ona opowiada takie rzeczy, jakby nasi chłopcy nie wiedzieli, co robią. Kiedy Bill wróci, ucieszy się, że nie straciłam do niego zaufania, nie zwałałam winy na jego nieudolność.*

– *Z rozmowy z Helen wywnioskowaliśmy, że w domkach panuje przyjazna atmosfera.*

– *Panowała.*

– *Panowała?*

– *Będzie pani powtarzać każde moje słowo, do cholery?*

– *Dwa zegary na wieży się zatrzymały. Oba za kwadrans dziewiąta. Czy ta godzina miała jakieś szczególne znaczenie dla Billa?*

– *Nie.*

– *Dla kogoś z was?*

– *Nie.*

– *Nie wie pani? Czy nie miała?*

– *Nie wiem. I to, i to. Ani jedno, ani drugie.*

– *Helen sugeruje, że baterie się wyczerpały.*

– *A wyczerpały się?*

Kobieta raczyła przynajmniej nieco się spieszyć.

– *Niestety, nie mieliśmy możliwości tego zweryfikować. Baterie były na swoim miejscu, ale niewykluczone, że włożono je na odwrót. Ekipa poszukiwawcza wymieniła baterie, więc nie dało się tego sprawdzić.*

W głowie mignął jej widok Billa miotającego się w falach. Nie potrafił pływać.

– *Coś było z nimi w tej latarni. Zanim powie pani, że to obłąd, to chciałabym zauważyć, że nie bardziej szalone niż twierdzenie, że dwa sprawne zegary zepsuły się dokładnie w tej samej minucie.*

– *Jest też możliwe, że zatrzymał je któryś z latarników.*

– *A po co miałyby to robić?*

Rozległo się pukanie do drzwi. Asystent sowy przyniósł dwa kubki brązowej cieczy przypominającej cienki sos pieczeniowy podawany w restauracji w Mortehaven. Jenny miała wspomnienie stamtąd jeszcze sprzed ślubu, Bill zabrał ją raz na kolację w swoim najlepszym garniturze.

Od zapachu kawy zrobiło jej się niedobrze.

– *Przepraszam, muszę do łazienki.*

Potem w holu spotkała Carol, która chciała dać jej małego do potrzymania, ale ona nie chciała. Nie chciała, żeby dotykał ją ktokolwiek poza Billem.

Po powrocie do salonu zastała niezmienną scenę. Już do końca życia z tym będzie jej się kojarzyć Gwiazdka – śledczy, paszteciki, papierowe dzwonki i łysiejaca choinka. Hannah i Julia były u koleżanki, ale nie mogła trzymać ich tam wiecznie, wkrótce będzie musiała im wszystko wyjaśnić. Siedmiolatka i dwulatka, zrozumieją ogólny sens: że być może już nigdy nie zobaczą ojca. Hannah może zachować jakieś mgliste wspomnienia, ale Julia prawdopodobnie nie. Najmłodszy w ogóle nie będzie go pamiętał.

On wróci.

Jeśli powtórzy tę myśl wystarczająco wiele razy, to może okaże się prawdą.

A jeśli nie? Będzie musiała przeżywać każdy dzień ze świadomością, co zrobiła. Dobrze jej tak. Zasłużyła sobie na stratę.

– *Bierzemy pod uwagę możliwość, że zaplanowali swoje zniknięcie.*

– *To absurdalne. Bill nigdy by mi tego nie zrobił.*

– *A Arthur zrobiłby to Helen?*

– *To zależy.*

– *Od czego?*

– *Nie wiem przecież, co się dzieje między nimi, prawda?*

Mężczyzna pił kawę i skrzętnie notował.

– *Czy pani mąż mówił kiedykolwiek o Vincencie Bournie?*

– *Bill nie lubił rozmawiać o wieży, kiedy był na lądzie.*

– *Niektórym mogłoby przeszkadzać, że Vincent siedział w więzieniu.*

– *Są gorsze rzeczy niż kradzież. Przecież nikomu nie zrobił krzywdy.*

Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę. Potem wymienił spojrzenia z kobietą, która przesunęła wokół krawędzi kubka paznokciem w kolorze pakowanej próżniowo szynki.

– *Poznała pani Vincenta Bourne’a?*

Spotkała go raz, kiedy schodził na ląd w Morte Haven, zmienił go wtedy Frank. Tuż po dwudziestce, patykowaty, okrągłe plecy. W ustach miał papierosa, ledwie widocznego spod okazałych wąsów. Czuła woń jego nadgryzionego przez mole marynarskiego swetra – stęchły, dymny, wilgotny, stary zapach, który zawsze kojarzył jej się z wieżą, bo Bill tak pachniał po powrocie; dopiero po wielu praniach i leżakowaniu koszul w szufladach z saszetkami potpourri zaczynał znowu pachnieć jak dom.

– *Owszem, pan Bourne spędził trochę czasu w więzieniu za drobne kradzieże. Ale ostatni wyrok dostał za znacznie poważniejsze przestępstwo.*

– *Jakie?*

– *Obawiam się, że nie możemy udzielić tej informacji. Takie szczegóły mogą doprowadzić do spekulacji i utrudnić nam dochodzenie.*

– *Szczegóły? Nie wydaje mi się, żeby szczegółem można nazwać popełnioną przez Vince’a zbrodnię, która postawiła Billa w sytuacji zagrożenia.*

– *Nie możemy domniemywać, że przeszłość pana Bourne’a miała jakiś związek z zaginięciem ani że kogokolwiek naraził.*

– *Ale to niewykluczone?*

Wyglądali, jakby było im jej żal. Nie tylko z powodu okoliczności. Naradzali się przez chwilę, a potem jej powiedzieli.

Przyswojenie sobie tej informacji zajęło jej dłuższą chwilę, poczuła się tak, jakby doszła do końca programu w telewizji i zorientowała się, że wszystko źle interpretowała. Prawda o Vincencie Bournie tętniła w niej, falowała niczym flaga na rufie statku, samotny, ostry rozbłysk czerwieni.

Nie tylko ona miała sekret.

PEARL

– *Prawie mnie wykończyła droga tutaj, już nie te lata i nie to zdrowie. Każą mi teraz łykać leki na serce, przeciwzakrzepowe, ale tylko kręci mi się od nich w głowie i ciągle mi zimno jak cholera. No patrzcie, cała się trzęsę! Ręce mam jak duch, widać przez nie na wylot. Tak działa ta cała warfaryna. To już wolałabym znowu dostać udaru.*

– *Napije się pani czegoś, pani Morrell?*

– *Chyba że wiśniówki, tego to nigdy nie odmówię. I nie żadna pani, tylko panna. Wydaje wam się, że takie babsko powinno mieć męża, co?*

– *Nie zastanawiałem się nad tym.*

– *Noo, kiedyś miałam. Ślub, weselicho na czternaście fajerek. A potem delikwent się ulotnił, wyskoczył rano po mleko i już nie wrócił. Tak się mówi, ale w moim przypadku to najprawdziwsza prawda. Nawet nie dał buziaka przed wyjściem. I co, po czymś takim powinnam dalej nosić obrączkę? Po moim trupie. Zostawił mnie samą z bachorem, pięć miesięcy, darło się toto od rana do nocy, bardzo dziękuję za taki interes. Raz go chyba widziałam na stacji benzynowej, w sześćdziesiątym ósmym, tankował auto, a w środku siedziała jakaś dziunia. Mogę zapalić?*

Mężczyzna podsunął jej popielniczkę, z tych eleganckich, z drogiego szkła, jakich można się było spodziewać w takim przybytku. Pearl jeszcze nigdy nie zatrzymywała się w takim hotelu jak The Princess Regent, z olbrzymim łóżkiem, puchowymi poduchami, ustępem w pokoju, no i te śniadania... Jajka na bekonie, wędzone śledzie, naleśniki – odmiana od jej zwyczajowego menu, czyli racuszka z fajką konsumowanych przy oknie kuchennym w wieżowcu z widokiem na samochody pędzące A406.

– *Bardzo nam miło, że zechciała się pani pofatygować.*

- *Bulicie za ten lokal, dopóki nie skończymy, co nie?*
- *Trident House chce zapewnić rodzinom komfort w tym trudnym czasie.*
- *Powtarzacie to jak papuga. Nie chciałabym być w ich butach. Szczerze mówiąc, wcale mnie to wszystko nie zdziwiło. Od początku było wiadomo, że ten chłopak źle skończy. Całe życie nic tylko sprawiał kłopoty, no i nawet po śmierci nic się nie zmieniło. Siedzicie tu teraz i łamiecie sobie łepetyny, ale moim zdaniem tu nie ma żadnych cudów. Wszyscy gadają, jaka to zagadka, ale nic z tych rzeczy. Jak do mnie zadzwonili, to pomyślałam: aha, no to jedziemy z tym koksem.*
- *Jak to?*
- *Spodziewałam się tego. Może nie że tak to zrobi, muszę przyznać, że to bardzo sprytne. Ale spodziewałam się.*
- *Czego konkretnie?*
- *To chyba wasza robota, nie? Ja tam nic nie wiedziałam. Nie miałam zielonego pojęcia, że robił na jakichś cholernych latarniach. Jak wylazł z pierdła, to nawet nie zadzwonił ani do mnie nie zaszedł, niewdzięczny gnojek. Nie wiedziałam, że już nie siedzi. Dopiero jak się okazało, że Erica zna tę jego siksę. Wtedy się dowiedziałśmy.*
- *Vincent ma dziewczynę?*
- *Nic w tym dziwnego.*
- *Jak się nazywa?*
- *Erica wam powie. To moja córka. Chciała ze mną przyjechać, ale jej nie pozwoliłam. Ja tu jestem dorosła. Ja odpowiadam za tego bandziora, czy mi się to podoba, czy nie.*
- *Jak pani zareagowała na wiadomość, że Vincent pracował na latarniach?*
- *Byłam w szoku, że go wzięli, po tym co zrobił. Ale doszłam do wniosku, że pewnie nakłamał. Kłamać to Vinny potrafił.*
- *Trident znał jego przeszłość i uznał za odpowiedniego kandydata.*
- *Ha! No to już koniec świata. Nie przeszkadzało im, za co go skazali? Nie zniechęciło ich to? Bo jak na moje to powinno. Nie obchodzi ich, kogo wpuszczają na te latarnie razem z jakimiś Bogu ducha winnymi chłopami? Żal mi tych chłopaków, naprawdę. To przez mojego siostrzeńca ich nie ma. Dużo mnie kosztowało, żeby to powiedzieć, że to mój siostrzeniec, bo jakbym miała wybór, tobym się zapierała, że on nie ma ze mną nic*

wspólnego, a zwłaszcza krwi. Ale jakbyście zapytali mnie tak z rok temu, jak on skończy, to obstawiałabym właśnie coś takiego.

– Sądzi pani, że Vincent zrobił jakąś krzywdę pozostałym?

– No jasne. Wiedział, co i jak. Nauczył się wszystkiego na ulicy, a potem w pace dokończyli robotę.

– Jak opisałaby pani siostrzeńca? Własnymi słowami.

– No wiadomo, że własnymi, psiakrew, a czyimi? Potwór od urodzenia. Siostra nie dawała sobie z nim rady; już dawno nie żyje. Wpędził ją do grobu.

– Ile lat miał Vincent, kiedy zmarła jego matka?

– Trzydzieści. Tylko zaraz, żebyście go teraz nie zaczęli żałować. Życie nie zawsze usłane jest różami. Im wcześniej się o tym dowiedział, tym lepiej, zwłaszcza że był, jaki był. Ten chłopak to prawdziwy diabeł wcielony. Powiedziałam to Pam, jak tylko go zobaczyłam, z tym dzieciakiem coś jest nie tak, siostra. Miał jakieś dziwne oczy, przysięgam. Kiedy wyrósł z pieluch i zaczął już trochę człapać, to regularnie ją bił. Okładał pięściami. Ciągle miała siniaki i śliwy pod okiem. Walił z bańki, kiedy chciała go podnieść, albo bił i kopał, nigdy nie chciał jeść tego, co mu ugotowała, ani nie spał – ryczał przez całą noc, tak że biedna Pam nie mogła zmrzyć oka. Straciła rozum. Zabierali go i oddawali, i tak w kółko, zaczęło się, jak miał... nie wiem, dwa, trzy lata? W każdym razie już chodził. Przyszła opieka społeczna, Pamelą to wstrząsnęło, ale nie była zdolna się nim zająć. W ogóle nie chciała go urodzić i to jeszcze pogarszało jej sytuację. Ja przynajmniej chciałam Ericę, to znaczy przynajmniej nie miałam nic przeciwko urodzeniu dzieciaka. Pam jakiś czas próbowała sobie dać radę z Vinnym, ale nie mogła już dłużej. Nie z takim szatanem.

– „Zabierali go i oddawali”? Czyli wracał do matki?

– Parę razy. Nie tylko Pam nie mogła sobie z nim poradzić, rodziny zastępcze tak samo. Ciągle go odsyłali, bo im też rozwalał życie. A ja sobie myślałam: dajcie dziewczynie spokój! Powiedziała przecież, że go nie chce, zostawcie ją w świętym spokoju, do jasnej cholery. Tylko jej się pogorszyło.

– Pogorszyło?

– Z prochami. W końcu przedawkowała. Obstawiam, że specjalnie. Nie dziwię się jej. To nie była wina Pameli, tylko jego. I jego ojca.

– A gdzie jest teraz jego ojciec?

– Cholera go wie. Ja mam to gdzieś.
– Nie pomagał wychowywać syna?
– Świetny dowcip! W życiu nie widziałam tego skurwysyna na oczy i niech się cieszy, bo chyba bym go udusiła. Wykręciłabym mu szyję jak indykowi na święta, a potem wepchnęła mu jego własny łeb do dupy. Pam widziała go na oczy raz. Nie zapraszała Vinny’ego na ten świat, rozumiecie?

– Nie do końca.
– Jakiś typek zdybał ją w nocy w ciemnej uliczce i sobie pofolgował. Teraz jaśniej?

– Przykro mi.
– A czemu? Przecież to nie wasza sprawa.

Kobieta zadająca pytania cofnęła się w fotelu. Pewnie sobie ustalili: ty się zajmij tą starą raszplą, dogadacie się jak kobieta z kobietą. Więcej ci powie.

Teraz nachylił się ten drugi, oparł splecione dłonie na stole.
– Dlaczego przygarnęła pani Vincenta po śmierci siostry?
– Siostry trzymają się razem. Jak ostatni raz rozmawiałam z Pam, kazała mi obiecać. Powiedziała: „Pearl, musisz mi przysiąc, że się nim zajmiesz”. Dlatego właśnie podejrzewam, że chciała się zabić. Myślicie, że z dwójką bachorów dostałam jakieś lepsze mieszkanie? Szczerze mówiąc, też na to liczyłam. Wykalkulowałam sobie, że jak wezmę Vinny’ego, to dadzą mi większy dom. No ale okazuje się, że dobre uczynki nie są już tak hojnie nagradzane jak dawniej.

– Kiedy po raz pierwszy go zatrzymano?
– No, wreszcie jakieś sensowne pytanie. Miał chyba ze czternaście, piętnaście lat? Wyścigi samochodowe, takie tam. Dostawał jakieś upomnienia, ostrzeżenia, ale co ja mogłam? Nie panowałam nad nim. Teraz nie żartuję ani nie przesadzam: cieszyłam się, kiedy go zamknęli. Poprawczak to było dla niego świetne miejsce, bo on się nie nadawał do życia w normalnym świecie, a z rodzinami zastępczymi też się nie dogadywał. Jemu widocznie też się to spodobało, bo ciągle tam wracał.

– Jak długo siedział w poprawczaku?
– Za każdym razem po kilka miesięcy. Poza tym ostatnim. Wtedy trochę ponad rok, a ja i tak uważam, że tanio się wykpił. Na przykład taki Glen

mojej koleżanki Rity dostał sześć lat, bo nie skończył instalować jakiejś szpanerskiej łazienki u jakichś nadzianych ludzi na Hampstead Heath. Chyba ich stać, żeby wziąć innego fachowca, skoro mieszkają w wypasionej rezydencji? Nie musieli zaraz robić wielkiej afery.

– Stosował wobec pani przemoc?

– Kto, Glen?

– Vincent.

– Spróbowaliby tylko.

– Czyli nigdy osobiście nie widziała pani, żeby był agresywny?

– Nie musiałam. Widziałam siniaki Pam, no nie?

– Jeśli Vincent zrobił jakąś krzywdę swoim współpracownikom...

– W sensie jeśli ich zabił?

– Jeśli tak, to co sam potem zrobił?

– Mnie nie pytajcie. Ja wiem tylko, jaką Vinny miał ksywkę w pierdlu. Houdini. Kojarzycie go? Ten gość od uciekania. Nazywali go Hairy Houdini, w sensie włochaty, przez te wąsy, paskudny wiecheć pod nosem. Niektórym babeczkom się podoba taka szczecina, ale mnie się robi niedobrze na sam widok. Kiedy zobaczyłam mojego męża wtedy na tamtej stacji benzynowej, to miał taką wielgachną brodę, że można by w niej schować miskę płatków kukurydzianych, a ja popatrzyłam na tę jego dziunię w samochodzie i pomyślałam: możesz go sobie wziąć, kochaniutka.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Pearl zapaliła kolejnego rothmansa.

– A Houdini to od tych wszystkich ucieczek, które planował. Jak na chłopaka bez szkoły ma całkiem tęgi łeb. W sumie nie wiadomo, kim był ten jego ojciec... Zakładałyśmy, że to jakiś męt, ale może wcale nie, może był z elity, po jakiejś drogiej szkole, mieszkał w wielkim domu i tylko raz mu się zachciało zapuścić do gorszej dzielnicy, no i trafiło na Pam. Wiecie, do czego się to wszystko sprowadza? Do arogancji. Jaki ojciec, taki syn, psiakrew. Vinny zawsze powtarzał, że połowa sukcesu to talent, a druga połowa to wiara, że jest się najlepszym, i umiejętność przekonania innych, że tak jest. Po prostu oszustwo. Vinny jest oszustem. Z wszystkiego potrafi się wykręcić. Mógł uciec z tej latarni. Znalazłby jakiś sposób. Potrafiłby tak to załatwić, żeby wszyscy uwierzyli dokładnie w to, co chciał. Żebyśmy wszyscy myśleli, że było inaczej niż w rzeczywistości. Za nic nie uwierzę, że Vinny nie żyje.

– W takim razie gdzie on jest?

– No tego to ja nie wiem. To sprawa między tamtą trójką, nikim więcej. Ale Vinny miał swoich ludzi, którzy mogli mu pomóc i zatuszować sprawę, żeby wydawało się, że wydarzyło się jedno, podczas gdy stało się coś zupełnie innego.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Weźmy na przykład tego chłopaka, co tam z nimi był. Tego mechanika.

Uśmiech spelzł z jego ust.

– Nie było żadnego mechanika.

– Tamten rybak twierdził, że był.

– Zeznania Mike'a Sennera są niewiarygodne i w związku z tym nie powinny być brane pod uwagę w toku dochodzenia.

– Kto tak powiedział?

– Trident House. Wszyscy śledczy pracujący nad tą sprawą.

– Jasny gwint, wy w ogóle nie macie rozeznania, co?

– To kwestia zdrowego rozsądku, panno Morrell. Nie można sobie tak po prostu przypląć na latarnię Maiden Rock, zwłaszcza w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. Firma monitoruje wszystko, co dzieje się na wieżach.

– No właśnie nie wiedzą, co się wydarzyło na tej wieży.

– Nie zamierzamy marnować czasu i innych zasobów z powodu niewiarygodnego świadka.

– A jeśli ma rację?

– Nie wysłano żadnego mechanika. Żadna łódź nie wypłynęła z portu. Nie wynajęto żadnego szypra. Nikt nie widział tego osobnika, ani w Mortehaven, ani nigdzie indziej.

– U mnie nie szukajcie odpowiedzi. Podobno to wy powinniście ich udzielać. Zresztą to pewnie i tak nie ma znaczenia, wszystko potwierdza moją wersję. Ten mechanik, czy kim on tam był, to musiał być jakiś znajomek Vinny'ego. I gdybym miała serducho w trochę lepszym stanie, to może nawet znalazłabym w nim kawałek miejsca dla tego mojego pożałuj Boże siostrzeńca. Cholernie dziwaczna sprawa, co? Przed moim przyjazdem tutaj Erica mi powiedziała, że Vinny miał tylko jedno marzenie w życiu: żeby odciąć się od wszystkich, którzy go znali, postawić grubą

kreskę i zacząć od nowa, gdzieś, gdzie za każdym rogiem nie będą się czaić te same twarze. Vinny powtarzał, że któregoś dnia ucieknie. No i patrzcie państwo! Gnojek jak powiedział, tak zrobił.

IX

1972

ARTHUR Maszyny

Helen!

Widziałem go dzisiaj. Myślisz, że nigdy nic Ci nie mówię. Wiem, jaką masz minę, kiedy to czytasz. Dlatego nie mówię Ci wszystkiego.

Czasami przypominam sobie mojego ojca. Udręczonego bombami i wybuchami. Kiedy patrzę w lustro, widzę trupa. Krzyki w nocnej ciemności. Moja głowa roztrzaskana na kawałki.

Trzydziesty ósmy dzień na wieży

Mgła nie odpuszcza, jak szmata wepchnięta do ust. Vince wstaje z łóżka trochę po piątej.

– Kto to jest? – pyta Vince.

– Nie wiesz, koleżko? – Sid na to. – Nie wysłali mnie tutaj dla rozrywki.

Vince wygląda na bardzo osłabionego. Radzę mu, żeby coś zjadł, ale mówi, że nie może, że zaraz znowu wyrzyga. Mimo to kroję mu kromkę chleba, masło nam się skończyło, więc smaruję tłuszczem wytopionym trzy tygodnie temu z pieczeni wołowej.

Bill pali jednego za drugim. Na stole przed sobą ma swoje wiertelko i muszlę, ale nie zajmuje się nią. Ostrze wiertelka jest cienkie i ostre.

Po południu zastałem go w sypialni, jak przetrzepywał spodnie, które od niego pożyczyłem i odłożyłem na miejsce, wywracał kieszenie na lewą stronę.

– Szukasz czegoś?

– Nie, niczego.

Wepchnął spodnie z powrotem do szafki, przecisnął się obok mnie i zszedł po schodach.

Czy tak by się zachowywał, gdybym ich przyłapał? Rozgorączkowany, na gorącym uczynku.

Vince opada na krzesło.

– Jaki dziś jest dzień?

Nie wiem, jaki jest dzień. Tylko tyle, że dwa wschody księżyca temu widziałem twoją łódź: statek z podartym żaglem i machającą dłoń. Płyniesz po mnie. Dlatego wycofałem zgłoszenie awarii. Nie chciałem, żeby się wtrącali, żeby przysłali tu kogoś, kto mógłby cię wystraszyć.

Sid wypuszcza strumień dymu. Mierzy Vince'a chłodnym, nieruchomym, gadzim spojrzeniem.

– Przypominasz mi trochę takiego jednego znajomka – mówi. – Nie masz przypadkiem rodziny na północy?

– Nie – odpowiada Vince, skubiąc chleb.

– Może gdzie indziej cię widziałem.

Vince się wzdryga.

– Nic nie widzę – skarży się. – Ledwie widzę wasze twarze.

– Jedz – mówię. – A potem wracaj do łóżka.

– Potrzebuję wiaderko.

– Przyniosę ci.

– Na rzygi.

– Wiem.

Kolacja. Nieznajomy przygląda mi się znad swojego talerza, oczy ma srebrnobłękitne jak warstewka lodu na przedniej szybie samochodu w styczniu.

Sid przypłynął o pierwszym wschodzie słońca po tym, jak zobaczyłem twoją łódź. Dwie rzeczy wydarzające się w tym samym czasie, niezależne od siebie, a jednak powiązane – jest o tym książka, *Zderzenie bytów*. Czytałem ją w laternie w piękny wiosenny dzień, kiedy poranne słońce załamywało się w soczewkach, tak jasne, że światło zmieniało barwę, fioletowe, zielone, pomarańczowe, różowe, psychodeliczny kalejdoskop. To może zająć dni, lata, tysiąclecia: krzyk gwiazdy odebrany na Ziemi całe eony później. Nikomu o tobie nie mówiłem. Jesteś nieśmiały, musisz mi zaufać. Ufałeś mi? Zawiodłem cię.

Chcę ci powiedzieć, że mi przykro.

– Kto gotował? – pyta Sid.

Odkładam razem nóż i widelec, równo, tak żeby końcówki były na jednej linii.

– Ja.

– Przydałoby się trochę bardziej napowietrzyć ciasto. Mało puszysta ta ropucha ³.

– Przecież ropucha to kielbaska.

– Wcale że nie. Ropucha to ciasto.

– Robi się otwory w cieście i wkłada do nich kielbaski.

– To kielbaski wyglądają jak dziury. Dlatego tak to się nazywa.

– To i tak z puszeki – wtrąca się Bill. – Wszystko jedno, co się jak nazywa.

Bill zabiera talerz, żeby iść do laterny, bo musi obsługiwać działko przeciwmgielne. Zaciska mocno usta. Może zaraził się od Vince'a. Nagle przechodzi mi przez myśl, że wszyscy to złapiemy i nie dożyjemy do rana.

Sid zjada kolejny kawałek. Słyszę mlaskanie jego języka na żółtym cieście naleśnikowym. Po wyjściu Billa ktoś mówi:

– On się mnie boi.

Kto to powiedział? Ja czy Sid?

– Zatrucie pokarmowe. – Nieznajomy wyciera palce w ręcznik papierowy. – Ten trzeci z was. Zjadł coś, czego nie powinien.

– Co?

– Te czekoladki miały być dla Billa. Ale Bill ich nie zjadł.

Uśmiecha się i jakaś myśl wpada na swoje miejsce. Bystra i jedwabista, jak wydra przy brzegu rzeki.

– Domyśl się – mówi Sid. – Chociaż w sumie już wszystko sobie poukładałeś, stary wiarusie, co? W końcu łeb masz jak sklep. Smutno będzie, jak nie będą już potrzebowali takich latarników. Co ty wtedy zrobisz? Trzydzieści lat to szmat czasu dla faceta, który nie ma w życiu nic poza ładną żoną. Pewno się czasem zastanawiasz, co byś bez niej zrobił.

Patrząc na niego to jakby stanąć na krawędzi. Jakby wejść do pokoju, w którym nie powinno mnie być. Nie mogę odzobaczyć tego, co pokazują

mi moje oczy. Ogarnia nas mrok, wsącza się w nas, wpycha szmatę coraz ciaśniej.

– Kto ty jesteś?

W ciszy rozlegają się rytmiczne huki z laterny, samotny zew armatki przeciwmgielnej, niczym jęki wielorybów komunikujących się przez zwały czarnej wody. Pytania niosące się echem, bez odpowiedzi.

– Rano mnie już nie będzie, kolego. Nic się nie martw. – Potem spogląda na zegar na ścianie. – Za piętnaście dziewiąta. Czas do spania.

– Za piętnaście dziewiąta – powtarzam.

– O tej porze się kładę i o tej porze wstaję. – Nachyla się bliżej. Te zęby. – Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Dzień w dzień, początek dnia i koniec. Dzięki temu nie muszę w ogóle się nad tym zastanawiać.

Kiedy o północy wychodzę na laternę, Bill siedzi na stanowisku z kciukiem na spuście. Głowę ma zwieszoną na pierś. Nie słyszy, że przyszedłem, więc mogę podejść bardzo blisko, stoję tuż za nim, tak że widzę różowy pasek skóry za uszami, którego dotykały palce Helen. Chcę go zapytać, czy naprawdę myślał, że ujdzie mu to na sucho.

Wypełnia mnie krew; wypełnia moje narządy, serce, żyły, jestem workiem krwi.

– Bill.

Wzdryga się. Rozlega się huk mimowolnie odpalonego działka.

BURRRRRRRRR.

– Szlag. Co jest?

– Usnąłeś.

– Przepraszam.

– O kant dupy potłuc takiego latarnika, co usypia na zmianie.

Mógłbym go teraz złapać. Ale jesteś ty.

– Która godzina?

Wstaje. Prawie się przewraca. Jest do niczego, jak kret wygrzebujący się z kopca.

– Coś się stało? Jesteś biały jak śmierć, Bill.

Nie chce patrzeć mi w oczy.

– Zmęczony jestem.

– Nie przejmuj się, niedługo masz wolne. Pierwszy z nas trzech wracasz na ląd, pewnie już się nie możesz doczekać, co? Przekaż Helen, że niedługo się z nią zobaczę, dobrze? Powiedz jej to ode mnie.

Widzę, że w tej chwili zastanawia się, czy nie powiedzieć mi prawdy, prawie otwiera usta, żeby wymówić te słowa, tak niemożliwe do wypowiedzenia, a które tak łatwo można by powiedzieć.

– No weź, Arthur – mówi, a ja nie wiem, czego ode mnie oczekuje.

– Spieprzaj na dół.

Wychodzi posłusznie. Pstryknięciem wyrzucam papierosa.

Trzydziesty dziewiąty dzień na wieży

O drugiej w nocy robię przegląd, sprawdzam palnik, przeładowuję działko, zapisuję widzialność i kierunek wiatru – jestem pewny, że wieje ze wschodu-południowego wschodu, ale na wszelki wypadek korzystam też z kompasu. Na początku, kiedy wstąpiłem do służby, podobał mi się ten powrót do dawnych zwyczajów i umiejętności, które przydają się w życiu. Uczyliśmy się na przykład, jak założyć drzwi, jak przyszyć guzik, naprawić coś z elektryki, ugotować posiłek czy rozpałcić ogień. To wszystko warto wiedzieć, ale faceci na lądzie nie potrafią połowy z tych rzeczy, zwłaszcza tego szycia i gotowania. Potem mieliśmy szkolenie z oświetlenia, jak działa i co zrobić w przypadku awarii. Uderzyło mnie, jakie to wszystko było pomocne i przydatne – żadnej próżności, egoizmu, materializmu, wszystkiego, co zbędne. Czułem, że gdybym musiał kiedyś żyć sam, poradziłbym sobie bez większego trudu. Helen nigdy nie uważała, że jej rolę na tym świecie jest zajmowanie się mną, że na kobiecie choćby w najmniejszym stopniu ciąży taki obowiązek, to wbrew jej naturze, ale jednocześnie wcale nie mam pewności, czy podoba jej się, że nie jest mi potrzebna w żadnych sprawach praktycznych.

Szkoda, że nie wie, jak bardzo jej potrzebuję w wielu innych sprawach.

Sprawach niewidocznych, ale niezwykle ważnych.

Miałem tyle lat, żeby jej powiedzieć, a jednak tego nie zrobiłem. Dlaczego? Gdyby tu była, mógłbym powiedzieć jej te wszystkie rzeczy, których nie potrafię z siebie wydusić na lądzie. „Przepraszam” i „wszystko będzie dobrze”, i „gdybyśmy tylko mogli wrócić do początku”.

Martwię się, co będzie, kiedy latarnicy przestaną być potrzebni. Kim jestem bez latarni, bez tego świata, bez mojej żony? Kiedy nastąpi

automatyzacja, powymieramy. Słyszałem, że to już zaczyna się dziać, w różnych częściach kraju zaczynają się szykować – postęp, mówią, zresztą na Godrevy działa to już od wojny. Wkrótce – wolę nie myśleć kiedy – moją pracę będzie wykonywała maszyna. Maszyna nie będzie potrzebowała wieży, tak jak ja jej potrzebuję; nie będzie jej kochała, tak jak ja ją Kocham. Technologia może włączyć światło i odpalić działko przeciwmgielne, ale nie może opiekować się latarnią, a latarnie morskie wymagają troski – zarówno fizycznej, jak i duchowej. Wieża będzie pusta, pogrążona w żałobie po atmosferze braterstwa minionych dekad, po wypalanych w kuchni papierosach, wspólnym oglądaniu telewizji, po przyjaźni i zaufaniu, które niegdyś w niej kwitły, a mężczyzna już nigdy nie będzie miał tego miejsca dla siebie.

Później, znacznie później, jakiś czas po mojej zmianie, głęboka noc przelewa się w szarówkę świtu. W sypialni źle oceniam odległość od drzwi do rury na środku i objam się biodrem. Vince chrapie. Jest za długi na koję, więc stopy sterczą mu po skosie, wzdrygając się od czasu do czasu niczym skrzydło zranionej rybitwy, która leży na plaży i próbuje wzbić się do lotu. Przyciskam dłoń do jego czoła. Chrapanie momentalnie milknie. Vince otwiera oko, mokry błysk, jak u fokii.

Za oknem, całe kilometry stąd, morze wysycha i góruje ląd.

Migocze tam jakieś światło, a może to na wodzie?

Budowniczo wież dopilnowali, żeby z sypialni było widać wybrzeże. Kiedy latarnik kładzie się do łóżka, jego umysł rzuca snop światła na dom i tak właśnie ma być, oni nie chcą, żeby przychodziły nam do głowy jakieś głupie myśli o otaczającym nas morzu, tak cichym i głębokim, że bezpieczniej tego nie wiedzieć. Kiedy latarnik leży w łóżku, wspomnienia zaczynają go przerastać, przytłaczać, potrzebuje lądu, pewności, że ziemia nadal tam jest, tak jak dziecko nasłuchuje kroków ojca w środku ciemnej nocy.

Wszyscy jesteśmy przywiązani do lądu, od kiedy wyczołgaliśmy się z wody jako oślizgłe istoty o niemożliwych do wymówienia nazwach, których płetwy pierwszy raz zatrzepotały na piasku, a skrzela próbowały gwałtownie łapać powietrze.

Światło na brzegu drga nieśmiało, a potem nagle rozjaśnia się, skrzy, domaga się uwagi i już wiem, że to ty. Wiem, że tam jesteś i do mnie

mówisz. Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Co muszę zrobić.

Czuję zapach twoich włosów i miękki łuk twojego karku, i w końcu, nareszcie zasypiam, właśnie tak, z twoim światłem pod powiekami.

BILL Teczka

Miałem siedem lat, kiedy dowiedziałem się, że ją zabiłem. Mój brat kopnął piłkę do nogi prosto w moją głowę i zawołał: „Nie bądź beksa, Billy, mordercy nie płaczą!”. Kiedy zapytałem starego, co to miało znaczyć, podniósł wzrok znad talerza z jajkami sadzonymi i stwierdził, że właściwie mogę się już dowiedzieć, duży jestem; zarznąłem ją przy porodzie.

„Zarznąłem” – na dźwięk tego słowa w mojej wyobraźni pojawiały się owcze oczy uciekające w tył głowy, skowyt w komorze gazowej, krew bryzgająca na ściany ubojni. Miałem swoje podejrzenia jeszcze przed incydem z piłką. Spojrzenia, którymi obdarzali mnie nauczyciele i rodzice kolegów – pełne litości i obrzydzenia. Wymieniane półgłosem uwagi o jakimś wydarzeniu, jaki ze mnie biedny chłopczyk, jaka ona była miła i dobra, zbyt dobra, żeby zasłużyć na taki bezsensowny koniec. Bezsensowny – jakby moje narodziny nie miały sensu. Prawie półmetrowa fotografia stojąca na kredensie w holu, jak domowa kapliczka. Nikt mi nigdy nie tłumaczył, dlaczego nie mam matki. Mimo to oczekiwano ode mnie, że będę ją kochał, że będzie mi przykro, chociaż nie wiedziałem dlaczego i co takiego zrobiłem, i że zawsze zastanowię się dwa razy, zanim pozwolę sobie się zaśmiać albo z czegoś ucieszyć, bo każda taka chwila była okupiona wysokim kosztem, o którym jednak nie wolno było głośno mówić. Niewypowiedziana sugestia, że stracono nie tę osobę. Że nie byłem tego wart.

Miałem tylko to jedno zdjęcie matki. W takiej formie zapisała się w mojej świadomości przez te wszystkie lata, znieruchomiła w delikatnym półuśmiechu. Nie wiedziałem, jak wyglądała rozgniewana albo smutna, albo rozbawiona do łez jakimś dowcipem – znałem tylko ten wdzięczny,

cierpliwy wzrok, który patrzył na mnie, kiedy wracałem ze szkoły albo kiedy bracia spuścili mi lanie.

Nikt inny mi nie wybaczal. Tylko ona.

Kiedy poznałem Helen Black, przypomniala mi się tamta fotografia. Tyle że w tym wypadku mogłem z nią porozmawiać, dotknąć jej skóry, trzymać za rękę.

Chciałem jej opowiedzieć o wszystkim, co ją ominęło, o karach zadawanych przez mojego ojca, o tym, jak przychodził do mojego pokoju i siadał na łóżku z paskiem w rękę, o tym, że mogłaby mnie ocalić, gdyby tam wtedy była, oświetlona lampą z korytarza za drzwiami. O kuzynce z Dorset i o tym, że nienawidziłem morza, ale wiedziałem, że jest moim przeznaczeniem. O tym, że żeby jakoś usprawiedliwić fakt swojego istnienia, zawsze robiłem to, co mi kazano, nie zadając żadnych pytań. I to właśnie zawiodło mnie na latarnie morskie, wpędziło w życie, z którego nie mogę uciec.

Pięćdziesiąty piąty dzień na wieży

Kiedy budzę się rano, w sypialni jest cicho. Przez szparę w zasłonie sączy się słabe światło. W pokoju nie ma nikogo poza mną.

Sprawdzam górne piętra łóżek. Posłanie przygotowane dla mechanika wygląda, jakby nikt tam nie spał. Vince'a nie ma. Ogarnia mnie panika, jakbym bardzo długo spał i przez ten czas wszyscy poumierali albo zostawili mnie samego.

Trzy dni do powrotu na ląd. Nie będzie już musiała go oszukiwać, ani mnie, ani siebie samej. Teraz Arthur zna prawdę.

„Pewnie, że wie, kretynie”.

Arthur znalazł łańcuszek, który ukradłem z Admirala, kiedyś po południu, kiedy Jenny pojechała do miasta. Jeśli ktoś by spytał, co tam robię, to wpadłem naprawić półkę. Nie zamierzałem niczego zabierać, chciałem tylko powdychać jej zapach – zapach apaszek, perfum, koszuli nocnej. Naszyjnik zniknął ze swojego miejsca w kieszeni spodni, które miałem na sobie, kiedy mnie pocałowała. Tych samych spodni, które sobie pożyczył bez pytania.

„On nie ma nic do stracenia”.

Może zawsze chciałem, żeby Arthur się dowiedział. Wtedy to on sam by to na siebie ściągnął.

Przykucam i grzebię w swojej wnece, szukając fajek. Natrafiam dłonią na delikatną papierową torebkę. W pierwszej chwili jestem zdezorientowany. Dopiero potem do mnie dociera. To czekoladki od mojej żony. Mam wrażenie, że siedzę tu już tak długo. Wyciągam zawiniątko i rozpacza się kwietna, głęboka woń, ale pachną jednak inaczej niż trzy tygodnie temu.

Zastanawiam się, czy się nie poczęstować. Żeby móc ten ostatni raz być z nią uczciwy, powiedzieć szczerze: „Tak, skosztowałem. Bardzo dziękuję, pyszne”.

Schodzę jednak do kuchni i wyrzucam je do śmieci.

Arthur siedzi z książką przy blacie z laminatu.

– Mgła się przetała – mówię, stając przy zlewie i pilnując, żeby trzymać się do niego tyłem. – Gdzie Vince?

– Na górze.

Woda z kranu smakuje solą i glonami.

– Sid?

Arthur mówi, że już odpłynął. Musiał się załapać na jakąś wczesną łódkę.

Zakręcam kurek, ale woda nadal kapie.

– Kto stał na podciągarnie? – pytam.

– Nie ja.

– Czyli Vince.

– Nie.

To wszystko, co główny latarnik ma mi do powiedzenia. Dawny Arthur pociągnąłby temat: o przypląnięciu Sida, który wynurzył się z gęstej mgły, o jego zachowaniu i o tym, co mówił. Nie padły jednak żadne słowa i kurtyna zapadła, zamykając ostatnią sytuację, kiedy dojdzie między nami do porozumienia.

Vince ma przed sobą otwarty dziennik pogodowy. Myślę, że zapyta mnie o Sida, a ja jeszcze nie zdecydowałam, ile powiem, jak daleko się posunę,

ale niepotrzebnie się przejmuję, bo jego uwagę przykuwa coś zupełnie innego.

– Patrz na to, Bill.

Soczewki laterny mrugają. Podchodzę bliżej.

– Chodź tutaj – mówi. – Zobacz.

Zerkam mu przez ramię na stronie dziennika.

– Myślałem, że to z zeszłego roku – mówi Vince drżącym głosem. – Byłem pewny, kiedy to zobaczyłem. Coś jest nie tak. Ktoś się musiał pomylić. To stary dziennik. Szefowi coś się pokręciło. Ale to z teraz, Bill. To z tego miesiąca.

Pokazuje mi mętlik liter i cyfr skreślonych czarnym piórem szefa, okrągłe kształty zmieniają się w pajęczę nitki, miejscami naskrobane tak mocno, że podarł się papier. „Rwane i kotłujące. Chaotyczne. Rozbryzg. Gwałtowna burza przechodząca w huragan”...

– Dziesięć, jedenaście, dwanaście stopni w skali – mówi Vince. – Nigdy nie mieliśmy tu dwunastki, kurwa. To wszystko nieprawda. Nic z tego się nie wydarzyło.

Wtedy zauważam torbę. Leży na pierwszym stopniu schodków wiodących do lampy: nieduży kwadrat, coś, czego nie zauważa się od razu, i Vince jeszcze nie zauważył. Nie typowa torba ze sprzętem, jakiej można by się spodziewać po mechaniku, ale teczka. Elegancka, kompaktowa; lśniąca jak kot, który przyszedł z deszczu.

– Bill – mówi Vince. – Co robimy?

Teczka jest tego samego koloru co Sid. Nieuchwytna barwa, której nie da się opisać.

To nasze porozumienie. Arthur wie i ja też.

Że ten mechanik wcale nie jest mechanikiem. Że żaden zwyczajny człowiek nie ucieka sam z wieży na środku morza, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Tak jak srebrny mężczyzna, który w 1951 roku wychodzi z żywopłotu przed koła sunbeama-talbota, jeden po drugim.

– Co jest, kurwa? – Vince zatrząskuje dziennik. – Nie rusza cię to, stary?

Myślę o fajkach ukrywanych przez brata w szafce w domu. O paleniu ich w cieniu ganku, w oczekiwaniu na ich powrót, o parno-metalowym zapachu deszczu.

„Uciekaj”.

– Co tam masz? – pyta i obraca się, żeby zobaczyć, co znalazłem.

Podchodzę do teczki, przyklękam i pstrykam zatrzaski, które ku mojemu zaskoczeniu od razu się otwierają.

– Bill... – Mówi coraz natarczywiej. – Co jest w środku? Pokaż.

Patrzę. Nie mogę.

– Nic – odpowiadam i zamykam teczkę. – Pusto.

W domu Jenny czasami łapie pająka pod szklanę. Nie lubi pajaków, więc robi to szybko, jakby nie mogła o tym myśleć ani na niego patrzeć, zakrywa, łapie i wynosi. Ja tak samo podnoszę teraz teczkę, bez cienia namysłu, wynoszę ją na galerię i przerzucam nad balustradą daleko w morze.

VINCE Konserwator

Pierwszego dnia szkolenia dowiedziałem się, że jest najlepszy. Arthur Black, mówili, z nim chcesz pracować. O głównych latarnikach zwykle się nie mówiło. Rozgłos nie był czymś pożądanym. Weźmy takiego naczelnika ze Skerries, który przez cały czas biegał po latarni nago, po prostu dlatego, że mógł, bo żona nie pozwalała mu na to w domu. Facet robił wszystko na golasa, od wymiany palnika po mycie podłogi, tylko do gotowania zakładał fartuszek. Nikt się nie cieszył na jego dyżur w kuchni ani na wizję wchodzenia za nim po schodach. Rzadko jednak się zdarzało, żeby czyjeś nazwisko powtarzano w pozytywnym kontekście. W dniu, w którym zacząłem służbę z Arthurem Blackiem, skromnie dumnym ze swojego fachu, o dobrym sercu i trzeźwym umyśle, od razu wiedziałem, że nie znajdę lepszego szefa.

Ostatnio przez długie dni mieliśmy tylko mgłę, ale on zapisywał coś zupełnie innego.

„Arthur nie jest tym, kim był kiedyś. Nie jest tym samym człowiekiem”.

Coś się wydarzyło. Nie wiem co.

Z moim szefem stało się coś dziwnego. Zapiski, które znalazłem w dzienniku, nie mają żadnego sensu. Próbowałem to obracać na wszystkie możliwe strony, ale zawsze wychodzi na to samo.

Arthur jest już stary. Pomyliło mu się.

Nie może chodzić o nic gorszego i nie pozwolę sobie na takie podejrzenia.

Dwudziesty dzień na wieży

Oświetlone cytrynowożółtym światłem morze wygląda jak akwarelowy pejzaż. Teraz moja zmiana, ale nie obserwuję oceanu, patrzę na ląd. Przy użyciu lornetki patroluję daleką linię brzegową, wypatruję człowieka od Eddiego, bo mogę się założyć, że wróci, na pewno, nieważne, jak się naprawdę nazywa. Pewnie składa już sprawozdanie szefowi, opracują najlepszy sposób, rozpiszą cały plan jak na zawodowców przystało. Łódka wypływająca z nabrzeża, drobinka powiększająca się do rozmiarów odcisku kciuka, zbliżająca się szybko, dzisiaj, jutro...

Puk-puk.

Wiem kto tam.

Próbuję zająć myśli czymś innym, zabieram się do drobnych napraw. Koszule śmierzdzą, skarpetki trzeba zacerować, ale ja całkiem lubię takie zadania, nie mam nic przeciwko: prozaiczne czynności mnie uspokajają, skupiam myśli na tym, co robię; zwłaszcza teraz, kiedy doszedłem do siebie i znowu czuję się jak człowiek, znajduję czystą przyjemność w tym, że tu jestem i mogę to robić.

Sprawdzam lornetkę.

Kiedy poznałem Michelle, wydawało mi się, że wiem, co będzie dalej. Erica powie jej, co zrobiłem, i to będzie koniec. Pozwoli mi się zbliżyć do czegoś dobrego, a potem mi to odbierze, bo tak było zawsze, kiedy dorastałem, w każdej rodzinie oczekiwali, że będę coś do nich czuł, ale przy szóstej czy ósmej po prostu już nie potrafiłem. Wtedy słyszałem, że jestem oziębły, dziwny i nikt mnie nie chce, że coś jest ze mną nie tak.

Ale Erica nic nie powiedziała. I teraz wreszcie, po raz pierwszy w życiu, zaczynam wierzyć w przyszłość, wyobrażam sobie, jak będziemy z Michelle mieszkać w domkach dla latarników. Czasem sobie myślę, że ona jest jak latarnie morskie i to właśnie mnie do niej przyciągnęło, to przyciągnęło mnie do nich: ciemność, przewalające się masy wody i oto nagle ogień płonący jaśniej niż jakikolwiek inny, i nie masz wyboru, musisz zmierzać w jego stronę z nadzieją, że cię przygarnie.

Nie pozwolę, żeby ktoś zgasił to światło. Ani Eddie, ani nikt inny.

Schodzę do kuchni, wsuwam rękę do kryjówki pod zlewem. Dziura jest rozmiarów cegły, jeśli ma się szczupły nadgarstek tak jak ja, można zgiąć rękę w przestrzeni przy ścianie. Na chwilę ogarnia mnie panika, boję się, że człowiek od Eddiego znalazł skrytkę – ale nie, pistolet jest na miejscu.

Wyjmuję i sprawdzam, czy jest naładowany.

Kiedy myślę o tym dzienniku pogodowym, zakładając, że Bill ma rację, a ja się myślę, to wiem, że liczy się tylko jedno. Ja. Tylko ja. Muszę zatroszczyć się o siebie.

Po jakimś czasie na wieży psuje się atmosfera. Ostrzegali mnie, mówili: uważaj na wieże, można tam dostać świra. Żal mi szefa i Billa, jeśli Sid wróci, jeśli przywiezie ze sobą Eddiego. Przykro mi, naprawdę.

Późnym popołudniem konserwator z Tridentu przyjeżdża napęlić zbiorniki na wodę. Na niektórych latarniach mają systemy filtrowania deszczówki, a u nas pada tyle, że starczyłoby na całe miesiące, ale jesteśmy tak daleko i mamy tak mało miejsca, że trzeba wpompowywać wodę pitną. Łódka nazywa się Duch Ynys, cokolwiek to znaczy; Arthur twierdzi, że to nawiązanie do jakiegoś walijskiego czarodzieja, ale kto wie, ludzie nadają statkom najdziwniejsze nazwy.

– Mike, to ty? – woła Bill z odsadzki.

– Serwus, Bill. Chcesz coś wysłać na ląd?

– Tylko siebie samego.

– Już niedługo, chłopie – pociesza go rybak. – Ile dni ci zostało?

– Trzy.

– To trzymaj kciuki, bo prognozy zapowiadają sztorm. I to porządny.

– Sid przyjechał naprawić generator – mówi nagle Bill. – Znasz go?

– Co za Sid?

– Duży chłop. Został noc czy dwie.

Mike Senner kręci głową.

– Na brzegu mówili, że wasz szef to odwołał.

– Kiedy?

– No wtedy, co wam się zepsuł generator. – Mike przykłada rękę do czoła, spogląda w górę na odsadzkę, mrużąc oczy. – Powiem, żeby sprawdzili, o co chodzi.

– Na pewno nikogo nie wysłali?

– Odpuść, Bill – mówię.

– Ze sto lat nikt nie wypływał – wtrąca Mike. – Nie dało się przy tej pogodzie. Nawet jakby ktoś był na tyle szurnięty, żeby spróbować wziąć łódkę, tobyśmy wiedzieli.

– Nikt nic nie widział?

– Nie, sorry.

Bill jest wstrząśnięty. Ale ja wiem. Eddie ma ludzi, którzy opanowali sztukę nierzucania się w oczy.

– Przekażę, jeśli ma cię to uspokoić – mówi Mike. – Ale raczej nie uwierzą, Bill. Że ktoś tu był bez ich wiedzy. Powiedzą: „Żaden człek nie mógł tego zrobić, Mike. Dobrze o tym wiesz, stary”.

X

1992

16 Myrtle Rise
West Hill
Bath

Rabbit's Foot Press
Tandem Publishers
110 Bridge Street
London

26 sierpnia 1992 r.

Szanowni Państwo,
współpracuję z publikowanym przez Państwa wydawnictwo pisarzem Danem Sharpem przy książce o „zniknięciu z Maiden Rock”. Z tego, co mi wiadomo, wydaje on książki pod pseudonimem, więc byłabym wdzięczna, gdyby mogli Państwo podać mi jego prawdziwe nazwisko.

Z góry dziękuję za odpowiedź.

Z poważaniem
Helen Black

HELEN

Dotarła na miejsce przed czasem, mogła wejść i zaczekać na niego w środku. Została jednak na zewnątrz, mimo deszczu, i obserwowała wejście do kawiarni z drugiej strony ulicy. Wkrótce się pojawił – też za wcześnie, ale tylko o minutę – z mokrymi włosami, krople deszczu perliły mu się na kurtce. Jego krok, kształt głowy, takie znajome; jak to możliwe, że nie zauważyła tego wcześniej? Nie mogła uwierzyć, że jej to umknęło. Michelle miała rację. Kiedy Dan Sharp podjął się tego projektu, mówił dziennikarzom, że kierowała nim nostalgia oraz miłość do morza. Helen nie wątpiła, że to prawda, ale co do reszty nie był całkowicie szczery.

Kiedy wszedł do środka, uznała, że da mu czas, żeby się wysuszył i poukładał notatki. Oto była gotowa na ostatnią spowiedź. Teraz już wiedziała, kim on jest.

Powiedziała mu wszystko oprócz tej jednej rzeczy, najważniejszej – i nawet wtedy wcale nie kłamała, po prostu nie przedstawiła pełnego obrazu sytuacji.

Wcześniej nie czuła z nim więzi, porozumienia. Jak on mógłby zrozumieć? Spec od pirackich abordaży i morskich przygód. Ale teraz rozpoznała w nim kogoś takiego jak ona.

Przede wszystkim jednak nie mogła pogodzić się z myślą, że powie mu o tym ktoś inny: że napisze o tym w swojej książce słowami innej osoby, podczas gdy ona przez ostatnie dekady szukała słów, które byłyby dla niej do przyjęcia. To był ważny element tej historii. Ważny w kontekście Arthura, tego, kim był i co mógł zrobić.

Nasunęła na głowę kaptur płaszcza i przeszła przez ulicę.

HELEN

Jak dobrze wreszcie usiąść. Autobus zatrzymał się kawał drogi stąd – moja wina, mogłabym się w końcu nauczyć je rozróżniać, ale nigdy nie mogę zapamiętać, które linie wjeżdżają do centrum, a które nie. O, dzień dobry. Poproszę herbatę w dzbanku.

Zacznę od początku – to miejsce jak każde inne. Tyle że pamięć tak nie działa, prawda? Jest raczej zbiorem momentów, które wypływają w zupełnie przypadkowej kolejności. Można sobie nagle przypomnieć najdziwniejsze rzeczy, na przykład tę parę, od której wynajmowaliśmy domek letniskowy. Najbardziej zapadło mi w pamięć, że właściciel domku odmawiał pracy w poniedziałek. Nigdy nie pracował w ten dzień i nigdy nie będzie, mówił mi. Z góry informował o tym potencjalnych pracodawców, bo, jak tłumaczył, nie chciał, żeby dopadało go to uczucie typowe dla niedzielnego wieczoru, kiedy trzeba się przyszykować do powrotu do pracy i wszystko wydaje się jakby... Jak to ująć? Jakby pozbawione równowagi. Sądzę, że im większa tragedia kogoś spotyka, tym bardziej umysł czepia się głupich drobiazgów. Dzięki temu łatwiej nad wszystkim zapanować. W jakimś sensie bardzo dużo zawdzięczam temu człowiekowi, który nie pracował w poniedziałki.

Nasz syn miał na imię Tommy. Oczywiście ta historia nie zaczyna się w domku letniskowym. Zaczęło się sześć lat wcześniej, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. W pierwszej chwili byłam w szoku. Przyznaję szczerze, że potrzebowałam czasu, żeby przyzwyczaić się do tej myśli. Nie żebym nie chciała dziecka. Po prostu nie uważałam urodzenia dziecka za nadrzędny cel – całkiem dobrze mi się żyło i nie czułam potrzeby bycia matką.

Kiedy Tommy żył, chętnie myślałam o jego poczęciu jako o wypadku, ale teraz już nie mogę tego powiedzieć. Mam wrażenie, że sprowadziłam na niego śmierć, bo wyobrażałam sobie, że w zasadzie mogłoby go nie być. Ale on zawsze miał być, dlatego niespodzianka, jaką była dla mnie wiadomość o ciąży, teraz wydaje mi się cudem. Nie planowaliśmy go, ale to nie była wpadka.

Nie wiedzieliśmy z Arthurem, jak sobie poradzimy, jakimi będziemy rodzicami, ale tego nigdy się nie wie. Można tylko podjąć decyzję i dawać z siebie wszystko.

Tommy był uroczym niemowlakiem. Żadna ze mnie specjalistka od dzieci, zwłaszcza w tamtych czasach, ale w porównaniu z tym, co potem widziałam po sąsiedzku u Jenny, to trafił mi się ideał. Spał spokojnie, ładnie jadł, zaczął raczkować w wieku siedmiu miesięcy, w wieku piętnastu już chodził i... Boże, to smutne, ile się zapomina. Wydaje się, że zapamięta się każdy najdrobniejszy szczegół, bo każdy najdrobniejszy szczegół pochłania naszą uwagę – co jedzą, jakie odgłosy wydają, zaciśnięte piąstki i machające rączki, delikatne włoski na karku i miękkie, okrągłe ramionka w kąpielu... Ale nie pamięta się. To niemożliwe. Każdego tygodnia dziecko jest zastępowane przez nowe, większe, bardziej rozwinięte, i nie sądzę, żeby dało się wiernie zapamiętać wszystkie z tych osobowości. To jakby w ciągu dwóch lat poznać dziesięć różnych osób. Ale mieliśmy z Tommym coś szczególnego: lubiliśmy się. Byliśmy przyjaciółmi. Już jako noworodek miał specjalny uśmiech przeznaczony tylko dla mnie.

Zasmucił się pan. Nie ma pan dzieci? To będzie panu łatwiej. Mnie dzięki temu też łatwiej z panem rozmawiać. Przy rodzicach czuję się, jakbym cierpiała na jakąś zakaźną chorobę, mam wrażenie, że patrzą na mnie i martwią się, że zarażą się tym szczególnym, niewyobrażalnym nieszczęściem. Albo odnoszę wrażenie, że słyszą moją opowieść, ale tak naprawdę wcale jej nie słuchają, bo myślą tylko o tym, że Bogu dzięki, to nie my.

Kiedy ktoś mnie pyta, czy mam dzieci, sama mogę zdecydować, co powiedzieć. Czasem mówię, że nie, co teoretycznie jest prawdą: nie, nie mam dziecka. Kiedy indziej powiem, że owszem, miałam syna, ale zmarł. I wie pan, jakie pytanie chciałabym wtedy usłyszeć? Jak miał na imię. Chciałabym, żeby spytali o jego imię. Ale oni tylko kręcą głową i mówią,

że im przykro, to musiało być straszne, a ja z kolei kiwam głową i powtarzam: tak, tak, tak było, tak jest.

Prawie nikt nie pyta o jego imię. Śmierć uczyniła go anonimowym. Nie mógł być prawdziwym dzieckiem. Nie mógł być Tommym, bo to by znaczyło, że każdego z nas może coś takiego spotkać, że nikt nie jest odporny.

Owszem, uważam się za matkę: matka, która traci dziecko zaraz po urodzeniu albo nawet przed urodzeniem, nadal jest przecież matką. Matki takie jak ja, które też straciły dziecko, zawsze pytają o imię. To znak rozpoznawczy. Przez długi czas po śmierci Tommy'ego chowałam się przed ludźmi – nikt nie mógł zrozumieć, w jakim jestem stanie – ale potem dołączyłam do grupy wsparcia dla osób pogrążonych w żałobie i okazało się, że rzeczywiście dało mi to pociechę. Żałoba może prowadzić do niewyobrażalnej samotności. Człowiek niepostrzeżenie zamyka się w sobie i nie chodzi nawet o to, że nie może wyjść na zewnątrz, ale że nie chce.

To te matki wyciągnęły mnie na świat. Chciałabym powiedzieć, że to zasługa Arthura, ale to nieprawda. Ja i inne matki z grupy nazywałyśmy nasze dzieci „bandą” i obchodziłyśmy ich urodziny, ale nie w jakiś makabryczny sposób, po prostu dla upamiętnienia, uznania. Tylko na tym mi zależało: na uznaniu rzeczywistości. Arthur w ogóle nie mówił o Tommym. Od czasu pogrzebu z jego ust chyba nigdy nie padło imię syna. Nie chciał oglądać zdjęć ani wymieniać się wspomnieniami. Tymczasem ja tego potrzebowałam, żeby zatrzymać przy sobie Tommy'ego. Nie mogłam udawać, że nigdy nie istniał.

Owszem, w rozmowie z panem udawałam, to prawda. Nie zapyta pan dlaczego? Może pan też udawał różne rzeczy, ludzie tak już mają. Łatwiej grać, niż po prostu być sobą, z wszystkim, przed czym nie możemy uciec. Żal to bardzo silne uczucie, sam pan wie. Płakałam i płakałam, i myślałam, że nigdy nie przestanę. Leżałam po ciemku w łóżku, cała się trzęsłam i wydawało mi się, że słyszę jego głosik szepczący: „Mamusi”. To się ciągnęło tygodniami, miesiącami. Żal zwałił mnie z nóg. Nadal próbuje to robić, ale wyczuwam, że się zbliża, więc utrzymuję się w pionie. Ale na początku mnie przechytrzył, wymierzył kopniak pod kolana, podciął nogi. Wąchałam ubranka Tommy'ego i jego odejście wydawało mi się nierealne. Jak to możliwe, że go nie ma, skoro ciągle jest tu jego zapach? Wszystkie

jego rzeczy czekały na niego na swoim miejscu, ale on miał nigdy nie wrócić. Może pan zrozumieć, dlaczego wolałam to zachować dla siebie.

Arthur wrócił na Maiden zaraz po śmierci Tommy'ego. Liczyłam na to, że odejdziemy z firmy i skupimy się na sobie, ale tak się nie stało. Kiedy pracował, ja siedziałam sama w domku, z przyzwyczajenia odkrajałam skórkę chleba z kanapek i kupowałam mleko, którego nikt już nie wypijał przed snem. Butelki stały w lodówce przez długie dni, w końcu zdejmowałam wieczko, rozchodził się kwaśny smród i wylewałam zawartość do zlewu.

Z Arthurem coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy. Nigdy nie przepadałam za wieżą, ale teraz zaczęłam jej nienawidzić. Za każdym razem, gdy ją widziałam, myślałam o niej jak o potworze, który wynurzył się z morskich głębin. Potrzebowałam od niego wsparcia, pociechy, ale on dawał to jej, a może ona jemu, i wiem, że brzmi to absurdalnie, ale tak właśnie się czułam. Wiedziałam, że winna jest śmierć Tommy'ego, ale nie wykluczałam, że Arthur zawsze miał w sobie ten dystans. Sam mi powiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zostać latarnikiem. W tamtym czasie często o tym myślałam.

Wiedziałam, że kochał Tommy'ego, bardzo. To dlatego nie przepracował tej straty. Nie stawiał jej czoła. Nie spojrział jej w twarz, a to bardzo ważne w takich sytuacjach, inaczej przez resztę życia będziemy uciekać przed wspomnieniem, które wciąż zachodzi nas od tyłu i podcina nam nogi.

Wiele razy myślałam sobie, że chciałabym już nigdy nie musieć patrzeć na mojego męża. Kiedy więc zniknęli, ogarnął mnie lęk, że ja do tego doprowadziłam, że sobie to wymarzyłam. Wreszcie nie musiałam mieć już nic wspólnego z latarniami morskimi. Mogłam wyprowadzić się z wybrzeża. Nie musiałam siedzieć w kuchni w Admirale, słuchając, jak Arthur kataloguje kamienie albo wypełnia ołówkiem krzyżówkę, zamiast po prostu mnie przytulić i powiedzieć, że on też wciąż myśli o naszym synu.

Teraz rozumiem, że Tommy tęsknił za ojcem. Potrzebował Arthura bardziej niż ja i nie ma w tym nic złego, tak powinno być. Arthura zabrało morze, bo to tam straciliśmy naszego synka. Czasem wyobrażam sobie morze jako gigantyczny jezior, który zlizuje otaczających mnie ludzi, a jeśli za bardzo się zbliżę, mnie także pochłonie, połknie do samego dna. Dlatego mieszkam tutaj.

Tommy miał wtedy pięć lat. Domek letniskowy był uroczym miejscem, nie zasługiwał na to. Nasi gospodarze, mężczyzna, który nie pracował w poniedziałki, też sobie na to nie zasłużyli. W życiu wydarzają się różne rzeczy, spadają jak grom z jasnego nieba, w zwyczajny czwartek, kiedy akurat wychodzisz z wanny. Bez żadnego ostrzeżenia. Te wszystkie rzeczy, którymi się zamartwiamy, nigdy się nie zdarzają. A przynajmniej nie w taki sposób, jak się o tym myśli.

Nasz chłopczyk tak bardzo się cieszył na pierwsze wakacje z ojcem, z którym prawie w ogóle się nie widywał. Tommy zaczynał się interesować pracą Arthura, że tata pojawiał się i znikał, wsiadał na łódkę, żeby wrócić do latarni, a potem przywoził opowieści o sztormach i przemytnikach, zakładałam, że raczej zmyślane, ale może wcale nie. Tommy za nim tęsknił, kiedy go nie było. Arthur nigdy do mnie nie pisał, czasem wysyłał listy do Tommy'ego, ale docierały na ląd tylko przy ładnej pogodzie i jeśli akurat trafił się życzliwy szyper. Mówił Tommy'emu, że kiedy po zachodzie słońca zapala się światło na Maiden, to jakby tata mówił mu dobranoc. Kiedy Arthur był na latarni, rozmawialiśmy o tym, co może teraz robić, a ja zmyślałam różne historyjki zarówno dla siebie, jak i dla Tommy'ego. Dzieci mają cudowny sposób patrzenia na świat. Mały mówił, że jego tatuś zastępuje słońce, kiedy słońce pójdzie spać, i nawet teraz, po tylu latach, nie słyszałam trafniejszego opisu tego fachu.

Utopił się. Był piękny letni poranek w roku koronacji królowej. Po śniadaniu postanowiłam zrobić sobie kąpiel. Staroświecka wanna na nóżkach była bardzo głęboka, moczyłam się tak długo, że woda zdążyła wystygnąć, i wtedy usłyszałam krzyki Arthura z dołu. Kiedy wyszłam z łazienki, stał przy drzwiach ze zwieszonymi rękami, ale dłońmi skierowanymi wewnątrz do sufitu. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Dopiero po kilku chwilach zarejestrowałam, że jest cały mokry.

– Gdzie Tommy?

Ale Arthur tylko na mnie patrzył, to było jakby wylać wiadro wody na kogoś otępiałego, żeby go obudzić, ale on się nie budzi.

– Przepadł – powiedział.

– Jak to? – spytałam. – Gdzie? – Brzmiało to tak, jakbyśmy rozmawiali o zgubionych kluczykach do auta.

– W morzu – odparł.

– Gdzie w morzu?

– W morzu.

Tommy nie umiał pływać. Musiał nosić rękawki. Tego właśnie wypatrywałam, kiedy wyszłam i zaczęłam przeczesać wzrokiem tę straszliwą wodę – szukałam czerwono-żółtych dmuchanych rękawków, które Tommy nosił na ramionkach. Wiedziałam, że je zauważę. Ale nie spodziewałam się znaleźć ich na ganku, gdzie leżały nieużywane razem z płaszczami przeciwdeszczowymi, do tej pory jeszcze nam niepotrzebnymi.

Zginął. Nie, Arthur użył innego słowa. „Przepadł”.

Uczepiłam się irracjonalnej myśli, że może jeszcze wszystko będzie dobrze, Tommy lada chwila pojawi się na plaży, prąd przyniesie go na brzeg. Ale czy morze kiedykolwiek zrobiło dla mnie coś takiego?

Nie wiem, co stało się później. Musieliśmy wezwać pomoc, bo zjawili się właściciele domku i karetka, i opatulili mnie kocem, mimo że wcale nie było mi zimno.

Jego ciało wypłynęło dopiero dwa dni później. Drobniutkie, sine, z plamami na skórze, w zielonych kąpielówkach, które zaledwie cztery dni wcześniej wybrał sobie w sklepie. Arthur powiedział, że sam go zidentyfikuje, ale musiałam zobaczyć go na własne oczy. Nie wyglądał jak martwy, raczej jakby spał. Kiedy pocałowałam go w czoło, wydawało mi się zupełnie normalne, może tylko nieco chłodne. Nagle uderzyła mnie myśl, że dusza opuściła jego ciało i nie trzymają się już za ręce. Ciało było ciałem, a dusza odeszła. Niektórych to pociesza, ale nie mnie. Martwiłam się, że ciało będzie samotne bez duszy, bez światła w środku, bez niczego, co je ogrzeje. Właśnie ze względu na tę samotność nie chciałam pochować Tommy’ego. Opętała mnie ta wizja, nie mogłam się opędzić od myśli, że zimno mu i samotnie w kostnicy, w trumnie, a w końcu pod ziemią. Wiem, że gdybyśmy go pogrzebali, do dziś prześladowałyby mnie koszmary, że jego kości czują się samotne w ziemi. Skremowaliśmy ciało. Chciałam, żeby nic nie zostało.

Poszli się poplaskać. Na płyciźnie, tłumaczył Arthur, dlatego nie wzięli rękawków. Tommy stał w wodzie po pępek, powtarzał Arthur, a ja chciałam, żeby się zamknął, bo przez to ciągle myślałam o Tommym jako maluszku połączonym ze mną pępowiną, przez tyle miesięcy zapewniałam mu bezpieczeństwo, a poszłam do wanny na cholerne dwadzieścia minut. Arthur zostawił go samego i poszedł po aparat. Tylko parę kroków, na

ganek. Tommy zawsze był ciekawski, więc pewnie zrobił parę kroków od brzegu i stracił grunt. Mówiło się o niebezpiecznych prądach. Potknął się, trochę poszamotał i utonął. Tak to wygląda w mojej głowie. Szybko i bezboleśnie. Kiedy Arthur wrócił z aparatem, było już za późno.

Wina to podstępna bestia, której trudno się pozbyć. Gdybym jej się dała, zamordowałabym Arthura bez chwili namysłu. Udusiłabym go we śnie. Ale nie potrzebowałam, żebym mówiła mu, że to jego wina. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek potrafi do siebie dojsć po czymś takim, bo rozpacz jest potworna nawet bez poczucia winy, a wiem, że on czuł się winny i to miało potem wpływ na wszystko. Dlatego nie mógł na mnie patrzeć ani mnie dotykać; dlatego wolał latarnię.

Oczywiście przyszło mi do głowy, że zapragnął odejść do Tommy'ego. Znowu się z nim spotkać. Że wszystkie uczucia kotłujące się w moim mężu w końcu osiągnęły temperaturę wrzenia i wykipiwały. Nie wiem, jak miałyby to zrobić, i nie chcę sobie wyobrazać, co mógłby zrobić Billowi, Vince'owi, sobie, nie chcę i nie mogę, ale wierzę, że każdy człowiek jest zdolny do każdego czynu, to tylko kwestia właściwych okoliczności. Jeśli trafi się odpowiednia chwila. Jeśli nie odsłoni wszystkich kart. Nie ukrywajmy – to nie jest normalne, żeby człowiek tkwił w latarni morskiej. Trident nie przyzna, że nie powinni stawiać ludzi w takiej sytuacji, nikogo, bo to nie jest naturalne i prędzej czy później się na człowieku odbije.

Kiedy się poznaliśmy, nie byłam gotowa rozmawiać o tamtych zegarach. Ale teraz mogę. Ósma czterdzieści pięć to czas śmierci Tommy'ego. Oba zegary na Maiden zatrzymały się na ósmej czterdzieści pięć. Nie mogłam w to uwierzyć. Nadal trzymam się szansy, że to nieprawda. Jeden mógł równie dobrze zatrzymać się pięć czy dziesięć minut później albo wcześniej, co oznaczałoby po prostu pechowy zbieg okoliczności. Ale ludzki umysł lubi schematy, a to szczegóły, który przykuwa uwagę. Ja nigdy o tym nie zapomniałam. Ta myśl zawsze mi towarzyszy.

A co, jeśli Arthur był odpowiedzialny? Co jeśli, co jeśli, co jeśli.

Niezliczone możliwości, nieuczęszczane ścieżki. Co jeśli bym go nie poznała? Co jeśli nie odezwałyby się do mnie w kolejce na dworcu Paddington? Co jeśli nie wstąpiłby do służby latarnianej? Co jeśli nie pojechalibyśmy na wakacje albo tamten domek letniskowy nie zostałby zbudowany, albo jego właściciel postanowiłby jednak pracować w poniedziałki, zarabiałby trochę więcej i kupił działkę gdzieś za granicą,

na przykład na zboczu wzgórza w Toskanii? Co jeśli nie poszłabym się wykapać?

Czasem sobie myślę, że gdybym miała szansę powiedzieć to wszystko Jenny Walker, wytłumaczyć jej, kim jestem, może by zrozumiała. Moje spotkanie z Billem. Mój jeden błąd. A może nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Chodzi o coś więcej niż tylko o Billa, tak, prawdopodobnie. Zgodziłam się nawet, żeby Michelle pojechała do Kornwalii i się za mną wstawiła, ale to był głupi pomysł, a poza tym to może wyjść tylko ode mnie. Ale wierzę, że jeśli mogę naprawić stosunki z Jenny, jeśli mogę wyprostować tę sprawę, to z tego wszystkiego może jeszcze wyniknąć coś dobrego.

Widzi pan, są słowa, które powinnam była powiedzieć i żałuję, że tego nie zrobiłam. Arthurowi, Tommy'emu – ale do nich nie mogę już wrócić. Jest za późno.

Ale dla innych nie jest za późno. Niektóre światła nadal mogą zapłonąć.

JENNY

Przez długi czas po tym, jak skończyła mówić, siedziały obok siebie na łóżku. Hannah milczała. Tkwiła w sztywnej, nieprzyjaznej pozycji, z wyprostowanymi plecami i dłońmi na kolanach. Jenny przyglądała się kołdrze z zainteresowaniem nieprzystającym do obserwowanego obiektu: kwiaty brzoskwini, jedna z jej starych powłoczek, miękka i zmechacona od prania.

Z dołu dobiegł odgłos zamykanych drzwi zwiastujący wyjście ostatnich gości. Greg przyszedł wcześniej ich poszukać, Hannah poprosiła, żeby jakoś ją wytłumaczył.

W końcu zwróciła się do matki.

– Chcesz mi powiedzieć, że próbowałaś...?

Jenny wytarła nos w rękaw.

– Sama nie wiem, co próbowałam zrobić, kochanie. Nie chciałam zrobić mu krzywdy. Musisz mi uwierzyć. Chciałam tylko, żeby...

– Co?

– Żeby znowu był moim mężem.

U sąsiadów ktoś włączył kosiarkę. Zwyczajny, codzienny odgłos, teraz ostrzejszy. Podział na dawny świat, zanim Jenny wyznała swoją tajemnicę, i nowy.

– Tak to jest z dziećmi – powiedziała Hannah. – Wydaje nam się, że tak sprytnie ukrywamy przed nimi różne rzeczy, ale to niemożliwe. Nic się przed nimi nie ukryje.

Jenny nie odrywała wzroku od haftu na kołdrze. Tyle razy leżała pod nią z Billem, a dzieci gramoliły się im do łóżka, wszystkie te cudowne poranki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że wiedziałam – odparła Hannah. – W głębi serca o tym wiedziałam. Pamiętam, jak stałaś wtedy w kuchni. Tata zaraz miał wrócić do latarni. Płakałaś, nie odzywałaś się do niego. Czułam chlor. Widziałam papierki na czekoladki i etykietę na butelce. Nie rozumiałam, co to znaczy. Myślałam, że coś sobie ubzdurałam. Jesteś moją mamą. Nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego. A teraz nagle się okazuje, że miałam rację.

Hannah zamilkła. Jenny zmusiła się, żeby podnieść wzrok.

– Pamiętasz go? – zapytała. – Zawsze tak twierdziłaś.

– Tak. Pamiętam, jak całował mnie na dobranoc. Każdej nocy, kiedy był w domu, myślał, że już śpię. Wchodził do pokoju i głaskał mnie po policzku. Pamiętam, jak siedziałam mu na kolanach, żeby przeczytał mi bajkę przed snem. Pamiętam jego zapach. Impregnat do drewna i tytoń. Wychodziliśmy na dwór popatrzeć na księżyc, po zachodzie słońca, jeśli niebo było bezchmurne. Tak właśnie widziałam jego latarnię. Jako księżyc.

Jenny czuła taki wstyd jak jeszcze nigdy wcześniej.

– Kiedy masz siedem lat – ciągnęła Hannah – życie składa się z pojedynczych chwil. Jak puzzle, których nic nie łączy. Dopiero potem zaczynają się układać w całość.

– Teraz możesz je połączyć – powiedziała Jenny.

Hannah pokręciła głową. Ulicą przed domem przejechały dzieci na rowerach. Ich krzyki osiągnęły crescendo, po czym ucichły w oddali.

– Kiedy powiedziałaś mi o niewierności taty, to też powinno mnie zszokować. Ale ja już wiedziałam, mamó – przyznała Hannah. – Poszłyśmy kiedyś do Helen. Siedziałyśmy razem w salonie. Na półce, za ramką ze zdjęciem, leżała muszelka taty. Inna niż te, które robił dla ciebie; zrobiona z myślą o kochance, nie o żonie. Widać było, że próbowała ją schować, ale się nie przyłożyła. Wszędzie rozpoznałabym jedną z jego muszelek, nawet na plaży, wśród milionów innych.

Różowy ścieg rozpląnął się Jenny przed oczami.

– Przez całą drogę do domu bardzo mocno ścisłaś mnie za rękę – mówiła Hannah. – Na kolację były grzanki z fasolką. Ale przypaliłaś chleb, oskrobywałaś węgiel nad zlewem.

– Tak.

Hannah spojrzała na nią. Oczy miała wilgotne.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Nie mogłabym.
- Nie wtedy. Później. Kiedy powiedziałaś mi o romansie.
- Po co? Żebyś się wystraszyła?
- Nie jestem wystraszona.
- A powinnaś.

W tej chwili Jenny zobaczyła swoją córkę na nowo, jako kobietę, a nie swoją córkę, już nie dziecko. Troska wyryła bruzdę między jej brwiami, jak nacięcia na wierzchu nadziewanego placka z kruchego ciasta. Chęć wysłuchania, co Jenny nigdy nie przychodziło łatwo. Wysłuchania bez oceniania.

– Wiem, że bardzo go kochałaś – powiedziała Hannah. – I że bardzo cię skrzywdził. To niczego nie usprawiedliwia, mamó. To było, jest i będzie nie w porządku. Ale... – Szukała słów. – Chyba nie ma jak skończyć tego zdania. Po prostu „ale”. Zawsze jest jakiś inny punkt widzenia, prawda? Zawsze jest coś więcej.

- Boję się, co o mnie myślisz.
- Że byłaś zdenerwowana i smutna.
- Przepraszam. Okropnie mi przykro, kochanie.
- A jemu?
- Słucham?
- Było przykro?
- Nie wiem. Wielu rzeczy o Billu nie wiedziałam.

Hannah podała jej pudełko z chusteczkami. Musnęły się palcami.

- Myślałam, że mnie znienawidzisz – wyznała Jenny.
- Nie nienawidzę cię.
- Gdybym wtedy wiedziała, że widzę go ostatni raz...
- Przestań. – Hannah ujęła dłoń Jenny w obie ręce. – Byłaś dobrą żoną.

Nachyliła się i przytuliła matkę. To był najprzyjemniejszy uścisk w życiu Jenny, ciepły, ciasny i mocny jak korzenie drzewa. Bill nigdy jej tak nie przytulił.

Autostrady ją stresowały. Wolała wiejskie drogi, ale podróż zajmowała wtedy dwa razy więcej czasu. Słyszała, że autostrady są statystycznie bezpieczniejsze, ale nie rozumiała, jak to możliwe, skoro wszystko dzieje

się tam tak szybko. Wystarczyłby ułamek sekundy i już przeleciałyby przez przednią szybę. Ta wizja prześladowała Jenny w koszmarach: sterta powykręcanych kończyn na poboczu, krew na strzaskanym szkle. Czasem widywała we wraku pojazdu siebie, czasem innych ludzi. Albo i Billa – oto przypadkiem znalazła się na miejscu tragicznego wypadku i zobaczyła jego twarz; przez te wszystkie lata wiódł inne życie, prowadził inny samochód, wracał do innego domu i innej rodziny, a teraz patrzył na nią z wyrazem żalu, kiedy do niej to wszystko docierało, i trzymała go za rękę w chwili śmierci.

– Mogę prowadzić, jeśli chcesz – powiedziała Hannah, wybierając z torebki żelków zielone, które wyławiała i wrzucała do schowka pod hamulcem ręcznym.

– Nie rób tak – zaprotestowała Jenny. – Będą się lepić i obleżą paprochami.

– Tutaj! Zjazd szósty.

Jenny wrzuciła kierunkowskaz z lewego pasa. Zatrąbił klakson ciężarówki.

– Co źle zrobiłam?

– Jesteś na pasie awaryjnym. Tam jest zjazd. Tutaj. Tam. Jezu, mamo!

Pół godziny później dotarły na konwencję parapsychologiczną organizacji Iglica Światła w Birmingham. Kryształy i tarot, tęcze i anioły, mężczyzna z irokezem oferujący odnalezienie jej zwierzęcego przewodnika duchowego za jedyne 50 pensów. Jenny zwykle ukrywała te wyjazdy, kłamała, że jedzie do spa. Teraz nie musiała już udawać, ani w tej kwestii, ani w żadnej innej. Straciła tyle czasu na udawanie, choć wcale nie musiała.

– Jesteś pewna? – spytała Jenny, bo wiedziała, że to nie w stylu Hanny. Córka powiedziała jednak, że chętnie do niej dołączy, jeśli dzięki temu pozna Dana Sharpa. Ustaliły, że dadzą mu godzinę, do jedenastej, kiedy wróżka Wendy miała się łączyć z duchami.

– Tak – odparła Hannah. Odpięła pas i niespodziewanie pocałowała matkę w policzek. – Miałam wyrobioną opinię na jego temat, ale ostatnie tygodnie nauczyły mnie, że każdą historię trzeba poznać z różnych stron.

JENNY

Przyjeżdżałam tu co roku od zaginięcia Billa. Wcześniej też interesowałam się takimi sprawami, ale nie jeździłam na tego rodzaju wydarzenia – nie miałam czasu i nie było to dla mnie takie ważne. Teraz jednak jest, bo to właśnie coś w tym rodzaju może pozwolić mi się z nim skontaktować. To zresztą niezła rozrywka, jeśli człowiek nie zadziera nosa. Wendy to moje ulubione medium, Wendy Albertine; przewodnik pomaga jej nawiązać kontakt z zaświatami, a kiedy trafi tam na kogoś dla danej osoby, woła jej imię. Czekam, aż wywoła mnie.

Po pańskiej pierwszej wizycie pojechałam do jasnowidzki. Powiedziała, że ktoś mnie wykorzysta, a ja pomyślałam: oho, chyba nawet wiem kto. Ale potem Julia wpadła pożyczyć pięć funtów i zauważyłam, że wyjęła mi z portfela dychę, więc mogło chodzić o to. Wiedziałam, że Hannah przewróci teraz oczami. No weź, skarbie, jakbyś ty nie robiła gorszych rzeczy.

Niech każdy pilnuje swojego nosa, tyle powiem. Kiedy przejdzie się przez to, przez co ja przesłam, człowiek przestaje się przejmować opinią innych. Utożsamiam się z ludźmi, którzy tu przyjeżdżają. Stracili bliską osobę, tak jak ja, ale wiedzą, że ta osoba może gdzieś tam być. Mam nadzieję, że dzięki naszej znajomości ma pan nieco bardziej otwarty umysł. Hannah przed chwilą zauważyła, że to ważne, żeby umieć zmieniać punkt widzenia.

Helen nigdy nie pojawiłaby się na takiej konwencji, nawet po swoim trupie. Ha, ha, udał mi się żart? Nie obchodzi jej to coś więcej w życiu, bierze tylko to, co ma przed nosem. Można by pomyśleć, że po śmierci syna dobrze by jej to zrobiło. Wiele osób przyjeżdża tu w poszukiwaniu swoich zmarłych dzieci. To te sytuacje najbardziej chwytają za serce. Kiedy

jakieś dziecko wraca, żeby skontaktować się z mamą czy tatą, wszyscy na koniec płaczemy. Zawsze nasłuchuję imienia Tommy'ego. Gdyby Wendy powiedziała, że jest dziś z nami mały Tommy, podniosłabym rękę. Smutno mi na myśl o tym maluchu po tamtej stronie, na którego nikt tutaj nie czeka.

Gdyby rzeczywiście się pojawił, to nie, nie powiedziałabym Helen. Kiedy byłyśmy sąsiadkami, zastanawiałam się, czy ma mi za złe moją trójkę. No bo ona miała tylko jedno dziecko, a do tego utonęło. Było mi jej żal, oczywiście, nie jestem przecież bez serca, ale myślę, że dobrze by jej zrobiło, gdyby mi się zwierzyła. Może nie traktowała mnie jako przyjaciółki, z którą mogła porozmawiać. Ja też nie pytałam, co pewnie nie wypadło najlepiej, ale cóż miałam zrobić? Może byłoby jej przykro, jeśli na przykład nie chciała o tym myśleć.

Helen nigdy nie wybaczyła Arthurowi. To wiem na pewno. Nie potrafię stwierdzić, czy ja bym wybaczyła czy nie, gdyby to na Billu ciążyła odpowiedzialność za coś takiego. Ale zawsze mnie drażniło, że Bill postrzegał ich małżeństwo jako ideał. Ciągłe powtarzał, jak dobrze żyć tak jak Blackowie, nie wtrącać się ciągle w swoje sprawy, nie robić wszystkiego razem jak mąż i żona. Kiedy wprowadziliśmy się do Kapitana, spytałam Helen, jak sobie radziła z nieobecnością Arthura przez te wszystkie lata, a ona mi powiedziała, że taki mieli charakter: lubili spędzać czas zarówno razem, jak i osobno, wiedli raczej dwa oddzielne, równoległe życia niż jedno wspólne. Uznałam wtedy, że to na pewno ma związek z Tommym. Czy nasi mężowie nie dość mieli niezależności na tej wieży? Nieskończone zasoby czasu dla siebie.

No ale okazało się, że Helen jednak kogoś potrzebowała, bo wzięła się za Billa. Nie twierdzę, że to czarno-biała sytuacja, trzeba wziąć pod uwagę śmierć chłopca i jak to na nią wpłynęło. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mogę o tym myśleć; nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest stracić dziecko.

Ale nadal nie rozumiem, dlaczego Bill tak postąpił. Człowiek, który się ze mną ożenił, który, jak sądziłam, kochał mnie za to wszystko, czym ona nie była. Bo Helen nie była jedną z nas, żoną latarnika w tradycyjnym znaczeniu. Czy to na północy w St Bees, czy na południu w Bull Point, wszystkie byłyśmy ulepione z tej samej gliny – dobre żony i gospodynie domowe, na półce książki z przepisami, w piekarniku biszkopt królowej Wiktorii, o szóstej kolacja na stole. Dzieliłyśmy się obowiązkami. Nie

obgadywałyśmy się za plecami i nie umawiałyśmy na herbatkę z cudzymi mężczyznami. Betty, żona Franka, była bardziej w moim guście – porządna dziewczyna z Bolton, nie wywyższała się, jej synowie często bawili się z moimi dziewczynkami. Widziałam, że Helen nam tego zazdrości. Muszę przyznać z pewnym wstydem, że jej zazdrość sprawiała mi złośliwą satysfakcję. Miała wiele rzeczy, których ja nie miałam, więc chociaż w tym jednym aspekcie wygrałam.

Powinłam była porozmawiać z Arthurem o tym romansie, kiedy był na przepustce. Hannah tak uważa, a ja żałuję, że tego nie zrobiłam. Teraz już ich nie ma i jest za późno.

Myślę też o mojej mamie. Że może powinłam dać jej jeszcze jedną szansę. Dowiedzieć się, gdzie mieszka, zadzwonić, wysłać list. Bo widzi pan, w ten sposób się zabezpieczam. W pewnym sensie to samolubne. Chcę mieć pewność, że zrobiłam wszystko, co mogę. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jakie to uczucie, kiedy zostajemy pozbawieni tego wyboru.

Gdybym porozmawiała z Arthurem, moglibyśmy obmyślić lepszą strategię działania. Bo to było głupstwo – ubzdurałam sobie, że muszę się im odpłacić za to, jak się przez nich poczułam. Cóż mogę powiedzieć poza tym, że nie myślałam logicznie?

Ale nigdy nie poruszyłam tego tematu z Arthurem, chyba dlatego, że czułam się przy nim stremowana. Hannah też. To dlatego, że nawet się nam nie przedstawił. Nie wpadał z wizytą, nie mówił „dzień dobry”, nie zachowywał się sympatycznie. Nie potrafiłam go rozgryźć.

Z perspektywy czasu widzę, że sprawiał wrażenie nieco rozchwianego. Jak ci ludzie, co to muchy nie skrzywdzą, aż tu nagle któregoś dnia dom staje w płomieniach, a sąsiedzi na to: „Ale przecież on był taki cichy i spokojny. Nie mogliśmy zrobić czegoś takiego”.

No co? Hannah uważa, że za dużo fantazjuję. Owszem, zdarza mi się wyobrazać sobie różne rzeczy, a potem myśleć o nich tak intensywnie, że zaczynają mi się wydawać prawdziwe.

Ale to zawsze cisi i spokojni wybuchają, nie mam racji? Zwłaszcza jeśli ktoś ich sprowokuje. A Helen go sprowokowała. Najpierw tym obwinianiem, potem kłamstwami. Arthur był z tych, co to duszą wszystko w sobie, nic nie mówią, aż tu któregoś dnia – bum!

Swoją drogą, skoro ja się dowiedziałam, to on być może też. Jeśli Arthur zrobił Billowi coś złego, to cóż, chyba mogłabym... Chyba mogę to

zrozumieć.

Ojej, już tak późno? Musimy lecieć na seans Wendy, żeby załapać się na dobre miejsca. Nie po to jechałam taki kawał drogi, żeby teraz stać gdzieś z tyłu.

No dobrze! Hannah kazała mi obiecać. Nie chcę tego robić, ale inaczej będzie się na mnie boczyć przez całe popołudnie, jeśli nie zapytam. No to pytam. Helen dawniej wysyłała mi listy, ale ostatnio przestała. Spokojnie, kochanie, zaraz dojdę do sedna. Już do tego zmierzam.

Czy wszystko z nią w porządku? Z Helen? O to właśnie Hannah kazała mi spytać. Bo pan z nią rozmawia, prawda? Więc powinien pan wiedzieć, czy wydarzyło się coś, przez co przestała do mnie pisać. Nie przejmuję się tym, nie jest to dla mnie ważne. Tak mi tylko przemknęło przez głowę, a Hannah kazała mi się dowiedzieć.

W porządku. No to dobrze. Zadowolona? A nie mówiłam?

Możemy już się zająć swoimi sprawami? Jeśli usiądziemy z przodu, jest większa szansa, że Wendy trafi na kogoś dla nas. Lepiej nas wtedy wyczuwają i łatwiej im nas znaleźć. Sprawniejsza komunikacja.

MICHELLE

Dziś wieczorem, kiedy przyrządzi dla Rogera zapiekankę wołową z nerkami, on zapyta, jak jej minął dzień, a ona skłamie, że nie robiła nic szczególnego, wyprasowała mundurki szkolne dziewczynek, przyszyła metki z nazwiskiem do worków na strój na w-f, wypielila grządkę warzywną. Pominie wyprawę do centrum handlowego Clearwater i snucie się alejkami w Woolworths, gapienie się na słodycze w jaskrawych opakowaniach i zerkanie na zegarek co półtorej minuty.

W jakimś sensie wiedziała, że w końcu się z nim spotka. Zaczęło się po rozmowie z Helen. „Ale przecież trzeba to zrobić, nie sądzisz? Powiedzieć, jaki był naprawdę”. Potem te transkrypcje przesłuchań. niesprawiedliwe słowa Pearl, z których wyłaniał się fałszywy obraz Vinny’ego. On już nie mógł przedstawić dowodów na swoją obronę. Ale Michelle mogła stanąć po jego stronie.

Miała dość, nie chciała już się bać. Eddiego Evansa, Trident House, prawdy.

Pisarz stał pod zegarem w atrium. Rozpoznała go z czarno-białej fotografii na obwolucie książki. Wiercił się niespokojnie, czekał na kogoś, ale nie wiedział na kogo: mogła przecież być każdą z tych kobiet, które szybkim krokiem przemierzały korytarze centrum w czasie przerwy na lunch.

Krążąc po Bootsie, Michelle zastanawiała się, co on może sobie o niej myśleć. Ona wyobrażała go sobie zupełnie niewłaściwie. Spodziewała się kogoś w typie Rogera – elegancki garnitur, wypomadowane włosy, golf w weekendy, koniak i spinki do mankietów. Ubranie pisarza nie leżało na nim najlepiej, nie dlatego, że nie było go stać na lepsze, jak podejrzewała, ale po prostu nie przywiązywał wagi do stroju, a jego buty wyglądały tak,

jakby chodził w nich codziennie przez całe życie. Jeśli był w jakimkolwiek typie, to jej młodszego brata, który mieszkał w Leytonstone z ich ojcem i pracował w lokalnym punkcie bukmacherskim, odkładając na strzyżenie u fryzjera.

Czuła głęboką awersję do tego centrum handlowego. Przede wszystkim do części służącej za foyer, z modną kawiarnią serwującą kanapki na ciepło w wygórowanych cenach i gigantycznym zegarem – o pełnej godzinie z okienka dla kukułki wychodziła plastikowa żaba i skrzekiem oznajmiała godzinę.

Poczekala, aż skończy skrzeczeć, i dopiero wtedy do niego podeszła.

– Michelle – przedstawiła się.

Dan Sharp uśmiechnął się, uściskał jej dłoń i wyglądał, jakby mu ulżyło, że się pojawiła.

MICHELLE

Niech pan popatrzy. Potwornie przygnębiające, co? Żeby tak trzymać ptaki w klatkach. To najgorsze, co może być. Normalnie nie zatrzymałabym się przy tym sklepie, bo nie mogę znieść tego skrzeczenia. A jak akurat nie skrzeczą, to siedzą przybite. O, proszę: za 3,99 funta można sobie takiego kupić, a klatka kosztuje pewnie z dziesięć razy tyle. Chodziłam do szkoły z dziewczyną, która miała w domu klatki z ptakami. W mieszkaniu jej mamy strasznie cuchnęło kocim żarciem i bobkami. Miała papużkę australijską imieniem Spike i falistą zwaną Ross. Ross był dominującym samcem, on rządził w stadzie.

Lubi pan ptaki? Moim zdaniem, jeśli lubi się ptaki, to najlepiej po prostu dać im żyć na wolności, na drzewach i tak dalej. Myślałam sobie czasem, jak miło byłoby wypuścić Spike'a i Rossa z klatki. Otworzyć drzwiczki i powiedzieć: no dalej, lećcie. Chociaż szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle umiały latać. Może spadłyby na dywan. Może wcale nie było im smutno. Tylko mnie tak się zdawało.

No dobrze, chciał się pan spotkać. To pan się dopraszał, więc powiem wszystko, jak jest. Nie mam nic do ukrycia. Vinny też nie miał. Przeczytałam te przesłuchania pierwszy raz od wielu lat i jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego zmieniałam zdanie i zdecydowałam się przyjść, to właśnie przez nie. Nie pozwolę, żeby Pearl miała ostatnie słowo. Ile razy bym sobie powtarzała, że nieważne, co pan napisze w tej książce, nie mogę dopuścić, żeby poznał go pan za pośrednictwem Pearl. Ona go nie знаła. Nie tak jak ja.

Ludzie już wyrobili sobie opinię na temat Vinny'ego. Miał konflikty z prawem, więc na pewno on to zrobił. Nie za bardzo wiedzą, co takiego właściwie zrobił, ale kto by sobie zaprzętał głowę szczegółami, kiedy jest

koziół ofiarny pod ręką? Trident udaje, że ci pozostali dwaj, Arthur i Bill, byli święci, ale wystarczy trochę podrapać i wyjdą brudy. Brudy Vinny'ego były na widoku. Nie miał nic do ukrycia.

Trident wie, że pisze pan książkę. Udają miłych i sympatycznych, ale muszą się martwić, bo zaczęli dawać mi do zrozumienia, że jeśli będę z panem rozmawiała, to pożalę. Cofną mi odszkodowanie, co prawda w ogóle nie spodziewałam się, że cokolwiek dostanę, bo nie byliśmy z Vinnym po ślubie, ale chcieli mi zatkać usta, więc regularnie płacili. Roger, mój mąż, chętnie korzysta z tych wypłat. Nie znosi najmniejszej choćby wzmianki o Vinnym, ale nie ma nic przeciwko przyjmowaniu pieniędzy. Założę się, że Helen i Jenny też dostały takie listy. No ale z wiekiem człowiek nie daje się już tak łatwo zastraszyć.

Trident trzyma się na dystans, utrzymuje, że nie mieli z tym nic wspólnego. Nie chcieliby, żeby ludzie się dowiedzieli, że zatrudniali wroga Vinny'ego. Wystarczył im jeden kryminalista w szeregach. Jeśli ktoś skojarzyłby Vinny'ego z tamtym człowiekiem, firma znowu zostałaby wciągnięta w tę sprawę.

Nie mogę panu powiedzieć, co się stało. Ale co myślę, że się stało? To inna para kaloszy.

To był ten człowiek, o którym mówił Mike Senner. Nigdy mi się nie podobało, jak Trident to zbagatelizował. Nawet Helen twierdziła, że to bzdury, z powodu reputacji Mike'a, był miejscowym głupkiem, no i może rzeczywiście czasem gadał trzy po trzy, ale nawet jeśli taka informacja wpłynęła od wariata, to i tak wypadałoby sprawdzić, nie sądzi pan?

Prawda jest taka, że Tridentowi zeznania Mike'a Sennera były wybitnie nie na rękę, bo fatalnie świadczyły o tym, jak prowadzili ten interes. Zresztą jeśli ktoś się orientuje, jak przebiega przybicie łódką do skał, na których stoi wieża, to faktycznie wydaje się raczej niemożliwe, żeby jakiś facet mógł sobie tak po prostu popłynąć bez ich wiedzy.

Tyle że to musiało być możliwe. Ten niby-mechanik chciał się zemścić na Vinnym, no i mu się udało. Ale zaraz, przeskoczyłam trochę za bardzo do przodu. Może usiądziemy?

Pearl miała z góry wyrobione zdanie na temat Vinny'ego. Rozumiem, że chciała wspierać siostrę, biorąc pod uwagę, skąd Vinny wziął się na tym świecie, ale żeby wpajać dziecku do głowy, że nikt go nie chciał? Powtarzać mu, że jest taki sam jak jego tatuś gwałciiciel, zamykać na klucz

i spuszczać lanie, kiedy odważył się pyskować? No to nic dziwnego, że wylądował w więzieniu. Vinny nie widział sensu w niczym innym. Nikt go nie nauczył, że w ogóle istnieje cokolwiek innego. Dajemy z siebie to, co sami dostaliśmy od życia, a jemu życie dało... cóż, gówno.

Nie licząc latarni. Latarnie dawały mu nadzieję i jest dla mnie nie do pomyślenia, że mógłby to odrzucić. Pearl powiedziała by na to pewnie: „Pamiętasz, co zrobił tym ostatnim razem? Ktoś, kto robi coś takiego, jest zdolny do wszystkiego”. Ale nie miałyby racji. Tak jak nie miała racji, kiedy twierdziła, że bił Pamelę i pluł na nią, kiedy był malutki. Vinny w ogóle nie był z matką przez większość czasu, kiedy żyła; podejrzewam, że czasem po prostu uderzył ją niechcący jak wszystkie maluchy, moje też, kiedy uczą się siedzieć na krzeselku do karmienia albo zmienia się im pieluchę, dostają butlę albo idą spać i tak dalej. To bzdura twierdzić, że umyślnie robił jej krzywdę. Jeśli Pam miała siniaki, to od igły.

Owszem, Vinny miał ciemną stronę. Musiał ją mieć, skoro zrobił to, co zrobił. To nie była złośliwość czy uszczypliwość, tak jak mówi się czasem coś wrednego, żeby sprawić komuś przykrość, ale prawdziwe zło – jeśli chciał zrobić komuś coś złego, to coś złego tego kogoś spotykało. Lepiej było mu nie podpaść. Ale muszę podkreślić, że był też lojalny. Kiedy raz kogoś polubił, to nigdy nie zwątpił. Stąd wiem, że na pewno był lojalny wobec Tridentu, bo oni byli lojalni wobec niego. Ta praca naprawdę zmieniła jego życie.

Słyszał pan o Białym Gawronie? Naprawdę nazywał się Eddie Evans. Erica opowiedziała mi, jak to było, kiedy dorastali. Eddie i Vinny byli podobno największymi kogutami w lokalnym kurniku. Ciągłe ze sobą rywalizowali, próbowali się zwalczać – kto wszedł na czyj teren, kto poderwał jaką dziewczynę, kto co komu zwędził, a to wszystko o dupę potłuc, bo teraz już i tak nikt nie pamięta, o co chodziło, kompletny bezsens. Ale kiedy Eddie wziął się na najlepszego przyjaciela Vinny'ego, to sytuacja zupełnie się zmieniła. Według Eriki spuścił Regowi takie lanie, że Vin musiał zająć się sprawą. Chcieli tylko trochę Eddiego nastraszyć. Nie wiedzieli, że ma córeczkę. Skąd mieli wiedzieć?

Kiedy Vinny zaciągnął się do Tridentu, dowiedział się, że Eddie też dla nich pracuje. Vinny nie widział go od tamtej nocy, a ostatnie, co powiedział mu wtedy Eddie, to że któregoś dnia zemści się na nim za to, co zrobił.

Powiedziałam o tym śledczym. Oni porozmawiali z Eddie – przynajmniej tak twierdzili – a Eddie powiedział, że niestety nie może im pomóc. Nie widział Vinny’ego od wielu lat, i bardzo dobrze. Twierdził, że to odległa przeszłość, a on jest już nowym człowiekiem. A zresztą jak niby miał się tam dostać, zrobić to, co sugerują, i doprowadzić do zniknięcia trzech latarników z wieży niewiele szerszej niż ta ławka, na której teraz siedzimy? Ale coś sobie wtedy pomyślałam i nadal nie daje mi to spokoju. To, że Eddie sam nie upaprał sobie rąk, nie znaczy, że nie wysłał kogoś innego.

Trident upierał się, że nie wysłali na wieżę żadnego mechanika. Na latarni nie było nikogo oprócz stałej trójki. Na dowód odtworzyli transmisję radiową – Arthur prosi, żeby wysłali mechanika, a potem się wycofuje, mówi, że jednak nie trzeba, odwołuje, już naprawione. Ale Arthur nie powiedział, kto ani jak naprawił usterkę. W Tridencie założyli, bo oni ogólnie lubią zakładać, że pewnie zrobił to on sam, Bill albo Vinny. Mogę przysiąc z ręką na sercu, że Vinny nie miał zielonego pojęcia o naprawianiu czegokolwiek, zwłaszcza generatora na ropę. Ledwie umiał wymienić żarówkę.

Szkopuł w tym, że nikt tego mechanika nie widział. Ci z Tridentu zakładali, że ktoś przecież musiał go zauważyć, zwłaszcza że wyglądał podobno bardzo nietypowo. Nie mogli znaleźć też ani śladu szypra.

Ale takich właśnie ludzi ma Eddie. To duchy. Mógł wybierać spośród wszystkich swoich pomagierów, ale wybrał akurat Sida. Kazał mu zabić całą trójkę, pozbyć się ciał i samemu też się ulotnić. I to właśnie zrobił.

Tyle było różnych spekulacji, że wszyscy o tym zapomnieli. Trudno było ocenić, co jest warte uwagi. Krążyła cała masa plotek, ludzie opowiadali najdziwniejsze rzeczy i po jakimś czasie człowiek już sam nie wiedział, w co wierzyć. Weźmy tę brakującą linę z magazynu. Trident zaprzeczał, jakoby cokolwiek takiego miało miejsce, chociaż wiele lat później jeden z ich śledczych przyznał, że to prawda. Wiem, że to mogłoby pasować do wersji ze sztormem – przyszła wysoka fala, tak jak uważa Helen, jeden drugiemu rzucił linę na ratunek... Może. Ja myślę, że ten cały Sid ich nią udusił.

Mówiłam już panu, jak się przedstawiała sytuacja, że Vinny był mocno umoczony. A kiedy Eddie zaatakował Rega, miarka się przebrała; Vinny się wściekł i powiedział, że idą mu pokazać. Pies w ogóle nie miał mieć z tym

nic wspólnego. To wszystko pech, kwestia nieodpowiedniego czasu i miejsca. Podjęli decyzję w ostatniej chwili, spontanicznie, bez namysłu, i zrobili coś złego. Zamierzali tylko włamać się do mieszkania Eddiego, nie wiedzieli, że mieszka z córką, sześciolatką. A tu ona wyszła im nagle na korytarz w piżamie i zaczęła płakać. Eddie się obudził. Ktoś zaczął powtarzać: „Uciszcie ją, niech się zamknie”, potem Eddie ją znalazł i założył najgorsze, wyciągnął nóż i się zaczęło.

Eddie dźgnął Rega, na śmierć. Reg umarł Vinny’emu na rękach. Vinny stracił głowę, bo to przecież był jego pomysł, a teraz co; nie wiedzieli o dziewczynce, to też była jego wina. Wszyscy byli w szoku. Potem na dworze zaczął szczekać pies, uwiązany w budzie. Eddie pewnie żałował, że akurat tej nocy nie spuścił go z łańcucha – to był owczarek niemiecki; Vinny opowiadał, że pies miał zgniły nos i wyliniąte futro. To nie on wymyślił, żeby go podpalić, tylko któryś z pozostałych chłopaków, no ale nikt nie myślał logicznie, wszędzie krew, Reg nie żyje, więc to zrobili. Związali Eddiego i zmusili jego córeczkę, żeby patrzyła, jak jej pies się pali. Eddie patrzył na nią, kiedy patrzyła na psa.

To Vinny zdecydował, żeby tam poszli, nawet jeśli nie on odpowiadał za wszystko, co zrobili, a choć wiele można mu było zarzucić, to na pewno nie tchórzostwo. Wziął na siebie całą winę – nie miał nic do stracenia, żadnej rodziny na utrzymaniu, i tak był już karany, więc równie dobrze mógł się podłożyć policji. Jak już mówiłam – był lojalny na zabój. W końcu, jakkolwiek by patrzeć, to był tylko pies. Inny dostał parę lat i wyszedł. No ale podpalenie żywcem to jednak nie byle co. No i zmusili dziewczynkę, żeby patrzyła. Tak, to nie byle co.

Niech ludzie mówią o Vinnym, co chcą, może rzeczywiście miał jakąś mroczną stronę. Ale czy ktokolwiek z nas nie ma? Jeśli zostanie sprowokowany, straci głowę... No nic, pytam jeszcze raz: czy nie każdy ma mroczną stronę?

Po śmierci Rega Vinny chciał się wymiksować z tego interesu. To był ostatni raz. Chciał być lepszym człowiekiem i wiedział, że potrafi. Ja też wiedziałam.

Proszę. Vinny przysłał mi ten wiersz w ostatnim liście. Może pan z nim zrobić, co pan chce. Kiedy ci z Tridentu zapytali mnie, czy mam coś od niego z tamtego czasu, powiedziałam, że nie. Wiedziałam, że nigdy bym już tego nie odzyskała. Ale z upływem lat zaczynam coraz bardziej wątpić, że

Vinny to napisał. Lubił poezję, uwielbiał różne słowa. Uważał, że wychodzi przez to na mięczaka – ale czy to nie wspaniałe, że chłopak bez żadnego wykształcenia potrafił przelewać na papier takie rzeczy?

Sęk w tym, że on nie pisał takich rzeczy, to nie jego styl. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale jeśli się go znało, to widać. Od czasu do czasu wysyłał mi wiersze miłosne, ale tych na pewno panu nie pokażę. Ten jest inny. Wspominał, że dużo rozmawiał o poezji z szefem. Myślę, że to Arthur go napisał, podyktował Vinny'emu, nie wiem. Ale tak myślę.

Vinny wiedział, że przeszłość go w końcu dogoni. Że nieważne, co zrobi i jak szybko będzie uciekał, przeszłość zawsze będzie na niego czekała. I najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że faktycznie. Czekala na niego. Dany mu był ten czas w latarniach morskich, kiedy myślał, że może być wolny. To jak ptaki w tych cholernych klatkach, co nie? Póki jest w klatce, to wszystko w porządku, ale jak tylko się go wypuści, to od razu się przekonuje, czego nie miał. Że wcale nie do tego był stworzony, a jego skrzydła jednak nie działają.

[Adres zastrzeżony]

10 września 1992 r.

Szanowny Panie Sharp!

Dziękuję za Pańskie listy z 12 czerwca i 30 lipca. Przepraszam, że odpisuję dopiero teraz. Moje zatrudnienie w Trident House w okresie „zniknięcia z Maiden Rock” wiąże się dla mnie z trudnymi wspomnieniami. Ta sprawa już od dawna ciąży mi na sumieniu, co z jednej strony opóźniło moją odpowiedź na Pańskie listy, a z drugiej wreszcie mnie do niej zachęciło. Sekrety skrywane przez wewnętrzny krąg wtajemniczonych nie mogą na zawsze pozostać w ukryciu.

Tak, firma wie, co się stało z latarnikami. Wiedza ta jest dostępna niewielkiej garstce osób i nie sądzę, żeby kiedykolwiek została upowszechniona. Niezależnie, do jakich wniosków dojdzie Pan w swojej książce, pozostaną one kolejną z wielu teorii, niepotwierdzoną przez nikogo, kto mógłby mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Mogę udzielić Panu odpowiedzi, ale w największej tajemnicy.

W tamtym czasie nie rozmawialiśmy o zniknięciu. Zostałem zatrudniony przez jednego ze Starszych i namawiano mnie, delikatnie rzecz biorąc, żebym udawał, że niczego nie widzę ani nie słyszę. Nie wolno było nawet wspominać o tej sprawie. Choć już nie pracuję w Trident House, widok latarni morskiej nadal wywołuje we mnie nieprzyjemne uczucia.

Trident ma oficjalną wersję wydarzeń, opartą na dowodach, które upublicznili. Praktycznie rzecz biorąc, winą został obarczony nadetatowy pomocnik latarnika i do dziś pozostaje to obowiązującym

stanowiskiem firmy. Nigdy nie przyznają, jak było naprawdę. Że przyczyna nie leżała w czynnikach zewnętrznych, a w charakterze samej pracy.

Rodzinom nie powiedziano bardzo wielu rzeczy. Już po wszystkim Trident nieoficjalnie kontynuował dochodzenie – odciski palców, ewaluacje psychiatryczne, no i kluczowe odkrycie dziennika pogodowego. To wszystko wskazywało na innego sprawcę. Jeden latarnik jako ostatni dotykał wszystkich przebadanych przedmiotów. Ten sam człowiek wypełniał rejestr niezgodnie ze stanem faktycznym, a według oceny ekspertów cierpiał na zaburzenia osobowości związane z depresją i zespołem stresu pourazowego. Uznano, że zamordował pozostałych w napadzie szału.

Trident nie chciał tego ujawniać, bo cenili Arthura Blacka. Cieszył się szacunkiem i poważaniem, poza tym stanowił dla firmy pokazowy przykład, jak świetnie troszczyć się o pracowników przez całe życie. Główny latarnik zajmuje w Trident szczególną pozycję: Starsi wyznaczają na to stanowisko wyłącznie pracowników o najlepszej reputacji. Przyznać, że wina leżała po jego stronie, to skazać piękną wizję romantycznego życia latarnika.

Śledczy opracowali dwie teorie co do motywów Arthura. Jedna wiązała się z nadedatowcem: Vincent Bourne miał ukryć na wieży jakieś pieniądze, Arthur je znalazł, planował sobie przywłaszczyć, pozbyć się pozostałej dwójki i uciec. Brzmi naciąganie? Może i tak, ale nie bardziej niż dziesiątki innych hipotez stawianych przez te wszystkie lata. Według drugiej wersji Bill Walker miał mieć romans z Helen, żoną Arthura. W takiej sytuacji motywu nie trzeba daleko szukać.

Mnie jednak nigdy nie przekonywała żadna z tych wersji. Moim zdaniem Arthur po prostu nie wytrzymał życia na latarni. Ja nie zdołałbym wykonywać takiej pracy. A Pan?

Mam nadzieję, że przedstawione powyżej informacje okażą się dla Pana przydatne. Ufam, że uszanuje Pan moją prośbę o zachowanie anonimowości.

Z poważaniem,

[podpis]

SYGNAŁ

*Spotkałem pewnego człowieka na plaży,
Patrzył na morze z troską na twarzy.
Czy widzisz to? – wzrok miał pytający.
Dojrzałem czarny ogień błękitem płonący.
Potem wyznał szeptem, jak na śmierci łożu:
Zgubiłem serce, jest gdzieś tam na morzu.
Poszukaj go, proszę, bo ja sam nie mogę
Wyruszyć bez serca w niebezpieczną drogę.
Im dalej płynąłem, światło mocniej jaśniało,
Płonęło dzikim ogniem, jakby mnie wzywało.
Lecz gdy się obróciłem i spojrzałem na brzeg,
Okazało się, że zniknął tajemniczy człek.
Znalazłem serce, do środka się wślizgnąłem,
Słone wody wzbierały powoli, z mozołem;
W końcu załamała się fala i porwała mnie
Tam, gdzie latarnika dusza zagubiła się.
Oto i jesteś, gorzejący płomieniu,
To zawsze byłeś ty – znam cię po imieniu.
Światło wciąż płonie dla nas z całych sił:
Jego duch i mój obrócone w pył.*

XI

1972

Światło z morskiej otchłani

Odwiedzał ptaki w piątek, każdy piątek przed wschodem słońca. Wspinał się na wzgórze, co nie było łatwe po ciemku, i otwierał furtkę. Odgłos zwalnianego zamka – trzask! – przypominał dźwięk potarcia zapalką o draskę i dzięki temu słońce wiedziało, kiedy ma wzejść. Myślało sobie: przyszedł Arthur, zapalił świecę – już czas.

Jeśli nie znało się ścieżki dobrze, nie była przyjazna. Na piechura czyhały rowki i dołki; po gołych nogach drapały kępki przerośniętej trawy, suche i bezbarwne po długim, gorącym lecie. Wolałby włożyć długie spodnie, ale liczyła się efektywność czasu i ruchu, jak mawiał ojciec; musiał mieć już na sobie szkolny mundurek.

W podstawówce pani McDermott zawsze stawiała go za zły przykład: „Arthur Black! Jak ty wyglądasz? Jakby ktoś przeciągnął cię przez żywopłot”. Czasem kiedy biegł z górki do szkoły, rozwiązywały mu się sznurowadła, potykał się i obcierał sobie kolano, albo zahaczał marynarką o gałąź drzewa. Na butach często miał ptasie gówno. Dzieciaki wołały na niego Ptaszor. Nie przeszkadzało mu to. Być wysoko nad morzem, słyszeć odgłosy mew w miękkich cieniach pod krokwiemi – to było spełnienie jego pragnień, uczucie zadowolenia, które czuł w dłoni niczym ciężki przycisk do papieru.

W stołówce, kiedy inni chłopcy strzelali w siebie sosem albo wpychali sobie fasolkę do nosa, Arthur myślał o ptakach. Na boisku, kiedy Rodney Carver taranował go z piłką do rugby i syczał: „No dalej, chuderlawa babo”, wyobrażał sobie chmurę skrzydeł zstępującą ze szczytu wzgórza wprost na Rodneya i despotycznego nauczyciela w-f, którego blade, piegowate, bezwłose nogi, niczym resztki słoniny z niedzielnej pieczeni matki, prześladowały Arthura w snach.

Z ptakami nie czuł się samotny. Czasem je rysował, patrzył, jak tłoczą się niezgrabnie w stadzie, drżą im pióra, a mokre grudki odchodów

rozbryzgują się na deskach. W powietrzu unosiła się woń głębokich, nieużywanych szafek z delikatną nutą mięsnej pasty.

Kiedy ojciec pierwszy raz pokazał mu ptaszarnię – „Chodź, Tuppence, chcesz zobaczyć coś ciekawego?” – Arthur wdrapał się za nim na wzgórze. „Polepsza im się – powiedział – a potem odlatują”. Nikt nie wiedział, dlaczego ptaki spadały z nieba. Arthur znajdował je przed drzwiami frontowymi albo wśród krzewów cisu w ogródku, skrzydłami uderzały w ziemię. Ojciec obudził go w nocy: „Spójrz, synku, cichutko, ostrożnie, zobacz...”. Nocna tajemnica drżącego ciała ujętego w dłonie ojca; kołaczące serduszko, tkliwa bezbronność i delikatność.

Samotność zmieniała się w twardą kulę w żołądku Arthura. We wszystkich pomieszczeniach w domu panowała cisza, jeśli nie liczyć tykania zegara na kominku. Matka snuła się w półśnie, a jej mąż dłuwał w zegarkach na zapleczu, powoli tracąc wzrok. Nie pamiętał, jaki był ojciec przed wojną – lżejsze, swobodniejsze ramiona, łagodniejszy uśmiech; teraz drapał starczymi szponami, zostawiając krew na pościeli. O czwartej nad ranem domowników budził przenikliwy krzyk, jakby ktoś z piskiem odsunął krzesło od stołu.

Często zdarzało mu się fizycznie czuć samotność: potrafił wymacać ją palcami, a jeśli zbyt mocno nacisnął – bolała. Jeśli zbyt szybko jadł – bolała. Pił dużo wody, żeby ją wypłukać, ale nie działało. Spodziewał się zobaczyć ją po każdej wizycie w ubikacji. Niedużą, niebieską. Zalęknioną. Nie wiedział, co miałby z nią zrobić. Nie wiedział, co począłby bez niej.

Słońce pojawiło się jako ogniście pomarańczowa smuga sypiąca iskry po całej tafli morza. Arthur dostrzegął stąd latarnię, żółte oko rozwierające się bezdźwięcznie.

Uczyli się w szkole o tej wieży. Nie mógł uwierzyć, że jacyś ludzie tam mieszkają, trzyosobowa rodzina mężczyzn, uznał, że to rozwiązanie jego problemu, recepta na samotność – bo zawsze byłby z dwoma innymi, którzy nie mogliby odejść. Inni chłopcy podnosili ręce, żeby odpowiadać na pytania o katastrofy morskie i inżyniera Stevensona, a w jego sercu wydrążyła sobie zakątek melancholia. Latarnia zdawała się wyciągać do niego ręce, tęsknić, nie potrafił tego opisać – jakby była smutna i go potrzebowała.

Dowiedział się o żeglarzach roztrzaskujących się na ostrych jak kły skałach – maszty kołyszące się w świetle krwawego księżyca, metaliczne

bicie dzwonu zwiastującego śmierć, rozbryzgi wymiocin, smród gówna, krzyki kupców na widok idących pod wodę towarów i zadowolenie tych na lądzie, którzy tylko czekali, aż morze wyrzuci te dobra na brzeg. Przeczytał *Wyspę skarbów* i zachwycił się, że z jednej rodziny mogą pochodzić opowiadacz historii i budowniczy latarni morskich. Poznał losy mężczyzn, którzy wznosili te wieże na morzu, wielu z nich zginęło, pracowali na w połowie zatopionych skałach wiele mil od lądu, chłostani przez wiatr, pokrytymi solą dłońmi stawiali kamienne bloki, niemal natychmiast zmywane przez fale, a czasem, już po ukończeniu budowy, musieli patrzeć, jak wiele lat znoju zawała się do wody. Nikt nie podziwiał ich dokonań, bo nikt się tam nie zapuszczał.

W dniu jedenastych urodzin zauważył białego ptaka. Był większy od innych. Przyleciał znad morza, czysty jak śnieg, i spojrzał na niego różowawym okiem.

Opowiedział o tym później ojcu, który spytał: gołąb? Nie, nie gołąb, odparł Arthur. To co to było? Nie wiem. Ojciec poszedł sprawdzić. Po powrocie powiedział Arthurowi, że nie ma żadnego białego ptaka, cholerne bajki, tutaj nie ma takich ptaków. Ale ja go widziałem. Tak, jasne. A teraz skocz po zapalki, synku.

Opowiadałem ci o świetle, tłumaczyłem, jak to działa. Że nie ma prostego podziału na światło i ciemność, istnieją przestrzenie pomiędzy i właśnie te przestrzenie, ich rozmiar i kształt, mają większe znaczenie. Twoja matka nie słuchała. Stała przy zlewie z brudnymi naczyniami, jej dłonie w żółtych gumowych rękawiczkach zwiędłe na powierzchni wody niczym żonkile ze zwieszonymi główkami.

Zapadła noc, wyszliśmy na dwór. Włożyłem ci swoją kurtkę, żebyś nie zmarzł; świeżo umyte włosy lśniły w blasku księżyca. Położyłem dłoń na czubku twojej główki, tylko po to, żeby zobaczyć, jak idealnie pasowały do siebie te dwa kształty. Poszczególne części się dopasowują, kiedy dwa ciała należą do siebie nawzajem: podbródek do dłoni, zgięcie łokcia do głowy.

Poszliśmy na brzeg, gdzie było słyhać fale i grzechot kamyków na plaży. Podałem ci latarkę. Moja kurtka była na ciebie za duża, rękawy zakrywały ci palce. Podwinęliśmy jeden mankiet i odsłonięty nadgarstek sterczał jak wykopana z ziemi kość, szokująco biały. Światło z latarki przecięło morze długim snopem, jasnym przy brzegu i godzącym się z porażką, w miarę jak próbował przegonić noc dalej, niż bezpiecznie jest się zapuszczać.

Charakter Maiden jest stały. Jej promień niezmienny. Pokazałem ci, jak trzymać latarkę nieruchomo, odpowiadać światłem, tak jak Maiden względem statków na morzu.

– Latarnicy zobaczą twoje światło – powiedziałem. – Tak jak ty widzisz ich.

Zdziwiła cię myśl, że twoje światło widać z tak daleka, ale wyjaśniłem ci, że tak to już jest ze światłem – nie potrzeba go dużo. Na odwrót to nie działa – nie zauważyłbyś skrawka cienia w słonecznym ogrodzie, światło jest znacznie silniejsze i szybsze, oko

samo go szuka. Jeśli pomyśleć tak o świecie, to nie wydaje się takim strasznym miejscem.

Zgasiliśmy światło, a wraz z nim – morze.

Pstryk i morze powróciło.

Księżycyca ubywało, wyglądał jak wyszana do połowy miętówka. Kiedy stałeś u mego boku, noc zdawała mi się delikatna. Z początku robiliśmy tak, żeby okresy światła trwały krótko, a ciemności – długo; zapalić na trzy sekundy, zgasić na dziewięć, to się nazywa światło błyskowe. Przy odwrotnej proporcji, kiedy światło trwa dłużej niż ciemność, mamy do czynienia ze światłem przerywanym.

Spodobały ci się te słowa, powtarzałeś je. Powiedziałem ci, że oprócz tych dwóch rodzajów jest jeszcze światło izofazowe, kiedy fazy świecenia i zaciemnienia są równej długości. Gdybym był teraz na wieży, powiedziałem, widziałbym twoje sygnały z lądu, najpierw światło stałe, potem błyskowe, potem przerywane i znowu stałe.

Wiedziałbym, że to twoje światło, rozpoznałbym je zawsze i wszędzie. Dzięki tobie było mi dobrze na lądzie. Byłeś jednym z nielicznych plusów.

Arthur obudził się gwałtownie w środku czarnej nocy. Gęste opary snu unosiły się tępo na powierzchnię. Ale to wcale nie noc, było już rano. Wpół do dziewiątej. To przez zasłonę było tak ciemno. Odsunął ją i zobaczył Billa na koi naprzeciwko. Wigilia Bożego Narodzenia.

Wyciągnął przed siebie ręce, zwracając wewnętrzną część dłoni do góry, jakby składał ofiarę za swoje życie, dar wielkości bochenka, noworodka. Wspomnienia i wymysły, nie potrafił ich już rozróżniać. Kiedy zamykał oczy, pojawiały się wizje Tommy'ego. Pivne oczy. Wyciągnięta rączka. Dokąd udawał się jego synek w tych godzinach pomiędzy?

Kiedy był sam, często to słyszał. Tupot stóp. Szelest w ciemnym kącie. Zgrzyt daleko w dole, w magazynie, kiedy tamci spali, ale gdy Arthur docierał na miejsce, mógł tylko stać tam zdezorientowany, jak starszy mężczyzna na przystanku autobusowym.

Vince stał przy oknie i patrzył na brzeg.

– Czekasz na coś?

– Nie.

Arthur ocenił, jak rozmiary i siła młodego mężczyzny wypadają w porównaniu z jego warunkami – długie nogi, szerokie plecy, ale musi istnieć jakiś słaby punkt, choćby tylko element zaskoczenia. Włączył telewizor – w wiadomościach o pierwszej puścili materiał o Ghaffar Khanie. Kiedy Arthur się poruszał albo coś mówił, miał wrażenie, że tkwi w okowach głębokiego snu. Czuł się niewytłumaczalnie ciężki i wycofany.

– Co robiłbyś teraz w domu? – spytał Vince.

– Pakował prezenty. Słuchał *Carols from King's*. Już nie jest tak jak dawniej.

– No tak. Jasne. Przepraszam. Zapomniałem.

– Nie oczekuję, że będziesz pamiętał.

– Ale powinienem.

– Wolałbym, żebyś nie pamiętał. Puszczają coś innego?

– Jakieś gówno o Davym Croketcie. Herbaty?

– Idę na ryby.

– Na ryby? – zdziwił się Vince. – Jest lodowato.

– Świąteczna tradycja – odparł Arthur. Nie żeby to była prawda.

Nie chodziło o to, żeby cokolwiek złapać, tylko siedzieć i patrzeć. Fale przelewały się pod psimi schodkami. Mróz wciskał mu się pod płaszcz. Mgła układała się w różne kształty, zdeformowane, podzielone. Czuł, że coś odwzajemnia teraz jego wzrok, patrzy na niego natarczywie, choć jest niewidzialne. Mogło zaatakować z każdej strony, zza wody albo z nieba. Nie wiedział, kiedy to nastąpi.

Morze jakby się tliło, na powierzchni tańczyły szare smużki. Kiedy spojrział w górę, zobaczył, że wieżę jakby skrócono o głowę, na wysokości kuchni. Z gęstej chmury rozlegał się huk działka przeciwmgielnego.

Arthur usłyszał za sobą tupot biegnących stópek, jak w grze w chowanego. Tup-tup-tup-tup-tup.

Obrócił się. Nikogo.

Wyobraźnia płata mu ostatnio figle.

Znowu te kroki. Tup-tup-tup-tup-tup.

Cienki śmiech. Dziecko.

Arthur odłożył wędkę i ruszył dookoła wzdłuż krawędzi odsadzki, wracając do punktu wyjścia. Śmiech nikał we mgle i się z niej wynurzał, w jednej chwili stłumiony, a już w następnej dźwięczny. Chichot.

Zaczekaj, powiedział, kręciło mu się w głowie. W kółko i w kółko. Wędka się rozpląnęła, tak samo jak drzwi, nic nie wskazywało, kiedy okrążenie było pełne, i Arthurowi przyszło do głowy, że przecież okrąg nie ma początku ani końca, oczywiście, po prostu ciągnie się wiecznie. Jedną ręką dotykał wieży, drugą trzymał z przodu, przekonany, że lada chwila tego dotknie.

Czego? Kołnierza koszulki. Łokcia. Skóry.

Zaczekaj, powiedział. Czeka.

Zatrzymał się i nasłuchiwał, żeby tupiące stopy mogły go dogonić. Nie wiedział już, który z nich goni, a który ucieka. Ruszył przed siebie, kroki zdawały się teraz zdecydowanie zbyt szybkie, za szybkie, żeby wyrabiały się na zakrętach odsadzki, żeby jeszcze go nie dogoniły i nie wyprzedziły. Potknął się, przewrócił, złapał za główkę śruby oczkowej, nogi zadyndały mu nad morzem. Wysoko w górze wystrzeliła z hukiem armatka. Nikt go nie usłyszy.

Wymacał linę ratunkową i się podciągnął.

Śmiech wybuchł perliście, zwodniczo blisko.

„Hej!”

Suchy kaszel. Kot z kłaczkiem w gardle.

„Hej!”

Arthur zamrugął.

Podciągnął się do pozycji siedzącej i wziął do ręki wędkę. Natychmiast nastąpiło szarpnięcie – jak dzieciak ciągnący za włosy. Szarpnęło jeszcze raz, ciągnąc go do przodu.

Żyłka była napięta. Zaparł się ciężarem ciała; wędka była ciężka, coraz cięższa z każdym pociągnięciem, żyłka napinała się do granicy pęknięcia, ale już, już ją wyciągał, przez krótką chwilę zdawało mu się, że wygrywa, bo oto zobaczył kształt podpływający do powierzchni niepewnego, skapanego we mgle morza, tak jak w jego śnie dziś rano, kształt straszliwie znajomy, a zarazem nieznan. W końcu to rekin – ale mgła zniekształciła straszliwość tej istoty i oczywiście okazało się, że to nie rekin, chciałby odrzucić wędkę, ale jakiś ponury przymus mu to uniemożliwił, przykuł go

do miejsca, pozwalając mu tylko siedzieć i patrzeć, dokładnie tak jak planował, oczy mrużyły mu się, nie chcąc patrzeć, ale jednocześnie przyciągane siłą niezdrowej ciekawości.

Złapałem nie rybę, a mojego chłopczyka.

Haczykiem przebiłem mu policzek.

Żyłka się urwała. Chłopak zabrał ją ze sobą w dół i zniknął w mętnej wodzie; powierzchnia morza rozstała się, znowu złączyła i zostało już tylko lustrzane odbicie obłędu ojcowskiej desperacji, kiedy Arthur patrzył w wodę z twarzą wykrzywioną w dziwnym grymasie.

Na pokładzie Ducha Ynys przypląnęły z lądu podwójne piersi indyka i butelka czerwonego wina, do których mieli jeszcze jarzyny w puszcze i sos pieczeniowy z granulatu. Zamiast tradycyjnego puddingu bożonarodzeniowego musieli się zadowolić mniej wykwintnym deserem, również z puszki. Bill uwijał się nad garnkami, odpalając jednego papierosa od drugiego.

Arthur odsunął talerz z jedzeniem. Im dłużej przyglądał się Billowi przez opary dymu, tym głośniejszy stawał się ten dźwięk: przesuwanie paznokciami po szkle. Czasami zdawał się rozlegać tak blisko, jakby to jego ktoś drapał albo jego wnętrze.

– Słyszycie to?

– Co? – zdziwił się Vince.

Później, już w salonie, Vince trafił w telewizji na odcinek *The Old Grey Whistle Test*. Występował jakiś zespół Focus, czterech facetów, klawiszowiec miał bardzo wysoki wokół. Na koniec wyśpiewali życzenia świąteczno-noworoczne.

Obejrzeni orędzie królowej. Dwadzieścia pięć lat małżeństwa z Filipem; wstąpienie Wielkiej Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej; konflikt w Irlandii Północnej. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej potrzebujemy cierpliwości i tolerancji, podkreśliła, zarówno w rodzinach, jak i w narodach.

Arthur rozejrzał się po swoim trzyosobowym narodzie. Prześladowały go prywatne myśli. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby być tak pełnym czegoś, z czego inni nie zdają sobie sprawy.

Pozostali twierdzili, że prognozy się nie sprawdzą. Nie nadciąga żadna burza, Bill będzie miał spokojną zmianę. Arthura bolała głowa. Dokuczała

mu już od tygodnia. Z trudem przypominał sobie, co w tym czasie mówił i robił. Martwiły go te luki w pamięci.

Mgła się podniosła. Przez lornetkę mógł dostrzec odległy ląd, łodzie, rozmazane punkciki budynków. Pomyślał, że jego żona może też właśnie na niego patrzy; nieświadomie wysyłają sobie sygnały.

Miał nadzieję, że Helen jest szczęśliwa; że znajdzie szczęście.

Nie powinien był się z nią żenić, to było nieuczciwe. Z nikim nie powinien się żenić.

Zszedł do kuchni, bo kiedy zajmie się czymś innym, to on może wróci. Może przyjdzie, kiedy się na chwilę odwróci, tak jak wtedy we mgle, kiedy był zajęty czymś innym i nie zwracał uwagi, tak samo jak tamtego dnia, kiedy stracił swojego synka.

Arthur napełnił filiżankę wodą, po czym wszedł na górę do sypialni, gdzie spali Bill i Vince. Stał w drzwiach przez minutę, może trochę dłużej. Trzymał wodę jak ktoś, kogo poproszono o jej przyniesienie, ale teraz przestępował niepewnie z nogi na nogę, czekając, aż zaproszą go do środka.

Ból głowy świdrował ostro. Jak klawisze fortepianu naciskane w złej kolejności.

„Hej!”

Tupot stóp wbiegających po schodach.

Tup-tup-tup-tup-tup.

Kiedy dotarł do laterny, okazało się, że to tylko ptak. Burzyk, trzepot skrzydeł o szybę. Wleciał przez otwarte okno. Arthur zostawił go, żeby trochę polatał, chociaż mógł sobie zrobić krzywdę. Potem otworzył drzwi na galerię i wrócił na dół.

Po czwartej zrobiło się ciemno. Księżyc był tak ogromny, że widać było kratery. Pełnia: zły omen. Pomiędzy tymi kosmicznymi elementami – księżycem, pływami, wiatrem – istniał związek, który stanowił właściwie równanie, coś zbliżonego do podpisu Boga. Arthur nie mógł uwierzyć, że kiedyś stąpał po nim człowiek: ludzka stopa z odciskami, nagniotkami i krzywo obciętymi paznokciami czuła pod sobą powierzchnię Księżyca, to wydarzyło się naprawdę. Zanim rozwinęła się nauka, ludzie wierzyli, że gwiazdy to dziury w podłodze Nieba.

Wzmógł się wiatr. Pewien latarnik, z którym pełnił służbę na Longships, mawiał, że pobyty na wieżach nie byłyby takie złe, gdyby można było stuprocentowo polegać na harmonogramie. Gdyby zawsze wracało się na brzeg zgodnie z planem, byłoby łatwiej. Można by odliczać dni, nie martwiąc się, że w ostatniej chwili coś się przesunie i człowiek się rozczaruje.

To Arthur sprowokował tę pogodę. Burzę, którą każdego dnia wpisywał do dziennika pogodowego, ściągając ją czystą siłą woli.

Kiedy znajdą ten rejestr, uznają, że postradał zmysły. Że jest słabego zdrowia, niezdolny do pracy; lepiej żeby odszedł ze służby. Lepiej niech siedzi w domu z żoną, która go nie kocha, i za każdym razem, kiedy na nią spojrzy, niech widzi twarz ich zmarłego dziecka oraz mężczyznę, z którym go zdradziła.

Arthur był dumny ze swojego trzydziestoletniego stażu pracy. Kiedy awansowano go na głównego latarnika, najwyższe wyróżnienie, poprzysiął codziennie nosić mundur galowy. Zawsze gładko ogolony, wyglancowane buty – to była dla niego kwestia honoru, odznaka długiej służby. „Ta praca to dla ciebie nic dobrego, Arthurze, po tym, co spotkało Tommy’ego”, mówili mu ludzie. „Powinieneś być teraz przy Helen, siedzieć z nią w domu”. Ale latarnia była ostatnim, co mu zostało. To miejsce ocaliło jego duszę, ale stracił głowę, dobrze o tym wiedział, jakby wychodząc z domu, zostawił ją na wieszaku.

Pamiętasz, jak spacerowaliśmy po ugorze? Trzymałem cię za rękę, miękką i wilgotną. Patrzyliśmy, jak jaskółki nurkują i wzbijają się do lotu. Światło zachodzącego słońca. Kochałem Cię.

Kiedy patrzył w lustro, ukazywał mu się niepokojący widok. Wory pod oczami stwardniały. Nie poznawał wyrazu własnej twarzy. Nawet nie zauważył, kiedy urosła mu gęsta broda, a głosy w głowie z godziny na godzinę odzywały się coraz głośniejsze.

Na zewnątrz, w ciemności, przyciągał do siebie morze.

Wiatr dał ostrzegawczo, w górę, w górę; z głazu na dnie unosiło się czarne, pokręcone coś – od zawsze przyczajone, teraz gotowe.

51

Arthur obudził się czysto, jak pływak przebijający tafłę wody. Wiał ogłuszający wiatr. Dookoła morze się kotłowało, fale roztrzaskiwały się o granitowe bloki, wzbijając tumany wodnej mgiełki. Przy zamkniętych okiennicach powietrze w środku cuchnęło dusząco, a jednocześnie było lodowate, aż piekło w nosie. Czuł w głowie jasność, myśli miał przejrzyste.

Drugi dzień świąt. Bill nigdzie nie popłynie.

Arthur znowu to usłyszał. Podniósł się z łóżka i poszedł na dół, w kółko przy spoconej ścianie wewnętrznej, w dół, wprost w tę pogodę, wprost do morza.

Jego żona nie mogła zrozumieć, dlaczego nie znienawidził wody, ale on nie rozumiał, czemu ma nienawidzić miejsce, do którego odszedł ich syn. Z jej punktu widzenia morze zabiło Tommy'ego, jego ciało zostało wyłowione i skremowane, prochy schowane do pudełka. Arthur uważał, że nie powinno się trzymać w pudełku pięciolatka, który za życia nie mógł usiedzieć spokojnie ani chwili. Nie, dla niego on był tutaj, w oceanie, niesiony przez fale z południa na północ, z zachodu na wschód. Lśnił w porannym słońcu i pływał w kółko o zmierzchu.

Helen pytała, jak możesz to znieść, nie rozumiem, jak, do jasnej cholery, możesz to wytrzymać, a on nie potrafił odpowiedzieć. Gdyby powiedział, że tu właśnie jest Tommy, że on go tutaj czuje, sprawiłby jej przykrość. Nic więc nie mówił. Ona odwracała się w łóżku, a Arthur myślał o sąsiednich latarniach, które widywał podczas nocnej zmiany, o ich krzepiącej obecności; przypominały mu, że gdzieś niedaleko inny mężczyzna też nie zamyka oczu.

Gdyby powiedział: „Kiedy tam jestem, nasz syn nie jest sam. Kiedy jestem na brzegu, z tobą, czeka na mnie, tęskni za swoim tatusiem”, chyba by go uderzyła, bo Tommy był bardziej jej niż jego. Nie wiedziała, że prześladował go krzyk agonii Tommy'ego. Nie dawał mu spokoju. Wyrył

się w gwiazdach i wtopił w wodę; był w tańczącym płomieniu o zmierzchu i w tej chwili o świcie, kiedy gasił knot.

Arthur oparł rękę na poręczy. Kiedy podniósł dłoń, został wilgotny odcisk, który skurczył się i zaraz zniknął.

Nic nie przeżywa. Nic nie jest na zawsze. Wszystko ginie w odmętach.

Kiedy dotarł do drzwi wejściowych, okazały się tak zimne jak jego kamienie. Wymacał ślady i w ułamku sekundy zrozumiał, skąd się wzięły. Odciski paznokci na sztabie. Próba wejścia do środka albo wydostania się na zewnątrz.

Sztorm się nasilał. Białe grzywy pienily się na szczycie piętrzących się fal. Wiatr wył i zawodził. Grzmoty przetaczały się po błyskającym sklepieniu.

Arthur wspiał się po schodach do laterny. Po ścianach ściekała skroplona para wodna. Spodziewał się, że pokrywa ona także jego skórę, jakby całkiem zatarła się granica między jego ciałem a budynkiem, w którym się ono znajdowało, ale kiedy dotknął policzka, ten okazał się suchy i ciepły.

Zmiana Vince'a dobiegła końca. Jego się zaczęła. Załadował działko i detonator wystrzelił w huragan, wykrzykując ostrzeżenie przerwane przez wiatr. Fale się załamywały, pienily, nad całym tym chaosem rozbryzgiwała woda. Błyskawice przecinały kotłującą się ciemność, czarne morze, czarne niebo, wzburzony, spieniony ocean. Wieża drżała pod tym naporem, piana kipiała aż do lampy.

Arthur zamknął oczy i wyobraził sobie, że upada do przodu. Wizja utonięcia nie wydała mu się straszna.

W morze uderzył piorun.

Przez chwilę fale były oświetlone. Arthurowi zdawało się, że zauważył tamtą łódkę. Nie miał pewności, dopóki nie rozległ się kolejny grzmot i oto zobaczył go przed sobą: miotany falami statek.

Malutki. Drewniany. Z podartym żaglem.

Pchnięciem otworzył drzwi na galerię, aż go cofnęło od uderzenia wiatru i deszczu, i rzucił się do balustrady. Prosta łódeczka wiosłowa miotała się na szalejących falach.

– Uwaga!

Wichura porwała jego słowa. Eksplozja światła i statek znów się ukazał. W polu widzenia pojawił się wiosłarz i potwierdziło się to, w co wcześniej wierzył.

W dół po schodach, kurczowo trzymając się poręczy, nogi nie nadążały za palącą potrzebą stanięcia z tym żeglarzem twarzą w twarz. Zanim jednak

zdążył dotrzeć na miejsce, trzy piętra niżej usłyszał trzask drzwi wejściowych.

Tup-tup-tup-tup-tup.

Zbliżający się do niego, w górę, dziecięcy śmiech.

„Hej!”

Arthur obrócił się na pięcie. Zgubił odgłos kroków gdzieś za salonem i dopiero później, znacznie później wrócił na dół sprawdzić i zobaczyć ślady, nie butów, ale bosej podeszwy – miniaturowe skrzypce i pięć kropek w miejscu palców.

Do piątku wiatr się uspokoił, a deszcz zelżał, chociaż bez przerwy mżyło.

Bill połączył się przez radio z lądem.

– Możecie kogoś przysłać? – Miał spierzchnięte wargi, popękane skórki przy paznokciach. Sześćdziesiąt jeden dni na wieży.

„Nie da rady, Bill, fatalne warunki”.

Arthur stał za nim, przyglądał mu się z drzwi.

Bill się odwrócił. Mimo zimna, na czole lśniła mu warstewka potu.

– No dobra – odparł. – Niech będzie jutro.

„Jasne, Bill, ktoś wypłynie z samego rana”.

Arthur pomyślał: on sądzi, że mógłbym zrobić mu krzywdę.

Wiedział, że ma wiele powodów, żeby zrobić Billowi coś złego. Ale potem przypomniał sobie o łódce. O małej główce wioślarza i dłoni uniesionej w geście powitania.

„Widzę cię”.

Arthur nie był ulepiony z takiej gliny. Mógł zacisnąć pięść, ale nie potrafił jej użyć, choćby bardzo chciał.

Bill zawiesił głos. Jeden dzień. Jedna noc. Jeszcze jedna doba.

– Okej – powiedział i nastąpiła kolejna pauza, nieco dłuższa, zwiesił głowę i zamknął oczy. Na linii zapiszczało. – Bez odbioru.

– Arthur, obudź się. Wstawaj.

Otworzył oczy. Sypialnia wyglądała jak tunel czasoprzestrzenny w kosmosie, błękitne wnętrza upstrzone gwiazdami. Przy jego łóżku stał Bill. Mimo półmroku, z powodu półmroku, widział troskę na twarzy kolegi, głębokie oczodoły i błysk tęczówek.

– Wstawaj – powtórzył Bill.

– Co jest?

Głos Billa był schrypnięty, ledwie głośniejszy od szeptu.

– Coś się stało.

– Co?

– Nie ma go.

– Bill.

– Vince. Nie ma go. Przed chwilą. Nie ma go.

Arthur spojrzał w jego atramentowo jasne oczy.

– Bill, coś ci się przyśniło.

– Nie.

– Gadasz bez sensu.

– A ty nie?

– Bill...

– Obudziłeś się już?

– Siadaj. Lunatykujesz.

– On nie żyje – powiedział Bill. – Vince. Odszedł. Przed chwilą.

– Pójdę po niego.

– Widziałem.

– Pójdę po niego. Sam zobaczysz.

– Nie dałem rady – powiedział Bill. – Próbowałem.

- Zaczekaj.
- Byliśmy na zewnątrz. Zjawilo się nie wiadomo skąd.
- Siadaj, Bill.
- Nie wiadomo skąd.
- Usiądz.
- Vince krzyczał. Nie dałem...
- Pójdę po niego.
- Próbowałem. Ale morze.
- To nie może...
- Nie ma go. Morze. Nie ma go.

Arthur słyszał dźwięk kojącej bryzy i delikatnego falowania. Nie słyszał za to muzyki z magnetofonu ani nie czuł zapachu dymu papierosowego.

Opuścił stopy na podłogę, włożył spodnie i sweter. Wiedział, że już za późno, ale jest tak, że cokolwiek wydarzy się na wieży, on musi wziąć to na swoje barki.

Za nim, w głębi sypialni, Bill wyjął z szafki jakiś przedmiot. W małym wycinku czasu Arthur obrócił głowę, zorientował się, co to jest, i przez mózg przebiegła mu seria wspomnień, jedno po drugim. Pamiętał, jak ojciec prowadził go po trawiastym wzgórzu, miękkie paprocie muskały go po gołych nogach, mewy trzepotały się pod krokwiemi. Myślał o tym, jak morze lśni żółto o wschodzie słońca, o mglistych chmurach zabarwionych na różowo. Przypomniała mu się pierwsza latarnia, na której stacjonował, Start Point, i tamtejsi latarnicy, starsi od niego, ich gardłowy śmiech i śmierdzące fajki, wspinanie się po żelaznych schodach i gaszenie niedopałków twardymi opuszkami kciuków. Wspominał Helen w dniu ślubu, ich pocałunki, to, jak mu powiedziała, że będą mieli dziecko, i radość, jaka przepełniła go po narodzinach syna. Pomyślał o Tommym, na zawsze jego, światełku, które nigdy się nie obniża. Przywołał te tysiące razy, kiedy zapalił płomień na morzu, i niezliczonych żeglarzy, którzy dzięki niemu nawigowali. Myślał o tym, jak bardzo żałuje tego, co ich spotkało, jego żonę, jego przyjaciółkę, teraz i w przeszłości, i że już nigdy nie będzie mógł jej tego wynagrodzić.

Pomyślał, jakie to przykre, że tak wygląda koniec, zabarwiony stratą i dezorientacją, ponieważ popełnił błędy i nie był już tym samym człowiekiem. Arthur zawsze przepadał za samotnością, ale okazało się, że

ona nie była dla niego łaskawa; robiła mu rzeczy, które pozbawiały go kolejnych części jego samego, i w końcu nie wystarczało już, że tkwił na tej wyspie. Zanim otworzył drzwi, nastąpiła chwila, kiedy dotarło do niego, jaki przedmiot podniósł Bill i co zamierza z nim zrobić, i wtedy kawał skały osadowej wylądował na jego potylicy.

Bill nie chciał, żeby Vince się utopił. Ale kiedy już utonął, reszta wydawała się oczywista.

Jenny zawsze mu powtarzała, że nie potrafi się postawić. Ojciec mówił mu to samo. Bill żałował, że nigdy nie postawił się ojcu. Chciałby zacisnąć ręce na gardle tego starego sukinsyna – ręce albo pasek, pasek starego sukinsyna – i dusić.

Wyciągnął ciało głównego latarnika z sypialni i powlókł je na dół po schodach. Było ciężkie, musiał zmienić metodę i przerzucić je sobie przez ramię, jak żołnierz w okopach ratujący życie towarzysza broni.

Nigdy wcześniej nie widział stóp Arthura. Krótko obcięte paznokcie, owłosione palce. Biedny głupiec nie zdążył włożyć skarpetek.

W holu w jego rodzinnym domu, nad ołtarzykiem dla matki, wisiał marynarski zegar z napisem *Carpe Diem*. Bill pomyślał o jej uśmiechu, o pełnych podziwu oczach.

Uśmiechu Helen. Oczach Helen.

Dotarł do kuchni. Rzucił ciężar na stół. Krew rozlała się po blacie z laminatu, ciekła z niemożliwego do zidentyfikowania miejsca – rozkwaszonego nosa, pękniętego oczodołu i skroni, ale wszystkie te urazy niknęły w miazdze kości i krwi. Bill zauważył, że trochę przesadził, ale musiał mieć pewność.

Adrenalina dodała mu sił. Serce waliło jak młotem; szybki, urywany oddech dostarczał mu świeżego tlenu. Na dłoniach miał plamy w kolorze jodiny. Był pod wrażeniem tego, jak sprawnie działa jego umysł, jak jasno i bystro myśli. Rano przyplynie łódka ze zmiennikiem. Bill wszystko wyjaśni. Nikt nie będzie mógł go winić za te tragedie i nikt nie będzie mógł mieć pretensji o to, co zrobi później, kiedy Jenny już się uspokoi, kiedy minie odpowiednio dużo czasu, żeby wypadało zainteresować się wdową.

Jak jego małżeństwo miałoby to przetrwać? Jak można by oczekiwać od niego, że wróci zupełnie niezmienny? Nikt nie będzie miał wobec niego oczekiwań. Pierwszy raz: zero oczekiwań.

Bill wytarł dłonie głównego latarnika, a potem swoje. Włożył rękawiczki, zdjął ze ściany zegar i przestawił na ósmą czterdzieści pięć, godzinę zgonu ich syna. Helen powiedziała mu to któregoś dnia na kanapie w Kapitanie, kiedy wpadła odwiedzić Jenny. Jenny nie było, więc Bill zaparzył herbatę i wysłuchał jej, zapłakanej. Opowiedziała mu wszystko, z najmniejszymi szczegółami. Ósma czterdzieści pięć rano. Po czymś takim pocałunek był okazaniem życzliwości.

Arthur zostawiał swój podpis. Bliżej przyznania się do winy się nie da.

Bill przełożył baterie w odwrotną stronę. Przycisnął opuszki palców Arthura do miejsc, których sam dotykał. Potem wspiął się dwa piętra wyżej, przestawił zegar w salonie, przełożył baterie i zniósł go do kuchni, żeby dokończyć dzieła.

Teraz stał nad ciałem Arthura i zastanawiał się, co z nim zrobić. Trudno mu było uwierzyć, że to przy tym człowieku czuł się dawniej taki mały. Mistrz wśród latarników: powalony jak drzewo w lesie.

Wycieranie stołu go odprężyło. Zmył blat, boki, pod spodem, potem krzesło i ślady na podłodze. Nie śpieszyło mu się, pracował spokojnie. Spłukał krew pod kranem, potem umył zlew, a następnie związał ścierkę w kulę i wyrzucił ją przez okno do morza. Później wyjął z komody dwa talerze, przechodząc nad głównym latarnikiem, i dwa komplety sztućców z szuflady. Znowu przyklęknął, żeby zostawić na nich odciski palców Arthura, po czym rozłożył naczynia na stole, dorzucając dwa kubki, sól, pieprz i tubkę z resztą musztardy.

Z tymi kielbaskami to był bardziej zawołowany wybieg. Arthur powiedział mu kiedyś, że to było ulubione danie Tommy'ego. Bill nie musiał dorzucać tego szczegółu, ale uznał, że świadczy to o skrupulatności. Uważności. A to wszystko cechy dobrego latarnika.

Kiedy przygotował już scenografię w kuchni, zrobił sobie herbatę w kubku głównego latarnika i poszedł z nią do salonu, gdzie usiadł w fotelu szefa i myślał o jego żonie.

Helen zasługiwała na szczęście. Teraz będzie szczęśliwa. Bill przysiągł sobie, że już do końca swoich dni będzie szukał jej szczęścia, a kiedy już je

znajdzie, przywiąże do łóżka, w którym będą się kochali każdej nocy, i nigdy jej nie wypuści.

Jak głęboko był teraz Vince? Jak blisko dna? Bill trochę się obawiał, że ciało latarnika wypłynie, ale w zasadzie nie miało to większego znaczenia. Miał swoją wersję wydarzeń. Nikt nie miał powodu w nią wątpić. Arthur oszalał, zamordował Vince'a i zamierzał zabić także Billa. Nie miał innego wyjścia, musiał się bronić.

Żał mu starego szefa, powie im, naprawdę. Polubił Arthura. To był dla niego szok, kiedy zobaczył, w kogo się zmienił.

Zanim Vincent Bourne rzeczywiście umarł, wiele razy był bliski śmierci. Mógł umrzeć w chwili narodzin, bo pępowina owinęła mu się wokół szyi, a położna nic nie zauważyła, dopóki nie zsiniał. Kiedy miał cztery lata i mieszkał u Richardsonów, wyszedł na ulicę prosto pod koła samochodu, kierowca skręcił w ostatniej chwili. Jako piętnastolatek spadł z sześciometrowego muru i złamał sobie rękę.

Wszystkie te incydenty w jego życiu zapisywały się na rachunku, który ostatecznie przyszło mu zapłacić: wywołano go tego akurat dnia o tej konkretnej godzinie.

Śmierć dopadła go, kiedy palił papierosa na odsadzce. Nie pod postacią łódki z Eddiem Evansem ani mechanika występującego pod ksywką. Nic z tych rzeczy, które sobie wmawiał.

Powietrze było rześkie. Rozkołysane morze obmywało głązy. Świat wydawał się dziś dobrym miejscem.

Pozwolił sobie uwierzyć, że to już koniec. Że może wcale nikt na niego nie czyha. Nie ma czego się bać. Przed nim rozciąga się przyszłość. Michelle nie będzie się przejmowała tym, co kiedyś zrobił. Zna go i nigdzie się nie wybiera. Zrobiło mu się lekko na sercu, ogarnęła go ulga. To chyba szczęście.

Bill wyszedł z latarni, wyglądał, jakby miał chorobę lokomocyjną. Vince poczęstował go papierosem, ale on podziękował.

– Powiniennem rzucić – stwierdził Bill. Vince uniósł brew.

– Uwierzę, jak zobaczę.

Potem sprawy potoczyły się prosto – niedopuszczalnie prosto, jeśli wziąć pod uwagę, że w wyniku tego ciągu wydarzeń zginął człowiek. Vince pstryknął niedopałkiem, ale ten nie doleciał do wody i wylądował na odsadzce. Podszedł do krawędzi, żeby go skopać, gdy morze nagle wezbrało, tak szybko, jak kiedy mleko zaczyna kipieć w rondelku. Wieża

zdawała się tonąć, przez moment, jak ciasteczko zamoczone w herbacie; potem wieża się wynurzyła, a morze opadło. Vince poleciał razem z nim, uderzył się w łokieć, potem w głowę. Zaklął w myślach i próbował się czegoś złapać, ale nie miał czego. Z głowy leciała mu krew, ograniczając widoczność i utrudniając skupienie. Woda ściągnęła go po betonie, a kiedy skończył się beton, zostały już tylko fale.

Napreżyły mu się mięśnie. W uszach dzwoniło. Wieża zniknęła. Jak to możliwe, że dopiero co tam stał, a teraz znajdowała się całkowicie poza jego zasięgiem?

Jedyne, o czym mógł myśleć, to Michelle. Jej usta, jej ramiona, jak to było się w nie zanurzyć i oprzeć twarz w miękkim, cudownym zagłębieniu jej obojczyka.

Nie miał już siły w nogach, morze spychało go coraz dalej.

Bill krzyczał. Vince odkrzyknął, ale sam nie wiedział co, czy to były jakieś słowa, czy jakiś inny odgłos, którego nigdy wcześniej z siebie nie wydał.

Bill popijał herbatę, siedząc w fotelu głównego latarnika. Nie to żeby nie lubił Vince'a. Sympatia czy jej brak nie miały tu nic do rzeczy. To była po prostu tak dobra okazja, że nie mógł jej przepuścić, więc nie przepuścił. Śmierć Vince'a była dla niego jak znak prowadzący do wyjścia ewakuacyjnego. Droga ucieczki. Spadochron podczas pikowania.

Powiedział Arthurowi prawdę. Naprawdę próbował. Kiedy zobaczył Vince'a w wodzie, rzucił linę ratunkową. Owszem, rzucił dość słabo – Vince nie miał szans jej złapać. A potem olśniło go, że wcale nie musi rzucać szczególnie celnie. Nie musi, jeśli nie chce.

Vince jeszcze przez jakiś czas walczył i wtedy Bill podjął decyzję, tak chłodno i beznamiętnie, jak kiedy postanawiał pozbyć się jednej ze swoich muszli. Kiedy wiedział, że taka akurat nie jest mu potrzebna. Wrzucił linę do morza i patrzył, niewzruszony, jak jego towarzysz idzie pod wodę.

Ci, którzy jutro przypłyną, stwierdzą: no tak, rozumiemy, o cholera, co za nieprzyjemna sytuacja. Ale Tridentowi będzie zależało na wyciszeniu sprawy. Dadzą Billowi nagrodę za odwagę, szybko awansują i przeniosą na inną latarnię.

Po kilku czy kilkunastu miesiącach odejdzie ze służby i zabierze z sobą Helen. Ożeni się z nią. Przeprowadzą się daleko od morza.

Być może powie jej kiedyś prawdę. Być może nie. Zależy, jak mocno będzie wstrząśnięta i jak bardzo zadowolona, że to on przeżył.

Wzdrygnął się, bo z dołu dobiegł jakiś odgłos.

Bill nie był pewny, czy rzeczywiście coś usłyszał, ale po chwili rozległ się znowu.

Tup-tup-tup-tup-tup.

Gdzieś w dole, daleko w dole.

Zdjął jakąś książkę w twardej oprawie z regału w salonie – *Człowiek kopalny* J. Augusty i drugiego autora, którego nazwisko wyblakło. Główny latarnik na pewno jest oszołomiony, to powinno wystarczyć.

„Głupi z ciebie chłopak”, usłyszał głos ojca. „Zawsze trzeba sprawdzić, nie zakładać. Wiedziałem, że schrzanisz sprawę”.

Bill zszedł do sypialni, przyklejając plecy do ściany, w kółko, w dół, ale kiedy dotarł do kuchni, Arthur leżał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawił.

„Hej!”

Obrócił się.

– Jest tu kto?

Jego głos poniósł się echem po spiralnej klatce schodowej.

– Jest tu kto?

Tup-tup-tup-tup-tup.

Schodził niżej, trzymając książkę wysoko i powtarzając sobie, że to tylko wiatr. Kiedy dotarł na poziom wejścia, uspokoił się. Drzwi były cały czas zamknięte.

Był jedyną osobą w wieży.

I tak sprawdził jednak zamknięcie i z całej siły dosunął rygle do końca, po czym dosunął sztabę. Postanowił nie otwierać drzwi, dopóki po drugiej stronie nie pojawi się żywy człowiek.

Zapadł wieczór, choć ledwie minęła czwarta. Dzień odpływał za horyzont.

Mimo tego, co się wydarzyło, światło w laternie zapłonęło jak zawsze.

Bill był ostatnim żywym. Czasami, na nocnej wachcie, udawał, że faktycznie tak jest. Że wszyscy mieszkańcy planety zginęli. Wyłączał wtedy odbiornik, żeby nie słyszeć komunikacji między statkami, i siadał tyłem do światła na brzegu.

Maiden świeciła jednostajnie, jak latarka czołowa w tajemniczej jaskini. Bill brał kiedyś udział w wycieczce speleologicznej, w szkole, zapamiętał wąskie przejścia i uczucie klaustrofobii. Uczniowie zostali przewiązani w pasie sznurkiem i połączeni, wili się przez wilgotny labirynt niczym rodzące się dziecko. Jaskinie miały w sobie coś z żywego organizmu, jak jelita. Wystarczyłoby, żeby jedno z nich straciło głowę. Uderzył się w ramię, poczuł narastającą falę strachu, że nie może oddychać ani się ruszać, ale wtedy ktoś go popchnął z tyłu, wpadł do przepastnej pieczary i najgorsza była świadomość, że jedyna droga wyjścia prowadzi z powrotem tam, skąd przyszli.

Weszło stężenie pośmiertne, ciało Arthura zeszywniało; prawie się wykończył, ciągnąc je cztery piętra w górę.

Ciało głównego latarnika siedzącego obok Billa w laternie było jak pogrążony w mroku masyw, góry zimą o zmierzchu. Wydawało mu się na miejscu, żeby przez te ostatnie godziny mieć przy sobie towarzysza, zanim będzie musiał zrobić to, co trzeba. Do rana przećwiczy swoją rolę – musi być wstrząśnięty, ale wypowiadać się składnie. Nigdy nie był szczególnie kreatywny – „nie ma wyobraźni ten chłopak” – ale to nie wymagało szczególnego wysiłku.

Najpierw pokaże im zegary. Posiłek dla zmarłego syna. Potem dziennik pogodowy. Arthur przez długie lata żył i umierał na tym kawałku skały, powoli tracąc rozum. W końcu musiało dać mu się to we znaki. Nie mógł już wytrzymać, miał dosyć, śmiertelnie dosyć, ciągle te latarnie, przeklęte latarnie.

Na łodzi wszyscy będą się zachwycać, że Billowi udało się przeżyć.

Cóż to będzie za legenda, z Billem Walkerem w roli głównej; przekazywana z pokolenia na pokolenie, jak ta opowieść o latarnikach ze Smalls.

Przez noc wypucował wszystkie powierzchnie, jakby przygotowywał wieżę do pochówku. Wyszorował każdy stopień między kuchnią a laterną, każdy skrawek powierzchni dotknięty przez zwłoki Arthura. Nie przeoczył żadnej plamki, żadnego paproszka – takiej skrupulatności mogła nauczyć go tylko służba latarniana. Bill pozbył się wszystkich śladów.

Na dolnych piętrach pracował szybko. Nie chciał się ociągać w tym swoistym podbrzuszu wieży, pełnym cieni i mistycznych w ciemności kształtów łódki i zwojów liny. Nie chciał myśleć o odgłosach, które słyszał, o śmiechu, o krążących szeptach, wyobrażonych, to tylko fantazja płata mu figle, konsekwencja samotności i monotonnego zajęcia. Nie mógł tego zgłębiać.

Zabrał kamienie z szafki Arthura. Tyle razy widział, jak szef nad nimi ślęczał. Wydawało się adekwatne, żeby teraz pociągnęły go na dno.

Bill wziął kilkanaście, resztę zostawił. Wśród tych, które wybrał, znalazł srebrną kotwicę Helen. Czyli tutaj była. Arthur przywłaszczył ją sobie z powrotem. Bill z uśmiechem zapiął sobie łańcuszek na szyi.

Tej nocy latarnia paliła się pięknie. Maiden rzucała snop światła na morze, wyglądając ścieżkę, którą statki mogły płynąć bez strachu.

Niełatwo było wcisnąć Arthura w płaszcz, ręce miał sztywne, stawami trudno się poruszało. Bill oparł głównego latarnika o poręcz galerii. Wszystkie cztery kieszenie napełnił kamieniami.

Wystarczy jedno pchnięcie. Bill pomyślał o Helen, która pewnie właśnie kładła się spać, nieświadoma, że rano jej życie zacznie się na nowo.

Przyłożył cały ciężar ciała do męczyzny na balustradzie i oparł się najmocniej, jak potrafił.

„Hej!”

Odgłos biegnących stóp, śmiech dziecka.

Tup-tup-tup-tup-tup.

Cios od tyłu. Bill stęknął, stracił równowagę. Kroki otaczały go ze wszystkich stron. Szepty. Gwizd. Potem kolejne uderzenie, pchnęło go do przodu.

Przerażony Bill złapał się kurczowo ciała Arthura. Strach wydusił mu powietrze z płuc, czy to tylko strach, czy towarzyszyło im coś, czego nie potrafił nazwać, nie miał czasu pomyśleć, bo w tej samej chwili ciężar nieboszczyka przeważył, ciągnąc go za sobą przez balustradę.

Obok przemykała biała ściana, upiorna, nieskończona. Ciało Arthura połączyło się z jego ciałem i razem zderzyli się z zimną, płynną czernią.

Bill na krótko stracił przytomność. Rozciął sobie nogę i uderzył się w głowę. Uszy zalewała mu krew, woda i prerażenie. Wciąż i wciąż powtarzał sobie w myślach, nie, to nie może być prawda, bezsensownie, w kółko i w kółko. Ciężar Arthura ciągnął go w dół, Bill miotał się w oceanie strachu, wierzgał, walczył, ale im bardziej walczył, tym mocniej pochłaniało go morze. Krew zalewała mu nos i usta, zdawała się wypełniać mu całą głowę.

W akcie desperacji, ogarnięty szokiem i żalem, złapał się mocno latarnika, który go strzegł. Arthur był opiekunem Billa, człowiekiem, jakim on sam zawsze chciał być.

W mroku nocy i z pewnej odległości szamotanina przypominała walkę stada głuptaków o rybie wnętrzności. Jakieś poruszenie na powierzchni wody, kilka zduszonych krzyków. Nic ciekawego, jeśli nie liczyć porozumiewających się smutno fok.

Tonący Bill dostrzegł przez mgłę łódkę, kapitan pochylał się nad burta z wyciągniętą ręką.

Łódka pojawiła się w aurze blasku, niczym postać z pochodnią wędrująca przez długi tunel. Podartego żagla nie wydymał wiatr. Wyciągnięta ku nim dłoń była drobna.

Przestał czuć dotyk Arthura i nagle zimno ukąsiło go jak żmija. Statek zabrał Arthura na ciepły pokład, do domu. Bill rozpaczliwie próbował chwycić się burty, ale łódź przy płynęła nie po niego.

Na galerii latarni morskiej, kilkadziesiąt metrów wyżej, wiatr zatrzęsął metalowe drzwi. Biały ptak okrążył szczyt wieży, po czym poleciał na morze.

XII

Wygasanie

HELEN, 1992

Kiedy minęło Boże Narodzenie, Helen pojechała do Kornwalii na rocznicę.

Było typowe angielskie popołudnie, niebo miało barwę plastikowego pojemnika na żywność, na morzu mieszały się brązy i szarości. Deszcz padał bez przerwy, produkując jeszcze więcej gęstego błota w rowach wypełnionych spleśniałymi liśćmi i poczerniałym drewnem. Tym razem przyjechała z psem, który węszył z zapalem w poszukiwaniu lisich nor. Krople kapały na parasolkę. Na drzewach rozpadały się opuszczone gniazda gołębi, odłamki upiornych skorupki jajka błyskały wśród mchu.

Ostatnimi czasy Helen zaczynała czuć własne kości, była świadoma ich obecności w swoim ciele, kiedy ruszyła w górę ku cmentarzowi w Mortehaven – połączone ze sobą, matowobiałe; tworzące klatkę piersiową żebra jak coś z prehistorii. Suka trzymała się przy nodze, wyczuwała, że potrzebuje towarzystwa.

Jak długo będzie mogła tu jeszcze przyjeżdżać? To być może ostatni raz. Dwadzieścia lat to zresztą dość obiektywny kamień milowy. Przecież jej mąż za nią nie zdecyduje, minęło wystarczająco dużo czasu, to ładna liczba, okrągła rocznica; powinna wracać do domu.

A jednak przyjechała, na wszelki wypadek.

Na wypadek czego?

Trzydziestego grudnia, rok po roku, musiała popatrzeć na Maiden Rock, towarzyszkę tych dziwacznych urodzin. Może to było trochę tak, jakby trzymać w salonie dzikie zwierzę, codziennie zaglądać przez uchylone drzwi, żeby sprawdzić, czy na pewno nadal tam jest. Ignorowanie bestii tylko dodaje jej siły, wzmacnia bardziej, niż na to zasługuje.

Wątpiła, żeby Jenny miała się zjawić. W dziesiątą rocznicę Helen widziała ją z daleka, stała z dziećmi, patrzyła na morze. Zastanawiała się, czy podejść, ale w końcu się nie odważyła. Michelle nie było ani wtedy, ani w żadnym innym roku, nie widziała w tym sensu, dziś też się nie zjawi. W przyszłym tygodniu zadzwoni do Helen z wymówką, że mąż nie pozwolił jej jechać.

Kiedy dotarli na cmentarz, parasol wydał się od wiatru. Słyszała huk Oceanu Atlantyckiego, fale roztrzaskiwały się i pieniały na skałach pokrytych skorupą muszli omułek, wzbijały w powietrze chmury soli.

Helen wiedziała, dokąd zmierza – na grób w pobliżu ławeczki upamiętniającej jej męża. Wryty na nagrobku napis zmatowiał od mchu:

JORY FREDERICK MARTIN, UR. 1921
WYPŁYNAŁ ZA HORYZONT W 1990, WCIAŻ W NASZYCH
SERCACH

Stała tak przez kilka minut, dopóki deszcz nie przestał padać.

Chmury były wybarwione na żółto, jakby posiniaczone, słońce świeciło słabo, ale wytrwale. Złożyła parasolkę. A więc Jory zmarł dwa lata temu. Nie wiedziała. Przez te lata od zniknięcia przypominała sobie o szyprze od czasu do czasu. Choć nie było między nimi dużej różnicy wieku, zawsze czuła wobec niego jakby matczyną wdzięczność. Chyba dlatego, że pierwszy pojawił się na miejscu. Wywoływał zaginionych latarników; potem ich oplakiwał. To Jory miał im zapewnić długo wyczekiwaną ulgę w postaci zmiennika i dostawy prowiantu, był ratownikiem, który nikogo nie zdołał uratować, krzykiem pod wiatr, na który nigdy nie odpowiadano.

Pies gdzieś pobiegł, węsząc między grobami. Poczwała, że ktoś za nią staje, i była tak pewna, kto to jest, że mogłaby przywitać się z nim, nawet się nie odwracając, ale chciała zobaczyć jego twarz.

– Dzień dobry – powiedziała. Nagle się ucieszyła, że towarzyszy jej drugi człowiek.

Pisarz miał na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, dzinsy i kompletnie przemoczone buty. Na ramieniu niósł parcianą torbę. Jego twarz przybrała wyraz jakby skarconego, nieco przestraszonego dziecka, kiedy zorientował się, że ona wie. Teraz rozumiała, dlaczego nie chodził

w garniturach i wypastowanych butach. Był synem szypra, wychowywał się wśród sieci rybackich.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – spytała.

Dan Martin trzymał w dłoni kamyk, gładki, perłowy, przecięty białą żyłką, cienutką jak nitka bawełny. Położył go na grobie ojca.

– Ojciec bardzo długo się obwiniał – odparł. – Wyrzucał sobie, że powinien był zrobić coś więcej. Dotrzeć tam wcześniej. Nie przejmować się pogodą. Nic by to nie dało, ale i tak go to męczyło.

– Trzeba było mi powiedzieć.

– Bałem się, że pani też będzie go winić.

– Nawet nie przyszłoby mi to do głowy.

Włożył ręce do kieszeni.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby wiedziała pani, kim jestem, kiedy rozmawialiśmy. Żeby nie wpłynęło to na pani opowiadanie. Jakbym nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Uznałem, że tak będzie pani łatwiej.

Na moment zagościły między nimi takie ciepło i bliskość, że aż odwróciła wzrok, bo przypomniawszy sobie wszystko, co tylko on o niej wiedział.

– Powinienem był wyłożyć karty na stół – przyznał. – Skąd się pani dowiedziała?

– Nie tylko ciebie interesuje docieranie do prawdy.

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie mogłem zająć się tą historią, dopóki żył tata. Zamiast tego dostarczałem mu rozrywki w postaci książek o okrętach i armatach. Ale myślę, że byłby zadowolony. Sam chciał z panią porozmawiać.

Helen wypatrywała na horyzoncie Maiden Rock, ukrytej we mgle, ale od czasu do czasu wysyłającej nieśmiałe światelko.

– Dwadzieścia lat – powiedziała. – Tym razem jest jakoś inaczej.

– W jakim sensie?

– Sama nie wiem. Może to ja się zmieniłam, inaczej się czuję. Cieszę się, że porozmawialiśmy, że to wszystko wyszło na jaw. Nie wiem, czy tak samo uważają Jenny i Michelle... Powiedziała mi, że w końcu postanowiła się z panem spotkać. Ale to dziwna sprawa. Z jednej strony czuję się tak, jakby tamte czasy wróciły, a z drugiej wydają się jeszcze bardziej odległe.

Uświadomiłam sobie, ile lat już minęło i co zmieniło się w moim życiu. Nie jestem kobietą, którą wtedy byłam. Ludzie uważają, że powinnam wspominać przeszłość ze smutkiem, i tak, jest we mnie smutek i nigdy nie zniknie. Ale minęło wiele lat. Teraz już tak bardzo mnie to nie boli.

Dan się zawahał.

– Próbowałem namówić ojca, żeby ze mną o tym porozmawiał – powiedział wreszcie. – Ale nigdy nie chciał. Tak już jest z tymi sprawami: nikt nie wie, jakich użyć słów.

– Lepiej powiedziec cokolwiek, niż milczeć.

– Tak.

– A ty wiesz.

– Słucham?

– Wiesz, jakich użyć słów.

Spojrzał jej w twarz. Niskie, proste czoło, oczy marynarza. Tak bardzo przypominał ojca.

– Od zawsze nosiłem się z myślą, żeby napisać o Arthurze i innych – przyznał. – Dzień ich zniknięcia to jednocześnie dzień, kiedy zmieniło się życie moje i mojej rodziny. Tata nie mógł się z tym pogodzić. Ja zresztą też. Kiedy dorosłem, próbowałem jakoś okiełznać morze, umieszczając je w moich książkach, ale nie udawało mi się, bo ta jedna historia wciąż domagała się opowiedzenia. Po ich zniknięciu Mortehaven już nigdy nie było takie samo. Wcześniej nikt nie słyszał o naszym miasteczku. Nikomu nie kojarzyliśmy się ze stratą czy duchami. Dzieciaki dorastały sobie beztrudnie, potem się wyprowadzały i wracały na wakacje z własnymi dziećmi, żeby pokazać im łódki i Maiden Rock albo łowić kraby na nadbrzeżu. Potem przestały.

– Nie mogłeś się pogodzić z brakiem odpowiedzi.

– Nie mogłem.

– Ale jej nie ma.

Otworzył torbę.

– To mnie nie powstrzymało przed poszukiwaniem. Przez te lata wypytywałem każdego, kto mógł coś wiedzieć. Przedstawiałem to jak zagadkę: z latarni morskiej zginęło trzech latarników, co się mogło z nimi stać?

– A ty jak myślisz? Co się z nimi stało?

Wyjął z torby plik kartek w plastikowej koszulce, opasany na krzyż dwiema gumkami recepturkami.

– Oto ona – oznajmił. – Pani książka.

– Moja?

– Swoją drogą miała pani rację. Wyszło z tego coś zupełnie innego, niż zakładałem.

– Jesteś rozczarowany.

– Nie – zaoponował. – Wręcz przeciwnie.

Zdjął gumki.

– Dziwnie tak, kiedy się pomyśli, że tam nikogo nie ma. – Przeszedł po kamieniach na krawędź cypla. – Że wszystkie są zautomatyzowane. Nie ma już latarników. Żadnych łódek ze zmiennikami, wydłużających się zmian. Jakiś czas temu do niej podpłynąłem. Była akurat dobra pogoda, więc pomyślałem sobie, no dobra, tato, dla ciebie. Panuje tam teraz dziwna atmosfera. Pewnie jest tak ze wszystkimi latarniami, ale z wieżami szczególnie. To ta świadomość, że są zupełnie opuszczone. Wielka kamienna konstrukcja, kawał od brzegu, a w środku nikogo. Upiorny klimat. Można by pomyśleć, że coś się w niej zachowało, coś zostało po tamtych czasach. Kiedy tam popłynąłem, miałem wrażenie, że to niewykłuczone.

– Że może Arthur będzie stał na odsadźce – powiedziała Helen – i ci pomacha.

– Niektórzy sądzą, że oni mogą jeszcze wrócić.

– Mam nadzieję, że nie jesteś jedną z tych osób.

– Dlaczego?

– To nierealistyczne.

– Cała ta sprawa jest nierealistyczna.

– I tak.

– Ale co, myśl, że przeżyli?

– Myśl, że pojawią się po tak długim czasie. – Helen stanęła obok niego. – Arthur odszedł. Nie wróci. Ty potrzebujesz odpowiedzi, ale ja nie. Chyba nigdy mi na nich nie zależało. Potrzebuję akceptacji. Spokoju. Nadziei. Zajęło mi to dwadzieścia lat, ale chyba jestem już blisko.

Podał jej książkę.

– Proszę.

Okazała się ciężka.

– Kawał roboty.

– Owszem – przyznał Dan. – Skończyłem ją. Bez wątpienia wiem teraz więcej niż wcześniej. Ale jeśli chodzi o to, co wydarzyło się na tej wieży... Tego nigdy nie będę pewny. Nawet się nie oszukuję, że to możliwe. Istnieją setki możliwych zakończeń, może nawet więcej.

Helen obrzuciła wzrokiem jego przemoczone buty, opryskany deszczem rękopis i już na końcu języka miała podziękowania. Powiedziała Arthurowi, że przeprasza i że go kochała. Zawsze go kochała, nawet w najgorszych chwilach, do samego końca. Nawet jeśli on nigdy nie usłyszał tych słów, teraz wybrzmiały i to było dla niej najważniejsze.

– Prawda należy do nich – dodał Dan. – I do ciebie. Nie do mnie ani do nikogo innego.

Płuca wypełniało jej surowe, czyste morskie powietrze, rześkie jak poranek.

– Nie mamy pewności co do prawdy – odparła. – Czy nie o to właśnie chodzi? Niektórym zagadkom po prostu nie jest pisane rozwiązanie. Mam na myśli Arthura i pozostałych, oczywiście. Ale myślę też o całej reszcie. No wiesz. O wszystkim. Dlaczego to robimy. Dlaczego zapalamy zapałkę. Dlaczego w ogóle budujemy latarnie morskie i wszystkie inne rzeczy, które przy dobrych wiatrach mogą uratować komuś życie. To nie my decydujemy o życiu i śmierci, ale nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie próbowali. Chcemy zbudować jak najwięcej latarni, póki tu jesteśmy. Rozświetlić je jasno. Podtrzymywać płomień, kiedy zapada mrok.

Przyglądał się jej.

– No to dalej – powiedział.

– Co?

– Niech pani napisze zakończenie.

Złapał garść kartek i wyrzucił je w powietrze.

– Co ty wyprawiasz?

Papierowe stronicie wzbiły się brawurowo pod wiatr, dziesiątki fruwały w powietrzu, rozpościerały błyszczące białe skrzydła na tle nieba i morza,

szybowały, rozsypywały się i tańczyły, spływając nad wodę.

Śmiejąc się z mieszanką szoku i ekscytacji, Helen poszła za jego przykładem, hojnie rzucając kartkę za kartką, aż stali jak zwycięzcy loterii w deszczu banknotów.

Patrzyła, jak papiery się rozpierchają, kołyszą delikatnie na falach we wszystkich kierunkach.

– Dziękuję, Helen.

Wrócił do niej pies. Dan zamknął torbę i ruszył ścieżką.

Kiedy dotarł do bramy cmentarza, Helen obróciła się i zobaczyła dwie postaci stojące pod cisem. Poznałaby je na końcu świata, były dla niej jak najbliższa rodzina.

Pisarz się zatrzymał, żeby sprawdzić, czy zauważyła.

Zaryzykowała krok w stronę kobiet, choć martwiła się, że mogą zniknąć.

Im bliżej jednak podchodziła, tym wyraźniejszy stawał się obraz. Michelle trzymała Jenny pod ramię, jej twarz miała wyraz łagodnego optymizmu. Jenny wyglądała tak samo jak zawsze. Nie zestarzała się. Inni się nie starzeją, kiedy starzejemy się równolegle z nimi.

Po chwili Jenny uniosła rękę na powitanie.

Helen odwzajemniła gest.

Zanim do nich podeszła, odwróciła się jeszcze, żeby ostatni raz spojrzeć na Maiden. Z tego miejsca latarnia morska stanowiła ledwie dostrzegalną linię, szary cień na mlecznozielonym oceanie. Wiatr od morza musiał chyba wcześniej pogłodzić jej twarz, bo czuła na policzkach słoną wodę schnącą w słabych promieniach słońca. Wiedziała, że wieża jest pusta, ale jej serce uważało inaczej. Zawsze tak będzie. Widziała głównego latarnika tak wyraźnie, jakby tam była; wspinał się po schodach, unosząc twarz do światła. Na górę, do laterny, nie dotykając poręczy; przemieszczał się coraz dalej i dalej od miejsca swego mrocznego zejścia, aż wszystkim, co pozostało, jedynym, co go wypełniało, była gwiazda, która już, już miała przestać migotać.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałabym wyrazić moją wdzięczność i podziw wobec książki *Lighthouse* Tony’ego Parkera, badacza historii mówionej, którego rozmowy z latarnikami i ich bliskimi oświetliły mi drogę, pokazując, jak chcę podejść do opowiadania historii przedstawionej w tej powieści. Dzięki nakreślonemu przez Parkera obrazowi, ukazującemu tę nieistniejącą już profesję i cały związany z nią sposób życia, uzyskujemy wgląd w umysły i dusze osób, które poświęciły życie służbie latarnianej.

Niektóre z anegdot i doświadczeń życia na wieży zostały oparte na autentycznych wspomnieniach latarników. Zainteresowanym dogłębnym poznaniem tej społeczności polecam następujące relacje i antologie: *Ceaseless Vigil* Williama Johna Lewisa, *It Was Fun While It Lasted* A. J. Lane’a, *Stargazing* Petera Hilla, oraz wypowiedzi latarników w *The Lighthouses of Trinity House* Richarda Woodmana i Jane Wilson. Inne dzieła, z których czerpałam inspirację, to *The Lighthouse Stevensons* Belli Bathurst, *Lighthouse Construction and Illumination* Thomasa Stevensona, *Henry Winstanley and the Eddystone Lighthouse* Adama Harta-Davisa, *Eddystone: The Finger of Light* Mike’a Palmera, odcinek „Rope and Railing” podcastu *Lore* Aarona Mahnke’a, a także wiersz *Flannan Isle* Wilfrida Wilsona Gibsona.

Dziękuję moim genialnym redaktorkom Francesce Main, Andrei Schulz i Iris Tupholme za cenne uwagi i ulepszenia, a także Sophie Jonathan, która tak sprawnie, inteligentnie i życzliwie wyprowadziła ten okręt na szerokie wody. Ekipom z wydawnictw Picador w Wielkiej Brytanii, Viking w USA i HarperCollins w Kanadzie dziękuję za entuzjizm i merytoryczną pracę; na szczególną wzmiankę zasługują Jeremy Trevathan, Camilla Elworthy, Katie Bowden, Katie Tooke, Laura Carr, Roshani Moorjani, Claire Gatzen, Nicholas Blake, Lindsay Nash, Carolyn Coleburn, Molly Fessendon, Lindsay Prevette, Kate Stark, Nidhi Pugalia, Sona Vogel, Bel Banta,

Amanda Inman, Meighan Cavanaugh, Claire Vacarro, Tricia Conley, Sharon Gonzalez, Nayon Cho, Jason Ramirez i Julia McDowell.

Mojej agentce Madeleine Milburn i wszystkim w MMLA, zwłaszcza Annie Hogarty, Liane-Louise Smith, Georginie Simmonds i Gilesowi Milburnowi. Maddy, słuchałaś o tej historii, od kiedy się poznałyśmy. Podobnie jak wiele latarni, kiedy stanowiły jeszcze zaledwie błysk w oku Stevensona, tak i wiele szkiców tej powieści się zawaliło, ale w końcu udało nam się rozpaść światło w laternie.

Mimi Etherington, Rosie Walsh i Kate Reardon – dziękuję; mam nadzieję, że wiecie za co. Jestem wdzięczna Kate Wilde, Vanessie Neuling, Caroline Hogg, Chloe Setter, Melissie Lesage, Jennifer Hayes, Joannie Croot, Emily Plosker, Sam Jenkins, Chiomie Okereke, Laurze Balfour, Sarze Thomas, Jo Robaczynski i Lucy Clarke za przyjaźń i wsparcie. Wyrazy miłości dla mojej siostry Victorii, siostrzeńca Jacka i moich rodziców, Iana i Katherine, którym dedykuję tę książkę.

Mark – dziękuję, że kibicowałeś mi w drodze do mojej ukochanej latarni morskiej, w życiu i w wyobraźni. Ale przede wszystkim dziękuję Charlotte i Eleanor, moim najjaśniejszym światelkom.

Przypisy końcowe

1. Przeł. Stanisław Barańczak. [\[wróć\]](#)
2. Przeł. Andrzej Szuba. [\[wróć\]](#)
3. Cały dialog opiera się na zabawie z nazwą tradycyjnej brytyjskiej potrawy toad-in-the-hole (dosłownie „ropucha w dziurze”), czyli kiełbasek zapiekanych w cieście naleśnikowym. [\[wróć\]](#)